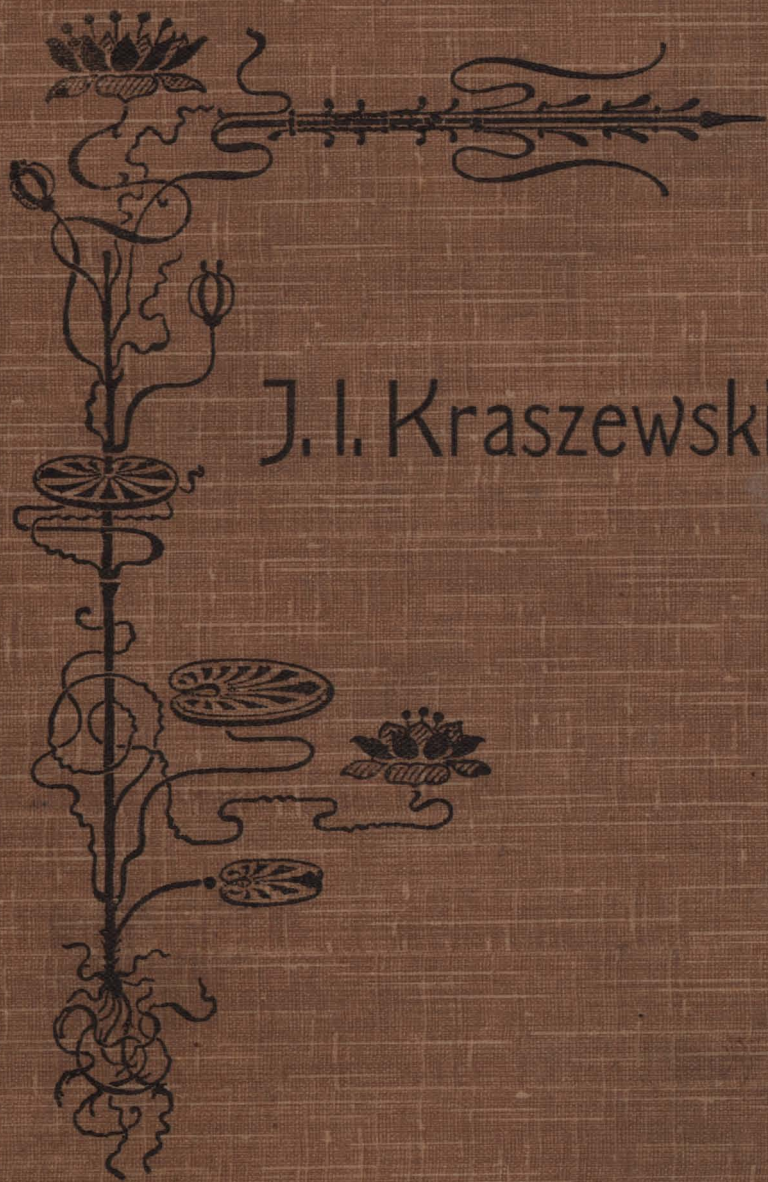




J. I. Kraszewski

POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

Tom sześćdziesiąty piąty.

Na Królewskim Dworze.

(CZASY WŁADYSŁAWA IV).

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

Kowalski

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1891.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Марта 1891 года.



MLM 328

~~~~~  
Druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Nowolipki Nr 9.

## DO CZYTELNIKA.

---

Nie piszemy zwykle przedmów, znajdując je co najmniej zbyt zbytecznymi. Książka lub się sama tłumaczy i usprawiedliwia, albo, mimo obrony, pozostanie czem jest—chybioną. Nie idzie też nam o żadne załeczenie jej formy i treści, ale o wyjaśnienie źródeł.

Nadzwyczajnem szczęściem dostał się nam niewydany i nieznany ułamek dziennika sekretarza królowej Maryi Ludwiki, p. Desnoyers, tego samego, którego późniejsze listy wydane zostały. Z niego wzięliśmy najdrobniejsze szczegóły przebycia, pobytu i pożycia królowej, nie potrzebując nic a nie fantazją wypełniać, bo materiału mieliśmy aż nadto. Jakkolwiek się to więc komu zdawać może, co tu piszemy, wszystko jest prawdziwem. Często tylko zbyt jaskrawy szczegół wypadło złagodzić.

Oprócz tego dziennika do opisu Warszawy za Władysława IV, użyliśmy nieoszacowanego Jarzemskiego. Nie tych obłamków, które wydrukował Niemcewicz w swoich Pamiętnikach, ale całego owego, nadzwyczaj rzadkiego Gościńca.

Jeden, jedyny dostępny i wiadomy egzemplarz



znajduje się w bibliotece Kórnickiej, która go nam łaskawą była użyczyć, za co składamy jej dzięki. Notatka na nim dowodzi, że Niemcewicz dostał go w podarunku od ks. Aloizego Osińskiego, a sam potem ofiarował hr. Działyńskiemu.

Egzemplarz dotąd jedyny znany (o drugim Estreicher mówi w Szczorsach) jest niestety nie cały. W środku brak mu czterech stronnic, a w końcu, Bóg wie ilu. Ostatnia kartka jest pisa na, co by dowodziło, że jeszcze jakiś egzemplarz istniał, z którego ją dopełniono.

Jarzemski wierszem pisze od siedmiu boleści, jest nieuk i nie klei mu się nic, ale niemniej skarb w nim nieoszaczowany do ówczesnych dziejów obyczaju i miasta.

Skorzystaliśmy z niego tylko tyle, ile nam warunki opowiadania dozwalały. Tak Jerzemskiego, gdyby cały się znalazł, jak dziennik (po francuzku) p. Desnoyers, należałoby wydać w całości. Ale tyle mamy do czynienia!!

Magdeburg,  
d. 3 kwietnia 1885.

## I.

Ze wszystkich gościńców wiodących do nowej stolicy, Warszawy, najwięcej z pewnością ożywionym był ten, który od Litwy i Brześcia prowadził. Handel i ludzie tedy najczęściej płynęli do starego mazowieckiego grodu, niedawno uczynionego rezydencją królewską.

Spełniło się to za Zygmunta III, ale za Augusta dawało się nieledwie przeczuwać. Warszawa dogodniejszą była dla Litwy, leżąc w pośrodku ziem rzezypospolitej. Poczęto tu sejmy odprawiać naprzód, królów obierać, a naostatek, po spaleniu zamku na Wawelu, i król z rodziną wywędrował nad Wisłę, choć na tutejszym zamku nie miał zbyt królewskiego pomieszczenia. I tak owi Mazurowie, z których wymowy i ubóstwa chętnie się naśmiewano, dostąpili tego zaszczytu, że na ich ziemi tron postawiono. Zmieniły się też czasy i krakowscy panowie możni wpływu tego i znaczenia nie mieli, co dawniej; wolano też od ich nacisku i roszczeń stanąć trochę dalej.

Śmiertelny to był cios zadany Krakowowi, a dla Warszawy hasło nadzwyczaj szybkiego wzrostu.

Jak dawniej ku Wawelowi zbiegały się wszystkie większe drogi, płynęło życie, ruch się w nim ogniskował, tak teraz skierowało się do Warszawy. Most



Zygmunta Augusta stawał się przepowiednią tej przyszłej wielkości.

Na gościńcu od Brześcia, przez lasy i mało zaludnione okolice się ciągnącym, rzadko teraz bywało pusto, a na przestrzeniach, którym brakło wiosek i osad dla spoczynku podróżnych, zaczęły się wznosić gospody, których naówczas niewiele było jeszcze w innych stronach. Po wsiach ich mniej potrzebowali podróżni, bo się obyczajem starym wpraszały do wieśniaków, dworu i probostw, ale na przestrzeni mil kilku, ogołoconej z osad, gospoda w wielu roku porach stawała się dobrodziejstwem, jakkolwiek nędzną była.

Nie sami naówczas żydzi rzucili się na te szynki i zajazdy na pustkowiach, rozmaitego rodzaju ludzie brali je różnemi prawy od właścicieli ziemi, którzy często małemi się opłatami ograniczali. Niejeden z tych panów, siedzących pod wiechą w lesie, miał i duży grunt kawał, który uprawiał, dobytek i konie. Jedni na gospodach dorabiali się bardzo prędko, drudzy dosyć nędzny a pełen niepokoju żywot wiedli.

W miejscu, o którym mówić mamy, na skraju ziemi, należącej do pana Leśniowolskiego, właśnie się był umieszczał żyd Boruch na nowej gospodzie, której żartobliwy pan nadał imię Zapiecka. A stało się to tylko na złość i przekorę karczemie pana Gostomskiego nieopodał erygowanej, która niewiedzieć dlaczego i przez kogo nazwana była Purchawką.

Granice JMPP. Leśniowolskich i Gostomskich tu się zbiegały; gościniec przedzieliał na znacznej przestrzeni lasy i zarośla pierwszych od drugich. Naprzód się narodziła tu Purchawka, za której przykładem idąc przyszedł na świat Zapiecek.

Ten ostatni, o którym pan jego śmiejąc się powiadał, że mu to imię dał, bo w nim było podróżnym gdyby u Boga za piecem, jak na owe czasy był wcale wspomniał gospodą. Wiadomo, takie tabuny koni szły naówczas przy każdym znaczniejszym dworze, jak

stajnia dla pomieszczenia ich była ważną rzeczą, i tu więc szopa w słupy, choć w części płotem tylko opasana, mogła sto kilkadziesiąt pomieścić. Ludziom stosunkowo mniej wygod było potrzeba, niż ówczesnym woźnikom, dżanetom, rumakom i niepoliczonym eugom. Człowiek, co konia nie miał, a w podróży własnych nóg lub pożyczanego wozu używał, tem samem plebejuszem się stawał, tak jak senator i pan, jeżeli kolebką jechał, mniej do niej nad sześć woźników nie mógł zaprządz dla godności swojej.

Mierzono naówczas człowieka liczbą koni, jakie miał i mógł prowadzić z sobą.

Na jednym koniu jeździli tylko bojarowie z listy, uboga szlachta, słudzy i czeladź panów.

Zapiecek ze swemi ogromnemi stajniami naturalnie dla odpoczynku panów był przeznaczony, do Purchawki podjeżdżały wozy i ci, co na koniu jednym, bez towarzysztwa podróżowali.

Purchawka też w szopce nad kilkanaście koni i to z biedą ulokować nie mogła, ale, mimo tego jej pozor skromnego, miał się na niej siedzący Skroba, prosty chłop (jak mówiono), daleko lepiej od Borucha, i Zapiecek mu zazdrościł.

Skroba bowiem miał do czynienia z ludem pokorniejszym, który jako tako, ale płacił za to co brał, i nie woził z sobą zapasów, więc suchy chleb i lada jaki napój brał, a i dla konia wiązki siana potrzebował. Tymczasem na Zapiecku, gdy zajechało pięćdziesiąt koni i tyluż ludzi, mieli na wozach najczęściej to, czego im było potrzeba, a potem płacili co łaska, lub niekiedy nabiwszy i złajawszy, nie dali nic.

Od strony Brześcia stała Purchawka pierwsza, nieco dalej Zapiecek, ale z obu gospód na gościniec wzrok daleko sięgał.

Pięknego dnia jesieni w progu Zapiecka stał sam Boruch, a że pora była ciepła, nie miał na sobie tylko czarny kaftan bez rękawów, z pod którego krótkie pluśdzy i pończochy widać było. Na czar-



nych włosach jarmułka siedziała na bakier i nadawała jego butnej fizygnomii wcale pański wyraz. Długą czarną brodę gładził i ziewał przeraźliwie, a gdy się wyziewał, poczynął ręce wyciągać i zażywać rodzaju gimnastyki, dowodzącej jak okrutnie się nudził. Gospoda od dwu dni była pusta, żeby do niej żywy duch zajrzał.

A u Skroby ciągle ktoś gościł. Boruch na ten rodzaj gości, jacy zajeżdżali do Purchawki, mało rachował, ale natenczas jużby i im był rad.

Gdy więc nad wieczór na gościńcu od Litwy pokazał się w dali jeździec na koniu, choć odległość nie dozwalała jeszcze ocenić go, a z konia i z rzędziku wnieść co zaczął był i co w mieszkaniu miał, pan Boruch zawczasu znaki mu dawać począł, aby zaciągnął do niego.

Skroby w progu nie było.

Jeźdźcowi dopiero, gdy się na pół strzelenia z łuku przysunął, można było się lepiej przypatrzeć.

Ale była to jedna z tych zagadkowych postaci, o których zawyrokować trudno. Koń pod nim był niezgorszy, zmęczony widocznie długą drogą, siodło porządne ale stare, rzędzik rzemienny niczego, lecz też dobrze zużyty, splukany i od pyłu zniszczony.

Za sobą miał troki niewielkie, a za całe uzbrojenie szabłę, sabajdak na plecach w pokrowcu i strzelbę ptasnicę. Domyślać się tylko godziło, że pod połamami lub okryciem siodła gdzieś się może i pistolety znajdowały.

Twarz była ogorzała, długa, z wąsem szpakowatym zawieszonym, obciążoną skórą ruchomą i pofałdowaną.

Na pierwsze wejrzenie nie na niej oprócz obycia się z życiem nie można było wyczytać. Mówiła ona, że bywał na wozie i pod wozem i że się teraz nie lękał niczego, ani też dobijał wielkich rzeczy.

Miedzy nim a koniem była już taka zgoda myśli, że go wcale prowadzić nie potrzebował i mógł mu

eugle na karku położyć. Koń też brudno kasztanowaty zdawał się drogą, okolicą i tem, co go otaczało, więcej niż pan zajęty, oglądał się ciekawie. Jeździec zadumany, przygarbiony nieco z obojętnością znużonego wielce, myślami gdzieś wędrował. Nie widział też znaków, dawanych mu przez Borucha, a brudno kasztanowaty skierował się ku Purchawce, zwolnił kroku i zrównawszy się z drzwiami jej, stanął.

Posłuszny mu pan zsiadł z niego powoli, poklepał po szyi i zajrzał naprzód do szopy. Tu nie było nikogo, mógł więc sobie dla kasztana obrać najlepszy kłób. Wtem drzwi izby skrzypnęły, i okrągły, niskiego wzrostu, łysy, pyzaty a blade Skroba powitał podróżnego.

— Niech będzie pochwalony!

Spojrzeli na siebie.

Chociaż podróżny sukni nie miał zbyt okazałych, ale z całego ubioru i pozoru widać było statecznego człowieka.

Weszli razem do stajni. Skroba począł od zaręczenia, iż wszystko w szopie można było bezpiecznie zostawić, dodając razem, że wódka, piwo, chleb, ser, a choćby i gotowana polewka, krupnik, u niego się znajdzie.

Gość słuchał milczący. Sam naprzód podłożył rękę pod siodło, aby się przekonać, czy koń nie był nadto zgrzany, aby go od tego ciężaru uwolnić można; zajął się nim, wiązkę siana zarzucił i dopiero kasztana oporządziwszy, sam z gospodarzem wszedł do izby.

Tu się i małżonka Skroby, w fartuchu, z warzechą w rękę przy garnkach znalazła, i chłopak bosy, jego syn, i blade dziewczę w koszuli jednej, uczące się około kądzieli. Kury chodziły po izbie, czując się w domu. Pod jedną z ław leżał pies wilczej barwy, podniósł głowę nieco i przekonawszy się kto przybył, spał dalej, bo w nocy nie miał na to czasu, musiał domu pilnować.



Rozmowa, jeśli ją tak nazwać można, w urywanych wyrazach poczęła się i ciągle długimi przestankami dzieliła.

Skroba pilno się przypatrywał podróżnemu, który ze swej strony najmniejszej nie okazywał ciekawości.

Boruch tymczasem zawiedziony w nadziejach, stał pocichu przeklinając wszystkich „gwiazdochwalców“, gdy na tym samym gościńcu, jakby na pociechę jego, zjawił się jeździec drugi, ale zamajaczył mu tak daleko, iż nawet wcześniej dawane znaki na niebysię nie zdały, a zbliżał się tak powoli, jakby na żółwiu jechał.

I ten był sam jeden tylko, a nie wyglądał lepiej od pierwszego. Sterczał mu tak samo sahajdak, samopał i z tyłu nawiązane sakwy. Koń stąpał ciężko z głową spuszczoną.

Miał też na sobie szarą opończę i tem się tylko różnił od poprzednika, iż w rękę trzymał nahajkę, którą bezmyślnie wywijał, oglądając się dokoła.

Zdawał się wyższego wzrostu i silniejszy, a w stosunku do konia był nawet za ciężki dla szkapy, która, choć silnie zbudowana, choć gruba, nie wielkiej była miary. Kształty jej też nie odznaczały się pięknnością, a łeb duży i szyja nieforemna, dosyć śmiesznie wyglądały. Rząd na koniu był grubej roboty jakiejś, a zużyty.

Twarz samą wąsą, broda i włos na policzkach porastający tak okrywały, że ledwie z nich nos duży garbaty i dwoje czarnych oczu ogromnych wyglądało. Na głowie siedziała czapka staroświeckiego kształtu z czubem wyłysiałym.

Nieobiecuja to była postać, a jednak Boruch ją ku sobie przyzywał, gdy tymczasem koń instynktem zawrócił się do Purchawki, a jeździec mu się nie sprzeciwił. Stanąwszy pode drzwiami huknął dziwnym głosem.

— Uhu!

I sam z siebie się rozśmiał, jakby się spostrzegł, że mimowolny ten wykrzyknik był nie w miejscu.

Skroba stał już w progu i gotów był do szopy prowadzić, ale zobaczywszy zarosłego gościa i spotkawszy wejrzenie drapieżnych jego oczów, na chwilę czekę się zawahał.

Podróżny już zsiadł, a koń jego nie czekając sam poszedł żłobu sobie szukać, tak się cały strząsając, że zdawało się iż terlicę i sakwy zrzuci z siebie. Miał bowiem nie siodło na grzbiecie, ale tylko starą terlicę, jako tako wymoszczoną.

Wszystko razem zdradzało ubóstwo i miało jakąś cechę pochodzenia od wschodu. Można było poznać w nim wędrowca kędyś od kresów.

Wprędce po zabezpieczeniu konia, drugi ten wędrowiec wszedł do izby. Zmierzyli się oczyma z pierwszym, kiwnęli głowami, zamruczeli: Czołem—i później przybyły zajął miejsce dosyć daleko, jakby sobie życzył sam pozostać.

Wychylił kubek wódki, a nie żądając więcej, z terbki dobył chleba, kawał słoniny, trochę soli, i sparszy się na stół począł spokojnie pożywać.

Siadł tak na ustroniu, iż ani gospodarz, ani pierwszy gość nie śmieli się przybliżyć, ani go zaczepiać.

Nie przeszkadzało to wszystkim, nie wyjmując ani dziewczyny przy kądzieli, ani bosego chłopaka, ani nawet tłustej, osmolonej Skrobowej, przypatrywać mu się bardzo pilno.

Dla wszystkich on miał w sobie coś dzikiego, obcego, pobudzającego ciekawość. Opończa była krojem innym, buty różnym kształtem od tych, jakie pospolicie noszono, pas, odzież wyglądająca z pod okrycia, nie przypominały codziennych tu widywanych.

Nie śmiano jednak zbyt go prześladować wejrzeniami, bo gdy się kto spotkał z jego oczyma, wzrokiem odpychał i łajając się znawał. Sam jednak ró-



wnie ciekawie badał siedzącego dalej za stołem gościa pierwszego, jak ów jemu się przypatrywał.

Mileczenie panowało długo.

Podano krupniku jednemu, i drugi go zażądał, ale głosem takim grobowym, ochrypłym, jakby z jakiejś głębiny wychodził z wysiłkiem wielkim, a nim mu mię postawiono, raz jeszcze napił się wódki.

Krupnik swój skończywszy pierwszy podróżny do konia poszedł, bo czas było i napoić kasztana i obrok mu zasypać. Przy tej zręczności zdawał obejrzał dobrze szkapę i troki towarzysza, kiwając głową. Koń był w istocie tak szpetny, iż o jeźdźcu wielkiego wyobrażenia nie dawał, ale szlachcic okiem znawcy dopatrywał się razem, że bestya była żelazna i rozumna.

Ruszył ramionami z przyjemnością zbliżając się do kasztana, który przy tamtym arystokratycznie się wydawał.

Do izby powróciwszy zastał brodatego towarzysza, już po krupniku, nad trzecią czarką wódki, zadumanego głęboko.

Spojrżeli sobie w oczy raz i drugi. Widocznem było, że chcieli rozpocząć rozmowę, szło o to tylko, kto pierwszy się odezwie.

Ponieważ brodac obrosły obcą miał fizygnomię, zdało się drugiemu, który bardziej się tu czuł w domu, iż powinien być pierwszy zagadać.

— Z dalekaście to, miłościwy panie bracie?— zagadnął.

Ten głową potrząsł i rękę ku północy podniósłszy.

— Ho! ho! a co myślicie? zbliżka?—Z kresów jadę, od dzikich pól.

Pytający głową też poruszył.

— Kawał drogi—rzekł. — Jam tam nie bywał nigdy, choć na Podolu dawniej się kręciło. Cóżście tam porabiali?

— Co?—mruknął spytany.— Człek głupi szczęścia

szuka, gdy go niema, włóczęąc się, a to darmo. Tak i ja. Służyłem u Koniecpolskich... at! różnie bywało.

— Wracacie do swoich?—spytał pierwszy.

— Gdzie?—rozśmiał się brodaty—ja tu nikogo nie mam!! Wracam, bo mi się zateśniło... za czem? albo ja wiem!

Oczy mu błysnęły dziko, i wychylił czarę przedko.

— A wy z których stron?—spytał towarzysza.

— Ja mazur jestem—odparł pierwszy gość — ale my mazurowie po całej Rzeczypospolitej się rozłazimy, bo u nas chleba omal, a gęb dużo. Jestem teraz przy dworze Radziwiłła, jadę też z jego polecenia do Warszawy. Wy też do niej?

— Trzebać ją zobaczyć—rozśmiał się brodac.

— A siłaście lat nie widzieli —rzucił drugi pytanie.

Tamten ręce podniósł do góry.

— Z okładem dwadzieścia lat!—zawołał— z okładem.

— O ho! o ho! to jej chyba nie poznacie.

Tu, namyśliwszy się nieco, gość pierwszy uznał stosownem po imieniu i nazwisku się dać poznać.

— Szczepan Wijurski, podkoniuszy księcia pana.

Brodacz, którego to obowiązywało też do objawienia imienia, zawahał się nieco i mruknął.

— Lasota Plaza.

I rzekłszy to urwał nagle.

— Tytułu—dodał szydersko — nie mam żadnego teraz.

— Plazów ja i w Krakowskim zdybywałem — rzekł Wijurski.

— Było ich dosyć—wtrącił Lasota — a w stanie duchownym nawet i do prelatur się podnieśli; ale jam braci nie miał, a o rodziniecale nie wiem, ani się myślę dowiadywać.

Milczeli trochę przypatrując się sobie i Plazie



z kolei do konia poszedł, a gdy się za nim drzwi zamknęły, Skroba uczynił uwagę, że zbója miał minę.

Obu podróżnym chciało się ciągnąć dalej na nocleg, choć się już miało ku wieczorowi. Płaza pod okno podchodził i rozglądał się mruczając. Wijurski zapowiadał księżyc i rachował na noc jasną. Gospodarz był tego zdania, iż lepiej się było ichmościom zawczasu spać położyć, koniom dać wypocząć, a na-  
zajutrz rano, po przekąsce ruszyć dalej.

Wahali się jeszcze spoglądając po sobie, gdy Skroba, który był na próg wyszedł, powrócił do izby z oznajmieniem, że wielki dwór jakiś nadciąga. Podróżni zamiast się przygotowywać do wyjazdu, poszli wyjrzeć na gościniec co to było.

Na ganku Zapiecka stał już Boruch, ale w czarnym długim chałacie i pasem podpasany, sposobiąc się zapraszać przejeżdżających, choć nie było prawdopodobnem, aby się tu takie wielkie państwo mogło zatrzymać.

Płaza, powracający od kresów, gdzie więcej żołnierza i włóczęgów niż pańskich dworów mógł widywać, stał zdziwiony, rękę trzymając nad oczyma, przyglądając się z ciekawością niezmierną zwolna zbliżającemu się orszakowi.

Tu w środku kraju nie był on żadną osobliwością, i Wijurski, nawykły do podobnych widoków, patrzył dosyć obojętnie, jakby tylko chciał poznać po barwie, kto to mógł być.

Łatwo się było domyśleć jednego z najwyższych dygnitarzy otaczających króla, bo dwór otaczający kolebki nadzwyczaj był liczny i strojny.

Jechało naprzód kilkunastu hajduków jednako ubranych i doskonale uzbrojonych, na koniach dzielnych; za nimi strojnieszy jeszcze koniuszy czy marszałek dworu, którego wierzchowiec bardzo piękny, w sutym rzędzie srebrem pozłocistym nabijanym, stąpał jak z partesów, a on sam dumnie pokręcając

wąsa oglądał się wkoło; dalej szły dwie kolebki, bardzo wykwintnie zbudowane, pozłacanemi balasami, firankami, gałkami u wierzchu przyozdobione, a których stopniach jechały stojąc pacholeta do usług. Oprócz tego tuż przy powozach straż z boku postępowała. Firanki w części pozasuwane osób w środku siedzących widzieć nie dozwalały.

Za kolebkami jechali znowu konni, z których kilku wiozło na rękach sokoły zakapturzone, przy innych szły psy, niektóre na sznurach wiedzione, inne wolno. Między niemi widać było charty ogromne, legawe, ogary i brytany. Dalej jeszcze kryte skórami wozy postępowały z kuchniami, namiotami, kobiercami i wszystkiem czego państwo w podróży mogło potrzebować. Były to spiżarnie i piwnice, skarbiec i skrzynie z sukniemi przewożne. Na niektórych z tych wozów czeladź siedziała lub leżała uśpiona. Za temi w koczach późniejszych widać było fraucymer, a w jednej budce pozłocistą klatkę z papugą, którą dziewczyna na kolanach trzymała. Nakoniec prościejsze wozy z pośledniejszą czeladzią i po-dlejszym sprzętem postępowały, a tylną straż długo wyciągniętego sznura składało znowu kilkunastu jeźdźców zbrojnych, jak gdyby w czasie wojny. Wszystko to wszakże nie dla bezpieczeństwa, ale dla okazałości nagromadzone było, i oznaczało wysoką godność podróżnego.

Płaza z natężoną uwagą, ciągle się przeciągającym przypatrywał. Cały tabór pomimo niskich ukłonnów Borucha, który z jarmulką w ręku wyszedł aż na środek gościńca, przeciągnął nie zatrzymując się, z czeladzi tylko niektórzy skoczyli z wozów do studni, aby się świeżą wodą ochłodzić.

Wijurski rzuciwszy okiem na pański ten dwór, powrócił do izby nazad, a za nim Płaza też wszedł ale nierychło, bo doczekał aż ostatni pacholek i ostatni wóz zniknął mu z oczów.

*Na królewskim dworze. T. I.*

WYKONANIE  
JIK  
328



— Wielkie jakieś państwo! — rzekł do Wijurskiego.

— Pewnie—odpowiedział pan Szczepan—przecież to pan marszałek nadworny, choć nie książę żaden, ani z dawnych magnatów, ale dziś on, z łaski króla, nikomu nie ustąpi, a w Warszawie jego pałac z królewskim na równi.

Plaża słuchał ciekawie pochyłony.

— Marszałek nadworny, he!—spytał—jak się zowie?

— Nie wiecie?—wtrącił Wijurski.

— Jakże chcecie? my tam na kresach o wszystkim zapominamy. Spytajcie nas o hetmana kozaków, albo o chanów perekopskich...

Dziwnie się począł uśmiechać i urwał nagle.

— Wiecie co—zawołał Wijurski—namby najrozu-  
miej było w ślad za taborem Kazanowskiego podą-  
żyć.

— A! Kazanowski się więc zowie!—mruknął Pla-  
za—alboż tu w lasach niebezpieczno?

— Zbójów niema, ale na kupę jakich włóczęgów  
napitych natknąć się zdarzy, co szukają przyczepki—  
odpowiedział Wijurski, zabierając się do drogi.

Po krótkim namyśle Plaża też ruszył się.

— Pozwolicie mi jechać z sobą?—zapytał.

— Czemu nie? rażniej nam będzie we dwu—rzekł  
Wijurski.

Panu Szczepanowi na Wijurach Wijurskiemu pod-  
koniuszemu księcia Radziwiłła, wcale nawet na rękę  
było żądanie Plaży. Trzeba było znać go, aby to  
sobie wytłumaczyć.

Jak niepozorny wcale i do mnóstwa szlachty swe-  
go rodzaju podobnym był Wijurski, tak — z tysiąca  
wybranych, wedle słów piosenki ludowej, nazwać go  
było można. Był to wcale osobliwy człowiek, skro-  
mny, cichy, niepokąźny, lecz szpakami karmiony —  
ciekawo i, choć jako podkoniuszy przy stajniach się

liczył, więcej pono kwalifikował się do kancelaryi,  
niż do koni.

W Koronie i Litwie, znał on ludzi od najwyż-  
szych dygnitarzy, do najpośledniejszych podstarościch;  
nie obce mu były przygody, historye, stosunki skan-  
daliczne, zabiegi dworskie i wszystko co ówczesny  
świat zajmowało. Książę wiedział o tem, i gdy mu  
języka potrzeba było dostać, albo plotkę jaką spraw-  
dzić, posługiwał się Wijurskim, zawsze pod pozorem,  
że mu coś koni i stajen tyczącego się polecał.

Pan Szczepan zamłodu z jednym z Radziwiłłów  
za granicę jeździł jako dworskie pacholę, a otwartą  
mając głowę korzystał z tego i języków kilka nau-  
czył się ze słuchania. Zaglądał też chętnie do książ-  
zek. Dlaczego mu te zdolności i nabyte wiadomości  
nie wyrobiły lepszego i innego stanowiska na dwor-  
ze, tego sobie wytłumaczyć trudno. Ale naprzód  
Wijurski się nie starał o krescytywę, przedewszyst-  
kiem chciwy będąc nauki i wiadomości, powtórę po-  
chlebiać i płaszczyć się nie umiał. Nie nadymał się,  
nie szukał zwad, ale okupywać lepszego bytu podda-  
niem się kaprysom pańskim nie umiał. Co do bytu  
własnego, małym się zaspokajał.

Na dworze księcia, ba i dalej znano go jako bar-  
dzo bystrego człeka, radzono się go czasami, ale nie-  
zawsze Wijurski dawał się wyzyskać. Gdy mu fan-  
tazyja przyszła, milczał.

Nazwaliśmy go ciekawym, gdyż ciekawość może  
stanowiła jeden z głównych rysów jego charakteru.  
Starał się ludzi poznawać i dowiedzieć o wszystkim;  
z równem zajęciem siadywał nad książkami i chodził  
za nowymi ludźmi, których nie rozumiał.

Na pierwsze wejrzenie, Plaża mocno zaciekawiał  
pana podkoniuszego; nie rozumiał go, coś w nim  
czuł podejrzanego, fałszem podszytego. Niespokojne  
wejrzenia, niejasne tłumaczenie się, sama postawa,  
strój, ruchy, mowa czyniły go zagadkowym.



Sam jeden z kresów aż do Warszawy, dla tęsknoty, gdy tu rodziny ani znajomych nie miał?

— Coś w tem innego tkwi?—mówił sobie Wijurski.—No, da się to widzieć.

Szczególniej mowa Plazy, akcent jej, mieszane ruskie wykrzykniki, zakrój jakiś w wyrażeniach, dziwnymi mu się wydawały.

Języka polskiego jakby się nanowo uczyć i przypominać sobie potrzebował Plaza, tak czasem mu było ciężko wyraz właściwy znaleźć.

Bystre oko p. Szczepana dostrzegło też, że ubogi napozór i jakby umyślnie odziany niepokaznie Plaza, miał przy sobie na swój stan za kosztowne rzeczy. Pod opończą pas, umyślnie osłonięty, błyszczał bardzo bogatem i świeżem szyciem. Z kieszeni dobył przypadkowo chustę kosztowną, którą zaraz wetknął śpiesznie nazad. Sama powierzchowność sakiew przy koniu Lasoty kazała się w nich domyślać pakunku, o którego zachowanie właścicielowi chodziło wielce.

Wszystko to wreszcie możeby mniej uderzało, gdyby nie sam człowiek niespokojny jakiś, oglądający się, badający oczyma, trzymający się na baczności.

— Ten człek—mówił sobie podkoniuszy—dalipan niedarmo sunie do Warszawy, a że nie z własnej woli i ochoty, dałbym szyję.

Nie więc nie mogło być dogodniejszym dla ciekawego Wijurskiego nad wspólną podróż z tym człowiekiem, bo w drodze najłatwiej się zapoznać, spoufalić i dobyć coś z towarzysza. Nie uszło to oka p. Szczepana, że Plaza gorzałkę pił ochotnie i dużo, na to więc także rachował, że ona mu gębę otworzy, choć dotąd kubki u Skroby wypróżnione najmniejszego nie wywarły skutku... ale i to wiedział Wijurski, że wódki pod czas kilka kropel upoi, a gdy człowiek znużony, w ruchu, wcale mu ona do głowy nie idzie.

Rozplaciwszy się z gospodarzem, podrozni nasi wyciągnęli w las, jadąc tuż obok siebie, co naprzód

spowodowało zapoznanie się ich koni. Brzydka owa niezgrabna bestya Plazy wyciągnęła leb ku brudno-kasztanowatemu, powąchała go, wydała jakiś głos do kwiczenia podobny i nagle zwróciwszy się tyłem do kasztana, wierzgnęła z całych sił. Szczęściem, iż Wijurski w czas uskoczył i owe kopyta w powietrze tylko podniósłszy się, opadły na ziemię. Plaza batogiem dał naukę i epizod ten skończył się bez szwanku.

— Złą jakąś bestyę macie — rozśmiał się Wijurski—ani się do niej przybliżyć, i niepiękna też jest, ale musi mieć swe przymioty?

Plaza podniósł głowę.

— Bał—zawołał—bez jedzenia może dwa dni iść, a strzecha przegniła, gdy nie innego niema, także jej smakuje. Bez wody cały dzień trwa, co trudniej koniowi, bo dla niego woda obrok czasem zastępuje. Naostatek zielona pasza byle jaka, nażre się aż go osiodłać trudno, i nic mu. Drugiegoby zdęło i pęknąćby musiał. Skóra taka, że nigdy nie zatrze, a spocony czy nie, można go poić, karmić i oskomy nie zna. Spojrzeć na niego, trzech groszy nie wart, a jabym za garść dukatów go nie oddał.

— No i to dobrze—dodał śmiejąc się—że złodziej się na niego nie połakomi.

Wijurski słuchając pochwał tych, rozpatrywał się w koniu, zżymnął ramionami i rzekł.

— To kozacki koń!

Plaza spojrzał bystro i pod włosami mu wystąpiła czerwoność.

— I ja tak sędzę—rzekł—choć ja go kupilem od szlachcica... tatarski albo kozacki być musi.

— Przy naszym terażniejszym zbytku—dodał Wijurski—gdyż zwłaszcza za terażniejszego pana, który wszystko zczudzoziemska lubi widzieć, dzianety, bachmaty, najprzedniejszej krwi konie u nas po stajniach, z takim jak wasz pokazać się trudno; ale bał koń



jak żona, piękna czy nie, gdy poczciwa i wierna, to grunt.

— Zważaliście konie pana Kazanowskiego?—mówił dalej p. Szczepan.—Ten, co to go prowadzili pod deką, na którym widać było pokrytą tarczę i sahajdak?—Rumak to samego pana, od parady.

— Piękny i dzielny — odparł Płaza—ale co nam po takich. Do wojny się on nie zda, bo pieszczony, do podróży niewytrzymały. Od zimna go trzeba nakrywać, bo sierść na nim jak aksamit lub atlas nie zagrzeje, w gorąco cały w potach, ocieraj go. Trochę zażyjesz—ochwyci się, trochę zmęczysz — nie je. Pański koń.

Ruszył ramionami.

— Ale na oko choć malować—dodał Wijurski.

— Zbytki tu u was widzę we wszystkim—dodał Płaza—prawda, żem zdawna w tym kraju nie bywał, a na kresach życie inne, obozowe, żołnierskie; ale mi się zda, że przed dwudziestu laty i tu inaczej wyglądało.

— Być może—odparł Wijurski — nam to nie bije tak w oczy, bo się odmieniło powoli, a wyście nagle ujrżeli, snadniej różnicę widzicie. Za każdego panowania u nas odmiennie dwór pański, a za tym i inne dwory się układają.

Za Stefana Węgra było wszystko zwęgierska a rycersko, przepychu nie znał, ale ład zaprowadzał; żołnierz był pierwszy... Za nieboszczyka Zygmunta, który wcale na wojownika się nie sposobił i więcej z różańcem niż z szablą chodził, dwór się ubierał, mówił i szwargotał zniemiecka. Okazałości przybyło, nie wiem czy siły... Za teraźniejszego pana zeudzoziemska też dwór i panowie się noszą.

Wielu nawet się poprzebierało, że ich za polaków poznać trudno. Capella włosy, malarze flamscy, pod czas i francuza spotkasz, a niemcy też nie rzadcy i wszystko się świecić musi a kapać od złota. Nabożeństwa teraz, zwłaszcza po śmierci królowej,

mniej, a no zabawy huczne i stoły suto zastawne, a piwnice pełne... Wesoło u nas bardzo.

Płaza słuchał z uwagą wielką.

— Dobrzeby to było—zamruczał jakby mimowoli—gdyby na granicy od tatarów kozuchami i pieniędzmi pokoju nie trzeba okupywać.

I chwilę jechali milczący.

## II.

Nazajutrz pod wieczór, w ślad jadąc za taborem marszałka Kazanowskiego, który z łowów powracał, zbliżyli się dwaj podróżni ku Warszawie.

W ciągu podróży nie ustawała prawie rozmowa, ale dziwna rzecz, Wijurski, który się spodziewał coś dobyć z towarzysza, obrachowawszy sumienie czuł, iż ten Płaza więcej z niego wyciągnął daleko, niż się sam wygadał. Tyle o nim teraz wiedział Wijurski, co wyjeżdżając od Skroby, ale postrzeżeń uczynił wiele i był pewien, że ów Płaza nie dla oddychania mazowieckiem powietrzem do Warszawy sunie.

Sama jego ciekawość pewnych stosunków wyżej sięgających poza sferę, w której się obracał, podejrzaną była p. Szczepanowi. Zaspokajał on ją, bo tajemnic nie było w tem co mówił, ale nabywał przekonanie, że ten powracający od kresów szlachcic miał zanadto coś więcej niż wacek pełny.

Nie popisywał się on z tem też, że grosza miał podostatkiem, lecz mimowoli się z tem wydawał. W pierwszym miasteczku, gdzie miodu i wina dostać było można, zaprosił Wijurskiego i sprawił mu ban-



kiet prawdziwy. Szczukę kazał zgotować po żydowsku, pieczeń upiec, a napoju postawił jak nie na dwu, ale i na dziesięciu. Prawda, że sam pił, pił i nie mógł ani ugasić pragnienia, ani mu szło do głowy i w mózgu mąciło. Potniał tylko, czerwieniał, oczy mu coraz ognistej się paliły, głos trochę podnosił, lecz ni słówkiem się nie zdradził, ni go to zmęczyło.

Gdy mu się Wijurski od trunku wymawiał dziwiąc, że on tak wiele go znosi, rzekł Płaza.

— Trzeba na kresy jechać, aby się pić nauczyć i to na gorzałce, bo tam, krom kwasu i jej, mało co znaleźć. Życie się prowadzi takie, że czasem w gębę niema co wziąć i kropli wody nawet nie dostać. Dorwie się potem człek do strawy i napoju, musi za głód i pragnienie sobie odplacić... i ot tak...

Ręką zamachnął.

— A waszmość — zapytał Wijurskiego nagle — kędy myślicie zajechać w mieście?

— Ja?—odparł podkoniuszy—jasna rzecz do dworu książęcego. Teraz w Warszawie mało który z panów nie ma albo dworu choć z drzewa, lub i muranego pałacu. Przy każdym stajnie, kuchni i dla czeladzi a dworu pomieszczenie.

— No, aleć przecież i gospody się znajdują dla tych, co, jak ja, nie mają ani pana, do któregoby zajechali, ani własnej budy.

Wijurski się trochę namyślał z odpowiedzią.

— Juścić—odparł po przestanku—dach i gospodę i wygodę znajdziecie łatwo, szczególnie przy Długiej ulicy, gdzie austeryj i gospód różnych siła jest, ale musicie się wprzód z mieszkaniem obrachować, aby starczył, bo gospodarze drą niemilosierdzie i za to co dają i czego nie dostarczają.

Gdybyście posłem byli cudzoziemskim — dodał śmiejąc się p. Szczepan—to jak w dym moglibyście do tego gmachu, który Giełdą nazywają.

Płaza się zmieszał widocznie, oczy spuścił.

— Piękny ze mnie poseł! — zamruczał mocno poruszając ramionami i koniowi dawszy niepotrzebnie nahajem po bokach.

— No, kiedy się do Giełdy za darmo wprosić nie możecie, to do wyboru macie oprócz tego gospód różnych dostatkiem, od najpośledniejszych do najparadniejszej, która jest Giżowska.

W tej czego dusza zapagnie dostaniecie, nie tylko piwa garwolskiego i wareckiego, nietylko siana i owsa, miodu i wina, ale i łaźnia osobna i fontanna pańska i ogródeczek zasadzony ziółkami.

— Ach—przerwał Płaza—chyba żartujecie sobie ze mnie, bom ja chudy pachol, a tam dla panów gospoda z wymysłami.

— Są i pośledniejsze i tańsze — dodał Wijurski. — Po Giżowskiej idzie Kalina, ale ten drze. Długoszowska gospoda mierna, u Gąsiorka się mieszczą ci, co tanią mieć chcą a wygodnie. Karmi dobrze, tylko tam w izbie spólnej spać będziecie musieli, bo osobnych niema, o które też i u innych trudno. Co najmniej we dwu, we trzech, albo i czterech zebrać się trzeba, aby sobie alkierzyk dostać.

Ja też tam niedaleko będę, bo mój książę podkomorzy ma tam właśnie dwór, którego jedne wrota na Długą ulicę wychodzą. Zobaczycie go łącno, bo choć to z drzewa, ale po pańsku wystawione, obszerne, a izba stołowa choć na stu ludzi. Niedarmo o Radziwille powiadają: Rad—żywił. U nich gościnność we krwi i rodzie.

— Jakże go zowiecie tego co mi go zalecacie? — spytał Płaza.

— Kalina się zowie. Łatwo go znaleźć, bo i wiecha wywieszona i znak jest i około gospody zawsze ludzi, szczególnie przekupniów natrętnych, stoi dużo.

— Ale to tam ładajaka gawiedź musi zajeżdzać, a...— rzekł Płaza i urwał zadumany.

— Cóż chcecie, panowie do gospód nie zwykli — odparł Wijurski — oni albo własne dwory i dworki



mają, lub do przyjaciół jadą. Wstydziłby się z nich każdy do gospody, jakby już ni brata ni swata nie miał. Ale u Kaliny szlachta mazowiecka, ba i dalszych stron, dworscy tych panów, co tu dworów nie mają... no... i wszelki człek obcy. Gwar, co prawda, dzień i noc, za to się człek nie znudzi i przysłuchać jest czemu.

— Jabyśmy najlepiej wolał—wtrącił Płaza—mieszczanina sobie znaleźć, coby mi izbę, nie izbę, komórkę bodaj wynajął i dla konia w stajni żłób. Kto wie jak ja tu długo postoję. We wspólnej izbie spać, gdzie i nocą spokoju niema i kłótnie częste... i mieszka człek nie pewien...

Spojrzał ku Wijurskiemu.

— Mieszczan ci to ja znam wielu — rzekł podkoniuszy — ale oni nie radzi na gospodę kogo przyjmują, zwłaszcza nieznanego. Warszawscy mieszczanie też teraz urosli, nie licząc już takich jak Giże, jak Baryczkowie, co jeszcze za dawnych czasów prym tu wiedli, jak Strubiczowie, jak Drewnowie... nie policzyć bogatych i możnych, a no do tych przystęp trudny. Zobacz w ulicy panienkę albo jejmość którą Gzerską, Dzanottową, Kedrowską, Wolską, Kociszewską, gdy do kościoła lub na przechadzkę wyjdą, nie poznasz, że mieszczanka, tak klejnotami, atlasami, forbotami, fontaziami się to stroi, z góry patrzy na biednego człeka, a na paniczów zerka.

— Ba, po tych mi nie — szepnął Płaza — jam chudy pachol, a choć chleba od nikogo, dzięki Bogu, nie potrzebuję, za starym już, abym szalał.

— Więc wam inaczej radzić nie umiem — odezwał się Wijurski — tylko do Kaliny, a że mnie w tę samą stronę droga, zaprowadzę was do niego i zalecić mogę. Rozpatrzycie się później, albo poznamiecie, a może się mieszczańska znajdzie gospoda.

Podkoniuszy rzucił okiem na ponuro zamysłonego towarzysza i dodał.

— Macie-li sprawy jakie w mieście, wedle tego

się i gospodą trzeba mieścić, gdzie dogodniej a nie daleko, bo się Warszawa teraz rozrosła z Nowem miastem i przedmieściami. Panowie coraz to mieszczkańskie place, ogrody i role wykupują, a ci dalej ustępują od środka. Panom bliżej zamku i swoich być najlepiej przystało. Nigdy się tak nie budowano jak teraz. Cegielnie się na Skarżyszewie, na Pradze, na Nowem mieście i w Ujazdowie mnożą, bo panowie się do murów rwą, a co najmniej zpruska napół cegłą budynki stawia, drudzy i marmur sobie sprowadzają, szczególnie na odrzwia i posadzki. Cieśle też do czynienia mają.

Jeśli więc sprawy jakie do panów macie — dokończył Wijurski — w Długiej ulicy wam będzie najdogodniej.

— Ja? ja? — podchwycił nagle Płaza z przymuszonym uśmiechem — ale ja żadnych tu spraw nie mam. Nikt mnie nie słał, nikogo nie znam. Z dawnych czasów nazwisk się w pamięci coś zostało, ale lat dwadzieścia, wielki to przeciąg; z tych co żyli niegdy, mało na świecie jest.

— Zawsze nie może być, byście kogo znajomego nie naleźli — rzekł Wijurski.

Płaza obejrzał się niespokojnie dokoła, ramionami poruszył, wargi mu zadrżały jakby coś mówić chciał i mruknął.

— Jam nigdy nie mieszkał w Warszawie.

— Długo tu myślicie pozostać? — zapytał podkoniuszy.

— Sam nie wiem — ociągając się rzekł powoli Płaza — jak trudno mi powiedzieć pocem się tu przywlokł, tak i przeczuć niełatwo co tu będę robił i czy wysiedzę.

Nastąpiło milczenie, a zmarszczone czoło Płazy świadczyło, że się zadumał głęboko i smutno. Nagle konia batogiem uderzył i przybliżył się z nim do Wijurskiego, patrząc mu ostro w oczy.

— Zdajecie mi się dobrym i szczerym człowie-



kiem — odezwał się — powiem wam więc, czego bym przed lada jakim się nie zwierzył. Dowiedziecie się prawdziwej przyczyny, dlaczego ja naprzód kraj porzucił, a teraz do niego powracam.

Wijurski mu począł za zaufanie dziękować, ale pomyślał sobie: Ho! ho! chcesz mnie ptaszku w pole wywieść, abym cię nie posądzał i nie domyślał się, albo nie odgadł tego co tobie nie po myśli.

Tknęło go, iż nagle ochota zwierzenia się nie czem innem była.

— Powiem to wam naprzód, że czy ja do tego nazwiska, które noszę, teraz prawo pełne mam lub nie, to Bogu wiedzieć i mnie, ale o to nie chodzi. Dosyć że z antenatów szlachcie jestem, jak lepszym być nie można. Listów na to królewskich nie mam, ale takie to już szlacheństwo, co się pargaminami nie świadectwem całej ziemi wywodzi, licha ono warte... Rodzice wieś mieli w Krakowskim... ale pod wielkiem miastem, dla mieszczan pokusa ziemian udawać, a ziemianom zachciewa się miejskich rozkoszy. I tak ojciec mój z kosterami, skomorochami i błazny miejskimi po całych tygodniach się weseląc wioskę zaszargał, że gdy zmarł opędzić się nie było można wierzycielom. Matka mężna niewiasta przecie i mnie wychowała i ojcowiznę ocaliła. Panie świeć nad jej duszą.

Jam naprzód w Wieliczce do szkoły przy kościele chodził, a potem mnie matka do Krakowa oddała do bursy. Jakem się uczył, najlepszy dowód, gdy dziś oprócz łaciny trocha, nie umiem zgoła nic... a rosłem jak na drożdżach i we mnie ojcowska pono krew kipiała. W mieście na każdym kroku do grzechu okazywa, gdzie spojrzysz przykład tego, że grzeszyć wolno, a no i bezkarnie.

Ledwie dwadzieścia lat miał, gdy mnie Bietka córka kupca tak za serce wzięła, że mój poprzysiągł się żenić, choć szlachcianką nie była, a w dodatku kupiec szwabem śmierdział; ale dziewczę było tak

piękne, że oczy perywało, a ludzie za nią gromadami chodzili, aby tylko zobaczyć. Jak się nie miała pospuć?

Matka na moje małżeństwo z mieszczką na żaden sposób pozwolić nie chciała, choć kochała mnie bardzo.

— Z chłopką bym prędzej pozwoliła — rzekła — bo te pracują i pana Boga znają, a ta twoja niemka i wiary inakzej, chodzi pono do zboru i płocha jest, a nieszczęścia naprowadzi.

Uwziąłem się ją prosić, padałem do nóg, ale nie przełamać nie mogłem. W końcu mi rzekła: Żeń się, ale bez mojego błogosławieństwa.

Niemcy mnie namówili, że bym ślub wziął przed ich ministrem, a za matkę ręczyli, że ona później się na wszystko zgodzi.

Jam chętnie na to przystał, ale gdy po tygodniu wesela w mieście z żoną przybyłem na wieś, drzwi zastałem zamknięte. Matka powiedzieć mi kazała, iż znać mnie nie chce. Powróciliśmy do miasta, gdzie w kamienicy teścia tymczasem osiadł z Bietką. Nie upłynęło pół roku, gdy matka strapiona, zachorowała ciężko i zmarła. Płakałem po niej, ale mi na rękę było na wieś z żoną jechać, bo w mieście z głodem liczyłem jejmości wielką była bieda.

Chmurami koło niej się gachy kręcili, którym ja, zazdrośnym będąc, opędzać się musiałem. Nie liczę tego ile guzów nabiłem i motylów\*) nabrałem dla niej.

Plaża westchnął.

— Narodziła się nam wreszcie córeczka, a żona zmuszona teraz jej pilnować i o swe zdrowie dbać, trochę się usatkwowała. Mnie się szczęście zdawało uśmieszać, choć na wiosce małej tak jak myśmy byli

\*) Sińców.



żyć nawykli, trudno było wydolać. Skarżyła się jejmość, jam czynił co mógł.

Rychło po urodzeniu dziecka zatęskniła za swemi i zabrawszy je w odwiedziny do Krakowa ruszyła. Miała powrócić nie mieszkając. Jam na wsi gospodarował. Tymczasem minęło tygodni dwa i trzeci się napoczął, a jejmości nie było z powrotem. Nakazywała tylko — rychło wróć — abym się nie kłopotał.

Mnie bez niej tęskno było tak, że jednego wieczora, wprost z pola, pojechałem do miasta i gdyby nie dobre znajomości, jużbym się nie dostał do niego, bo bramy były pozamykane, ale mnie fiertelnicy furta puścili.

Wprost, jakby mnie co tknęło, pobiegłem do domu rodziców żony, a tu konia do płota przywiązawszy, gdym przez szpary okiennicy światło w izbie żony zobaczył, podkradłem się... Zazdrość jakaś mnie pchała, coś mówiło, że nieszczęście mnie czeka.

Okno to było mi dawno znane, że przez nie z боку na izbę, mimo okiennicy zajrzeć było można. Biełka leżała na łóżku, a na skraju jego siedział włoch kupczyk Czeryn, który i dawniej bardzo koło niej zabiegał... Śmiali się i całowali... W oczach mi się zrobiło ciemno, tylko żem nie padł trupem, ale złość i gniew siłę mi dał. Z ogródka drogę do izby znałem dobrze, i gdym do niej wpadł nagle, Czeryn ratować się nie miał czasu ucieczką... położyłem go trupem w miejscu, tak, że w znak padł na łóżko żony mojej i całe je obroczył.

Kobieta się z krzykiem wyrwała, bo się obawiała takiego samego losu i dziecię z kolebki chwyciwszy, uciekła.

Mieszczanie u siebie w domu byli; pochwyciono mnie zaraz a sprawa o mężobójstwo się wywiązała szpetna, gdzie ten zdrajca czystym się miał okazać, żona niewinna, a ja poprostu rozbójnikiem. Sprzyślegli abym gardło dał... Nikt do mnie dostąpić nie

mógł, kajdany mi włożyli... jużem myślał że życiem przypłacę, gdy zmieniono mi więzienie i postrzegłem, że z okna na lada sznurku spuściłbym się mógł i uciec. Straż piła i niezbyt ostro doglądała, mnie strach śmierci zuchwałym czynił, i o mało karku nie skręciwszy, potłuczony za murem się znalazłem miejscem, a nazajutrz w lesie opodał, gdzie mnie już dognać i wysłedzić było trudno.

Głodu i wszelakiej biedy zażywszy, z pomocą jedynego druha, jakiegom w życiu miał, potrafiłem się odziać, uzbroić i szkapę kupić. Wioskę i co w niej było wierzyście wnet pochwycili. O żonie tyłem wiedział, iż z Krakowa i ze świata znikła, a i później o niej ani tu ni gdziekolwiekbaż dowiedzieć się, dojść nie było podobna. Mówili jednak ci, co wiedzieć coś mogli, iż ona zmała, a dziecko żyło i poszło na obce ręce. Druh, który zmarł temu lat kilka, o tem mi nakazywał, iż w Warszawie na jakiś ślad jej natrafił.

Jam przez cały ten czas puściwszy się na kresy, zapomnieć chcąc o wszystkim, tam pozostał... Otóż mi się zatęskniło... a nuż dziecko moje odszukać potrafię...

Wijurski słuchał opowiadania tego, dosyć nieporządnego, popłatanego, a jak mu się zdawało, niezbyt do prawdy podobnego, z uwagą. Przygoda mogła być nieklamana, ale w niej dużo ciemnego zostawało. Począł tedy pytać.

— A na czemże nadzieję opieracie, że córkę znaleźć możecie? Pewnie i nazwisko zmieniła, a dziś po dwudziestu latach, kto wie, co się z nią dzieje?

Prawda to, że i po cienkiej nitce do kłębuszka dojść można, ale ja tu bo nitki nie widzę.

Płaza westchnął.

— Mało i ja mam nadziei, ale wiem tu o ludziach, którzy o rodzicach żony i o niej powinnyby coś wiedzieć. Prawda, iż czasu dosyć przeszło, ale próbować potrzeba... nie byłbym tak na świecie jak palec,



gdybym dziecko przynajmniej odszukał, które może przeklinać mnie nauczyli.

Gdy to mówił, Wijurski zważał, że choć chwilami gniew z niego buchał, ale miłości dla dziecka i troski o nie nieokazywał bynajmniej, z czego wnosił, iż choćby historia prawdziwa była, nie ona tu Płazę prowadzić musiała.

Nie miał zresztą powodów podejrywać go o nic... prosta tylko ciekawość skłaniała go do tego, aby z towarzyszem podróży nie zrywał. Razem tedy nad wieczór już pominawszy Skarżyszew z jego ratuszem i śpichrzami i targowe place na Pradze, przeprawili się przez Wisłę i wjechali do miasta. Płaza, który tu od bardzo dawna i krótko bywał, w samej istocie się nie umiał ani pokierować, ani mógł rozpoznać, tak się wszystko dziwnie właśnie pod te czasy odmieniło.

Wyglądało miasto wcale inaczej niż dzisiejsze, gdyż każdy niemal dom i dwór ogród miał, plac obszerny, oparkaniony, przy niektórych stare, przy innych nowo posadzone stały drzewa. Gdziekolwiek wznosiły się murywane pod dachówką i blachą kamienice i pałace z oficynami, stajniami i kuchniami, ale większość dworów była drewniana, z pruskiego muru, lub otynkowana tylko, co właśnie we zwyczaj wchodziło.

Zamek od przodu staremi szopy i budowlami wiecznemi zasłonięty, nieokazał się stawił, ale i tu już nowe mury widniały. Kościołów było dosyć starych i nowych, a z tych niektóre z wieżami. Ulice za to całe się niepocześnie ukazywały, zapuszczone, niewszystkie prosto powytykane, pełne śmiecia i błota. Mało gdzie bruk znaleźć było można.

Przy tem wszystkim w pobliżu zamku, na Nowem mieście, około pałacu na Ujazdowie, przy Cerkwie i Gieldzie na Długiej ulicy, życia i ruchu było dosyć.

Po drodze Wijurski, który tu wszystko na palcach

znał, każdego domku właściciela mógł wymienić, objaśniał Płazie do kogo mury i pałace należały, zdala mu ukazując Kazanowskich, Ossolińskiego i inne przedniejsze gmachy.

— Niesłychane tu u nas się wzięły przepychy — rzekł — o których dawniej i na królewskich zamkach słyhu nie było. Marmury na posadzkach, na ścianach, tramy na stropach pozłociście. Pan marszałek nadworny, gdy się znuży a zechce mu się z dołu na górę wnijsć, siada sobie na krzesło i kunszt ma taki czyli wagę, że go podnoszą. Z piwnicy wino wprost do jadalni do srebrnych beczek puszczaają.

Kunszty we wszystkim takie, o jakich dawne wieki nie słyszały.

Cóż powiedzieć o obiciach na ścianach, z których niejedno zdałoby się na suknię od parady, o posągach lanych i z kamienia urabianych, które stoją jak żywe, o drzewach pod szkłem, które owoce rodzą u nas niebywałe.

Płaza się rozśmiał.

— Piękneć to rzeczy są i pańskie — odezwał się — ale ci co ich zażywają czy nie zniewieścieją od nich? Będą się-li oni bić, gdy tatarzyn napadnie?

— Młodzieź? tej na animuszu nie zbywa — zawołał Wijurski — a co do starych, ci już mówią, że swój dług za Batorego spłacili.

Ruszył ramionami.

— To prawda, że miękkości w obyczajach wiele przybyło — ciągnął dalej podkoniuszy — sędzę jednaak, iż póty jej, dopóki pokoju. Gdyby na wojnę zatrąbiono, ruszyłoby się wszystko, nawet i sam król, choć okrutnie się roztył i ocieżał, ale rycerski duch w nim żyje.

— Na kresach — z pewnem wahaniem cicho i ostrożnie przebaknął Płaza — chodziły i chodzą wieści, jakoby król na turka miał się siłą wielką sposobić.



Wijurski spojrział nań.

— Kresowe to zwyczajne plotki — rzekł — bo tam czego się pragnie o tem się roi... a no u nas szlachty na pobór i na ruszenie, na wojnę przeciwko pohanom nakłonić, nie potrafi najmędrzy! Król zaś sam ani wojny wydawać, ani jej prowadzić nie ma u nas prawa, i choćby popróbował, nie wiem czy mu się to uda.

Mileżał trochę plaza.

— A król-że to sposobów nie ma—rzekł—szlachtę przymusić, żeby szła za wolą jego? Od czegoż królem jest?

— Jak to znać, że waszmość od kresów przyciągasz. Próbowal-ci tego Stefan nieboszczyk, próbował Zygmunt, ale nie udało się im obu, a nasz pan bodaj nie ma żelaznej ręki pierwszego, ani ojca swego mądrości i poparcia, jakie on miał w rakuszaninie.

Plaza się zadumał, nie rzekł już nic, a oto ku Długiej ulicy przeczną Miodową się zbliżali. Tu, chociaż wieczór był, ludno się roiło i gwaro, po domach przez okna światło biło, a około nich z latarnikami ludzie się zwijali i jak iskierki migwały ich łożowe świece w szklanych i papierowych osłonkach. Gospoda Kaliny, do której grzeczny Wijurski doprowadził towarzysza, szeroko się rozsiadała, a ogromne jej dotychczas otwarte wrota jak czarna paszczyka... pełno było stojących tu ludzi, przekupniów i gawiedzi ciekawej. Wozów kilka stało u wjazdu. Cały rząd okien błyszczał ogniami rozpalonemi po izbach.

Kalina, otyły i gruby człek, krzykiem i pięścią u wrót robił porządek, starając się jak najwięcej gości pomieścić, choć ich już zdawało się w gospodzie pełno.

Znał go trochę Wijurski.

— Hej mości Kalino! — zawołał — ja tu wam gościom przyprowadził i poleciłem waszą gospodę

jako lepszą od Giżowskiej; nie uczynicie mi sromu, a niech niegłodny i spokojny będzie.

Kalina się obejrzał na Płazę, ale mu śnać niebardzo wpadł w oko.

— Widzicie sami — rzekł do Wijurskiego podchodząc a rękami ukazując — tłok wszędzie, zjazd wielki. Senatorowie na radę, szlachta z prośbami do króla. Nietylko u mnie napchano, ale wszystkie austerye pełne. Wiązki słomy pod głowę dostać trudno.

— Ale zmiłujcież się — przerwał Wijurski.

— Bądźcie spokojni, u mnie zawsze kącik jest jakiś w zapasie... ale dla niewybrednych.

To mówiąc despotycznie pochwycił za cugle konia Płazy i pociągnął go za sobą. Szlachcie tymczasem zsiadłszy, ostrożny naprzód się zabrał do odpinania trok, bo nie był pewnym, żeby mu ich tu kto nie oderznął.

Konia potem z terlicą pacholce już oddał bezpiecznie, worki sam na ramię zarzuciwszy, gdy Kalina drzwi otworzył i wszedł z nim do izby.

Tu wrzało jak na targowicy. Na kominie gorzał ogień ogromny i izbę oświecał całą. Zastawiona była stołami i ławami tak, że pomiędzy niemi drogi tylko wązkie pozostawały. Wszystkie niemal miejsca na tych ławach były zajęte, a na stołach blaszane, szklane, drewniane naczynia, gliniane miski gęsto były ustawione na szarych, poplamionych obrusach. Towarzystwo liczne, z bardzo rozmaitych składało się żywiołów.

Nie było wprawdzie ludzi, którychby do chłopstwa zaliczyć można z wejrzenia, ale ręczyć za szlachectwo tego tłumu niktby się pewno nie ośmielił.

I suknie i twarze, różne narodowości i plemiona zdawały się cechować; litewską śpiewną mowę, mazowiecki, wielkopolski, rusiński akcent się przebijał.

Nie zbywało na węgrach i na wołochach, aui na Niemcach, ale ci się z mową nie popisywali.



Dostatnie i wyszarzane odzieże ocierały się o siebie.

Woń kwaśnego piwa górowała tu nad innymi wyziewami odzieży, kożuchów, dziegieciem smarowanych butów, przyskwarzonej tłustości i woni, człowieka naostatek, który nie jest jej pozbawionym. Lecz Płaza przyzwyczajonym być musiał do tego wszystkiego, bo się ani skrzywił. Niósł na ramieniu sakwy i idąc za gospodarzem oglądał się tylko, gdzieby bezpiecznie mógł swój ciężar złożyć. Prowadzący go Kalina tarł głowę, bo i on oczyma miejsca szukał, a znaleźć go nie mógł. Ludzi, węzłków, worków, sakw różnych pełno było.

Przeszli tak pierwszą tę izbę i wstąpili na próg alkierza, który spokojniejszy się wydawał, ale i tu pełno było. Ogień przygasły w kominie nie dawał dobrze rozpoznać siedzących. Płaza się już zatrzymać chciał, gdy Kalina mu dał znak i w kącie pod ścianą na ławie miejsce ukazał. Wprawdzie pod ławą ktoś już złożył swe rupiecie, lecz kawał twardej deski w samym rogu i dwie ściany, o które się zeprzeć było można, nie starczyły dla takiego podróżnego?

Gospodarz odezwał się cicho.

— Tymczasem... znajdziemy może i lepszego coś...

Płaza rzucił swe sakwy.

— No, a jadło? — zapytał — a wódka?

— Cierpliwości, wszystko się znajdzie — rzekł Kalina. — Gorzałki zaraz przyślę, a na krupnik i kluski trzeba poczekać, aż dla wszystkich będą gotowe.

— A gdzież ja tu będę jadł? — mruknął Płaza oglądając się — na kolanach jam nie zwykł.

Kalina rękę podniósł do góry i zawróciwszy się odszedł bez odpowiedzi. Mruczając a może przeklinając Wijurskiego, siadł p. Lasota przy swych węzłkach, ale tak mu mało zostało, że daleko wygodniej pono na terlicy i na szkapie niż tutaj.

Westchnął i ziewnął razem.

Upłynęła tak chwila, oczy mu się mimowolnie kleiły, w izbie mrok pokrywał wszystko, gdy z pierwszej gwarnej tej gieldy, ogromnego wzrostu mężczyzna wszedł krokiem powolnym do alkierza, począł oczyma rzucać po kątach, zoczył Płazę, zbliżył się i podniósłszy rękę szeroką jak łopata, uderzył go nią po ramieniu.

Ten poufały gość, zbudowany jak pacholki miejskie, których dobierają siłaczów, z wąsami zachodzącymi mu za uszy, w stroju z kozacka, w czapce baraniej, długich juchtowych butach i pasie szerokim czerwonym, srogą miał i niemłą twarz; ani dziw, że Płaza się zachnął.

Drab się pochylił śmiejąc ku niemu i do ucha coś szepnął. Płaza dał mu tylko znak milczenia. Przybyły się obejrzał wkoło z uwagą i począł półgłosem.

— Tylkoś wszedł na próg tom cię poznał.

— A ja tu nikogo nie znam i znać nie chcę — odparł popędliwie Płaza. — Powinieneś to rozumieć...

Nastąpiło milczenie, kozakowaty drab skrzywił się.

— Niechaj tak — rzekł — a ja wam tyle no powiem, że się bezemnie nie obejdziecie.

— Może być — mruknął Płaza.

Drab stał uparcie.

— Kto wam tu wskazał? — spytał.

— W drodze spotkał jakiegoś szlachcica.

Poszeptali coś między sobą i pachol wolnym krokiem się oddalił. Rozmowa ich nieczyjego nie zwróciła oka. Sam Kalina przyszedł niosąc flaszkę gorzałki, którą zalecał, bo miała być z pieprzem i jedyna po fatygach i niewczasach podróży. Płaza też wychylił jej naraz dwa kubki, a dobry kawał chleba z solą służył za zakąskę.

Do spożycia krupniku znalazł się kątek przy stole, ale następowała godzina spoczynku i Płaza na próżno się rozpatrywał po izbie, gdzie i jak się umieścić potrafi. Ci, którym pilniej było, ani na gwar,



ani na ciasnotę nie zważając mieścili się na podłodze, sami sobie kule słomy przynosząc.

Plaza mógł się przypatrzeć, jak szlacheckim obyczajem, każdy z gości, zabierając się do spoczynku, po pacierzu szablę starannie u boku swego mieścił, tak aby na wszelki przypadek mieć ją pod ręką.

Przysłowie stare uczyło:

Bez karabeli.

Ani z pościeli.

Ogień powoli na kominach wygasł, trzeba było pomyśleć o sobie. Plaza miał już pójść po słomę, której mu dostarczyć nie myślano, gdy drab, co go tu wprzód powitał, zjawił się we drzwiach ze dwoma kulami na plecach, i jeden z nich rzucił mu pod nogi, a sam słowa nie mówiąc, do pierwszej izby zawrócił. Tu jeszcze głośno rozprawiano, śpiewano, i choć na mieście wytrąbiono gaszenie ognia i spoczynek, w gospodzie bardzo powoli przychodziło uspokojenie.

Niektórych sen nad stołem zmorzył i chrapali nad nim schyleni. Plaza się nie rozdziewając, pasa tylko trochę popuścił, trzos, który miał pod nim zaplął na inną dziurkę, głowę obwinał opończą i kamiennym snem zasnął.

### III.

Zaledwie dzień poczynąło, gdy się już u Kaliny ruszyli czeladź i goście. Właściwie rękłszy nocy tam nie było, bo nim się jedni pokładli, drudzy już wstawali, a na kominach wieczorny ogień nie wygasł, gdy ranny rozpalano. Po izbach wśród uspio-nych snuły się ciągle jakieś rozespiane postacie, po-

tem niektórzy wstawać zaczęli głośno odmawiając pacierze, w stajni około koni ruch się zrobił, i życie wczorajsze powoli na nowo przedło.

Plaza spał, choć około niego ruszano się, chodzono i stukano. Pootwierano okna; niektórzy się sposobili do drogi i rachowali krzykliwie z gospodarzem, nowi nawet podróżni co nocą pośpieszali, zjawiali się chłodem poranka przejeći. U studni w podwórku widać było de pasa obnażonych iehmościów, którzy prosto z niewygodnego barłogu poszli się zimną wodą oblewając pokrzepić.

Słowem nim w ulicach miasta ludzie się snuć zaczęli, zaledwie po kościołach dzwoniło na ranne pacierze, już u Kaliny pito, zajądano i żwawo się obracano. Piwa grzanego, polewek i gorzałki ledwie mógł gospodarz nastarczyć.

Wstał nareszcie i Plaza, ale że się chciał całkiem przyodziać, odzież zmienić, troki swe rozwiązać, a tu miejsca nie było i dla ciekawych oczów nie chciało mu się karmi dostarczać, burząc zażądał alkierza, gdzieby sam mógł choćby na czas pozostać. Dano mu w istocie na pół ciemną spiżarnię pustą, w której strasznie stęchliznę i gnilec czuć było, a powietrze dreszczem przejmowało, ale człek był wytrzymały więc sobie nie przykrzył.

Gdy wyszedł potem z komory, lepiej wyglądał, chociaż z sukien widać było, że długo nieużywane leżały. Z pasa, z szabli a nawet żupana lamowego wydawał się szlachcicem dostatnim, chociaż długi pobyt na kresach zapewne, ruchy mu nadał jakieś gwałtowne i zamachy kozackie.

Z chmurą na czole, zadumany, naprzód do wódki się wziął, a potem do misy grzanego piwa ze śmietaną i serem, którą opróżnił, i wasy otarłszy zabierał się wychodzić. Sakwy gospodarz pod klucz zabrał, a koń którego straż parobkowi powierzył, miał się dobrze, mógł więc ruszyć na miasto.

W progu już napędził go ów drab wczorajszy



w koszuli i bieleźnie tylko, bo się ledwie w stajni z pod żłobu, gdzie spał pono, pochwycił, i poszeptali coś z sobą. Plaza wyszedł wreszcie w ulicę.

Niedaleko od Kaliny stał ów dwór księcia podkomorzego Radziwiłła, do którego Wijurski miał zajechać. Spojrzawszy w tę stronę, Plaza po krótkim namyśle naprzód się tu zawrócił. Za nocleg wskazany dziękować nie było warto, ale Wijurski mu był potrzebny.

Parkanem mocnym ogrodzony dworzec Radziwiłłowski miał jedną bramę z furtą od Długiej do której zapukał Plaza. Wpuścił go stróż bez pytania.

W podwórzcu ogromnem, o tej porze pustem, jeszcze, bo dopiero konie poić miano i kilku parobków kręciło się koło studni, w głębi stał dwór stary, niepokazny, trochę już zwichnięty w ścianach, z wielkim herbem książęcym na szczycie, który od lat i słot całkiem był poczerniał. Dalej gdzie do wału miejskiego plac przylegał, wznosiło się nowe domostwo pańskie, którego drzewo sosnowe jeszcze zciemnieć nie miało czasu. Duże okna o jasnych szybach, ganki, dach, starannie ciesielską robotą były wykonane. Tu drzwi pozamykane czekały widać na samego pana, dla którego gmach ten był przeznaczony. Żywej duszy nie widząc przy nim Plaza udał się, mijając ogromne stajnie, ku staremu budowaniu, bo tu czeladź się kręciła.

Chociaż pana w domu nie było, a godzina wczesna bardzo jeszcze się ludziom poodziwać nie dała, na tych co się pokazywali widać było dostatek pański, Opończe bramowane, czapki z futer pięknych, lica rumiane i wypasione; zawiesiste miny litwinów znamionowały dwór magnata, butny i wesoły.

Na zapytanie o Wijurskiego, stojący w progu z rękami w boki, mężczyzna szerokoramienny z długim włosom jasnym, pochwycił przebiegającego właśnie chłopeczyka za ramię i kazał gościowi mieszkanie jego ukazać.

— Sambyś waszmość nie trafił — rzekł śmiejąc się — bo tu u nas zakamarków przepaść, a kurytarze ciemne i psów pełne.

W istocie chłopak się biegnąc parę razy o rozłożone w sieniach ogary potykać musiał i raz w lewo to w prawo skręcając po przybudówkach jakichś do drzwi napół otwartych doprowadził Plazę.

Stał w nich właśnie Wijurski.

— Czołem.

— Czołem. Przyszedłem za nocleg podziękować — odezwał się Plaza — choć niech go milion djabłów weźmie z jego gospoda... ale biednemu człowiekowi inaczej się pomieścić nie można, tylko w takim ulu piekielnym. Szczęście, że się w długim życiu do wszystkiego nawykło i do spania na terlicy i do odychania w smrodzie.

Wijurski wprowadził go do swego alkierzyka, w którym też zbytku nie było. Tarczan z siennikiem, stół prosty, ławka, półka, kilka kołków w ścianie, zydelek u drzwi z wiadrem i misą.

— Widzicie — rzekł — że i ja nie pański też nocleg miałem, tyle tylko, że sam byłem i pacierze spokojnie mogłem odmówić. Dałbym ci wam chętnie u siebie pomieszkanie, ale takie u nas prawo w książęcym dworze, iż obcych wprowadzać się nam nie godzi.

Plaza przysiadł się na ławie nieco. Wijurski tymczasem, który już ubrany był jak do miasta, szablę przypasywał, co oznaczało, iż się zabierał do wyjścia.

— A wy dokąd? — zapytał Plaza.

— Naprzód do kościoła, myślę że do Dominikańców, gdzie zawsze Mszę świętą znajdę — odparł Wijurski — a potem! ha, no, poleceń i spraw mam dosyć! A wy?

Plaza pomileczał trochę.

— Naprzód się no po mieście dziś rozpatrzę, śpię — rzekł — nie mam co, a potem... (ruszył ramionami) sam nie wiem.



Wijurski się niedowierzająco uśmiechnął, ale nie powiedział nic.

— Jeszczeście to nikogo nie widzieli? — zapytał po chwili Płaza — coż tu słyhać około dworu?

— Dziw — odparł Wijurski — i wam się to pewno o uszy obije, byleście się z ludźmi zetknęli. Wszyscy gadają o wojnie. Słyszę panowie senatorowie, większa część bardzo są jej przeciwni i nie wierzą w nią i gniewają się gdy kto o tem prawi, ale około króla szczech oręża ciągle. Ze swej kieszeni pono pan zaciągi jakieś robi, działa lać każe. Nie na kogo to być może chyba na Turka. A po co go drażnić i budzić! — dodał Wijurski.

— Juścić mi się kiedyś z poganinem rozprawić musimy, a przegnać go z chrześcijańskiej ziemi — zamruczał Płaza. — Nie komu tego dokazać, tylko królowi polskiemu.

Wijurski westchnął.

— Pięknieby to było — rzekł — ale jakoś się na to nie zanosz. Niedawnośmy jeszcze u tych zbójów kożuchami pokój okupowali, a tu nagle...

Wijurski głową pokręcił.

— I to niesworne kozactwo na granicy — dodał — gdzieby nam najlepszego żołnierza mieć na Niżu potrzeba.

Płaza drgnął.

— Oho! — zawołał — oho! coż wy sobie lekko szacujecie kozactwo. Niesworne ono napozór, ale tam siła jest; daj Boże, aby jej tyle u was tu było. Za łby się w koszu pobiorą, prawda, ale gdy razem iść trzeba na nieprzyjaciela, poborów tam uchwalać i sejmików zwoływać nie ma pocu; zakrzyknie hetman-batko na molojców! i pójda do ostatniego. A w domu z nich żaden ni żony ani dziecka nie zostawi, więc się z życiem oglądać nie będzie.

Wijurski słuchał uważnie.

— Gorąco — rzekł — kozactwa bronicie.

Płaza się zarumienił i głowę na piersi spuścił.

— Bom się mu tam i owdzie na kresach przypatrzył—dodał i powstał z ławy.

Wijurski spojrział nań bystro i po przestanku rzekł:

— Z nowin i ta druga, że się, słyszę, król nasz JMość ożenić pragnie. — To mówiąc, uśmiechnął się pan Szczepan.—He! he! w porę.

— A to dlaczego?—zapytał Płaza—nie stary jest?

— Widzieliścież go?

Zamyślił się brodaty.

— Dwadzieścia lat temu!—zamruczał.

— Zobaczcież go teraz—rzekł pocichu Wijurski.— Z całym respektem, jaki majestatowi królewskiemu należy, aleć to nie ten piękny młodzian, któremu się ongi zagranicą dziwowano a malowano. Roztył się okrutnie, rozlał, a podagra mu w nogi wlaźła, że się o kiju przechadzać musi; na konia mu ciężko, często po kilka dni w łóżku krzycząc spędzać musi.

Zobaczycież go zresztą sami.

Mówiąc tak powoli Wijurski się ruszył i za czapkę wziął.

— A coż? idziemy?

— Chodźmy—powtórzył zamyślony Płaza.

Przez ciemne przejścia wydobyli się na światło dzienne w podwórce, gdzie właśnie konie przeprowadzano pod dekami i koniuszy je mustrował. Wijurski zdala się przywitawszy ze stojącymi dworskimi urzędnikami, sam z Płazą wyszedł w ulicę i pożegnawszy go, ku Dominikanom się zwrócił. Po chwili namysłu brodaty ku Nowemu Światu, jak go już podówczas zwano, zwolna się między przecnicami orientując i ludzi rozpytując skierował.

Znałci niegdyś trochę Warszawę, ale teraz mu nowych budynków mnóstwo tak zmieniło jej pozór, że ciężko się w niej obracał.

Ostatni przechodzień, którego nieśmiało zapytał Płaza o pałac wielkiego kanclerza Ossolińskiego, rozśmiał się głośno.

— A zkądże u Boga idziecie? — zawołał—i jakieś-



cie to dawno tu nie byli, gdy o kancleński pałac pytacie?

Wskazał ręką ku szerszej ulicy.

— Idźcie, sam się on wam w oczy rzuci, bo po pałacu króla, po Kazanowskich, toć to największe i najpiękniejsze w mieście budowanie a ozdoba nasza!

Zawstydzony nieco Płaza odszedł prędko. W istocie nieopodal stał ogromny gmach, nader wspaniały, niemal królewsko wyglądający, zajmował przestrzeń znaczną ulicy, od której ozdobna brama z furta go oddzielała.

Po za nią widać było gmach, nad którego dachem okrytym górowały posągi kamienne i balasy. Z obu stron jego inne obszerne budowy zalegały, a wśród nich i nieco drzew wierzchołków z ogrodu zieleniało.

Wszystko to tak wyglądało wspaniale, iż Płaza stanął, stał, patrzył i nierychło się odważył zbliżyć ku furcie.

Wprzód nim się ośmielił na to, obejrzał się pilno dokoła, lecz w ulicy oprócz przechodzącego żebraka i wozu wieśniaczego, który skrzypiąc przeciągał, nie widać było nikogo.

Zegar wieżowy zdala bił dziesiątą godzinę, tak dużo czasu zeszło do wyjścia z gospody.

Furta stała otworem, a w podwórzu piechota strojna z halabardami straż trzymała, ale ta mu dała przejść nie pytając.

Pałac teraz główny miał na oku przed sobą i przypatrywał mu się ciekawie, mimowoli. Jako żyw nie podobnego nie widział.

— Stroją teraz panowie domy swe jak kościoły — rzekł w duchu.

Uderzyły na czole gmachu cztery naprzód posągi królów polskich, pod któremi podpisów złocistych Płaza nie czytał.

Oprócz tych statui po rogach gmachu stały dalej mnogie inne, a gdziekolwiek dach przeglądał z za

balasów złocistych, wszędzie miedź na nim przy wieżyczkach, a na większych przestrzeniach dachówkę widać było.

Płaza mało co od bramy odstąpiwszy tak się wpastrył w te dziwy, że jak wryty stał i cokolwiek się zapominał. Byłby tak może za długo pozostał w tem zdumieniu, gdyby z cudzoziemska ubrany bardzo wytwornie młodzieniec nie przystąpił do niego z pytaniem:

— Czego waszmość sobie życzy?

Zawahawszy się nieco, rzekł Płaza:

— Z Jmością panem kanclerzem widzieć się muszę. Uśmiechnął się pytający.

— Nie może to być — rzekł — dopóki kanclerz nie rozstrzygnie, czy wam posłuchanie dać zechce, a na to potrzeba, aby wiedział sprawę, która was tu sprowadza. Czas mu drogi.

Płaza skrzywiony podniósł wzrok swój przenikliwy ku mówiącemu i rzekł bez uniżoności, jakiej się może młodzian spodziewał:

— Są przecie sprawy, których się nie zwierza — rzekł — a takie tylko samemu panu do ucha należą. Właśnie też moja taka.

Namyślił się nieco.

— Jeśli to wasza rzecz rozstrzygać lub kanclerzowi podawać wiadomość — dodał — chciejcie powiedzieć, że z listami przybył ktoś od kresów, ale ich nikomu nie wręczy, tylko samemu Jmości.

— Chodźcież za mną — odparł młodzian poważniejąc.

W milczeniu pominęli pierwszy ów gmach od czoła i zeszli ku ogrodowi, wśród którego stał drugi nie mniejszy, ani mniej ozdobny, również marmurami okładany, posągami i balasami strojny! Wszędzie widać było nadzwyczajne staranie o to, aby się wszystko prezentowało pańsko i niepowszednio, bo nawet studnia u muru na sposób włoski była przyozdobiona



i lwia paszczęka rozwartą wylewała z niej wodę do ogromnej konchy kamiennej.

Wszystko tu Płazę zdumiewało aż do latarni u wnijścia pozłocistych, przy których znowu kilku pieszych żołnierzy z halabardami stało na straży; a żołnierz to był nie tyle od wojny co od parady, cały w jaskrawych sukniach i obszyciach lśniących.

Młody przewodnik jakby chciał zdziwionemu szlachcicowi dać jak największe wyobrażenie o wspaniałości pana swojego, szerokimi wschodami marmurowemi wprowadził go na górę i pominawszy antykamerę, przez drzwi, sadzone misternie drzewem zabarwionem i kością, wwiódł go do ogromnej sali.

Tu waszmość poczekaj na mnie — rzekł z uśmiechem — czas mu się dłużyć nie będzie, bo jest się czemu przypatrywać.

W istocie sala to była jedna z najwspanialszych w pałacu, na którą się ówczesny smak i kunszt wysadził, a kanclerz kosztu nie żałował. Ani na zamku, ani u Kazanowskich, którzy jedni mogli z Ossolińskim iść w zawody, nie piękniejszego widzieć nie było można.

Okna, umieszczone w górze, oświecały ją i czyniły wesołą. Strop i część ścian całe były gipsaturami złoconemi okryte, których linie, zwoje, floresy układały się wielce wdzięcznie. W górze pośród nich marmurowe popiersia cesarzów rzymskich, przywieszone z Rzymu, stanowiły wytworną ozdobę.

Od stropu począwszy, opasanego sztukaterią bogatą, aż do posadzki wysadzonej we wzory kunsztownie, wszystko było nadzwyczaj starannie wykończzone. Wielki, przepyszny komin z czarnego marmuru w pośrodku poprzecznej ściany monumentalnie się wznosił.

Ściany same prawie całe okryte były ogromnemi obrazami, umyślnie z rozkazu kanclerza przez włoskich mistrzów malowanemi wedle skazówek danych przez niego. Przedmiotem ich były dzieje domu now-

sze i dawniejsze, bo u Ossolińskich teraz i prastare tęczyńskie jednoczyły się tradycje.

Nad kominem samym wisiał obraz, przedstawiający króla Władysława IV na białym koniu wśród pola bitwy. Obok obraz przypominał chorągwie (siedem) kopijników, które Ossolińscy na obronę kraju wystawiali; na prawo, Ossoliński w chwili, gdy rokoszanie zetrzeć się mieli z wojskiem królewskim, z niebezpieczeństwem życia rzucający się między szeregi bratnie, aby starcia bezbożnego nie dopuścić.

Wizerunki Ossolińskich malowane przez ich dworskiego malarza Ammana, sceny z dziejów rodziny, bitwy, jedna, w której Ś. Anna patronka życia ocalała przodkowi kanclerza, w złocistych ramach zajmowały całe ściany. Sala poświęconą była tym wspomnieniom chwały przodków, której kanclerz usiłował nową dać świetność. Znakomity mówca i dyplomata potrafił zająć stanowisko przeważne i utrzymać się na niem do końca.

Płaza patrzył, patrzył i napatrzeć się nie mógł. Jedna ta sala dawała mu wyobrażenie potęgi domu i wielkości człowieka, który się tym blaskiem otaczał.

Jeden z wielkich obrazów, wystawiający koronację królowej przez biskupa Ossolińskiego, ściągnął uwagę Płazy. Rysy pięknej pani przypomniały mu snadź jakąś znaną twarz dawniej ukochaną i powieki jego zrosiły się łzami. Odwrócił oczy, aby wrażenie to rozprószyć, rozpatrując się w czarnych marmurowych odrzwiach i ozdobach, od których odbicia jedwabne odbijały harmonijnie. We drzwiach portyery z herbami Ossolińskich, którzy trzymali rycerze jedwabne płotki osłaniające je u dołu, które też do najmniejszych szczegółów miał czas rozpatrzyć Płaza i powrócił mimowolnie do obrazu koronacji i do niewieściej twarzy, która go w inną życia epokę przeniosła, gdy jedna z portyer się podniosła i młody dworak niepostrzeżony się zbliżył do zadumanego.



— Chodź waszmość za mną— odezwał się — kanclerz chce przyjąć waszmości.

Drgnął nieco pochwycony tak niespodzianie brodac i pśpiesznie ruszył za swym przewodnikiem.

Szli tedy dalej przez cały szereg pokojów, równie ozdobnie i zbytownie urządzonech. Co chwila, co krok radby się był Płaza zatrzymać, ale młodzian poprzeczający go szedł śpiesznie.

Cudów takich nigdy w życiu nie oglądał ani nawet miał o nich wyobrażenie; w prostocie ducha znajdował może nawet, iż taka świetność i zbytek przystał w świątyni Bożej, naostatek w zamku króla, ale nie w mieszkaniu magnata, urągającym tym przepychem i kościołom i tronowi.

Olsniony znalazł się w pokoju pana, ale w pierwszej chwili nie widział nic, oprócz mężczyzny dziwnie pięknego i pańskiego, dumnego oblicza, ubranego w atlasową suknię wiśniową, na której miał lekkie, zielonym aksamitem okryte futerko.

Pan godnym był pałacu, tak od niego biła starożytnego rodu wypieszczona świetność, tak różnił się od pospolitych ludzi, z którymi Płaza nawykł był obcować. Dla tego prostego i sprostaczałego szlachetki był to jakby innego świata zesłaniec, stworzony do rozkazywania. Oczy, usta, rysy twarzy składały mimo wieku już dojrzałego piękną i wielce szlachetną fizyognomię, która nie nie miała coby ku niej pociągało, nie odznaczała się ani słodyczą, ani łagodnością, ale dumą i rozumem obudzała poszanowanie. Oczy szczególnie ciemne pełne były wyrazu.

Strój ani na kobiecie pięknie ułożonym być nie mógł, począwszy od miękko składających się bucików tejże co kontusz barwy, aż do szmaragdowej spinki pod szyją. Na białych rękach świeciły też kosztowne pierścienie.

Siedział jak do malowania, oparty o stół ze wzrokiem ciekawie ku drzwiom zwróconym. Przy nim na stole okrytym bogatym kobiercem leżał rozłożony ar-

kusz papieru z wielką pieczęcią, a tuż widać było kosztowne, rzeźbione, hebanowe, kością słoniową i burztynem wysadzone szkatuły, srebrne kubki i sprzęt, którego Płaza przeznaczenia odgadnąć nie mógł.

Na głęboki ukłon przybyłego, kanclerz skinięciem ręki odpowiedział tylko, nie podnosząc się ze swego krzesła. U drzwi stał jeszcze młodzian co wprowadził Płazę, ale ten na dany znak na palcach drugimi drzwiami się oddalił.

Ossoliński zdawał się czekać, aż szlachcie pierwszy się odezwie, ten zaś zakłopotany nie wiedział od czego miał zacząć.

— Macie do mnie listy?— spytał nareszcie głosem, który mówcę zdradzał przywykłego do popisywania się z retoryką.

— Tak jest — odparł nareszcie szlachcie, który czapkę pod rękę włożywszy sięgnął za nadrę i dobył ztamtąd w jedwabną turecką chustę starannie zawinięty pakiet, który troskliwie rozwijać zaczął.

Kanclerz z uśmiechem chuście się tureckiej przypatrywał.

Ukazały się wreszcie papiery z pieczęciami.

— Mam polecenie do rąk własnych miłości waszej oddać to pisanie hetmana i starszyny— rzekł— ale usilnie proszę, aby nikt o tem nie wiedział, żem ja tu te listy wiozł.

To mówiąc położył papiery na rogu stołu. Nie tknął ich tak prędko Ossoliński.

— Nie potrzebuję was ostrzegać — rzekł po przestanku— że o listach nikomu i o bytności u mnie też zwierzać się nie powinniście. Ponieważ wam zaufano, spodziewam się, że i ja mogę się spuścić.

Sklonił się Płaza Ossoliński mu się pilno przypatrywał.

— A cóż was tam na Niż zapędziło — zapytał — długo-li tam jesteście, bo, *ni fallor*, kozackiej w was krwi niema, ino polska.

*Na królew. dworze. T. I.*



Plaza westchnął ciężko.

— Zagnało mnie tam to co i wielu innych na te ostrowy i kamyce gnało — nieszczęście! rozlana krew...

Spuścił głowę.

— Nazwisko wasze? jeśli mi je zwierzyć chcecie? — rzekł kanclerz.

— Matka moja była Plazianka z domu — odezwał się szlachcic — więc jam teraz wziął jej nazwisko, ale po ojcu zowią się Wierzbietą, szlachcie jestem.

— Dawnoście tam?

— O! — westchnął Plaza — dwadzieścia lat... zkozać było czas, a jednak...

— Siła tam takich?

— Któż policzy, a nawet kto i dopyta — mówił Plaza powoli — każdy się z tem kryje i wypiera. Wstyd. Dawniej pono więcej było i wołoszy i polaków i różnego narodu; ano z naszych, który pobędzie tam, choć się niby przyswoi i przyrośnie, w końcu prawie każdy zatęskni i powraca.

— A wy? — spytał Ossoliński.

Nic nie odpowiadając, Plaza ramionami dźwignął.

— Będzie-li z czem — muszę wrócić — odezwał się — a żebym za kosztem tak zatęsknił jakem w koszu za Polską nudził, pewno się to nie okaże.

— Macie tu rodzinę?

— Nikogo!! nikogo! — pośpieszył Plaza i suche oczy otarł.

Ossoliński teraz dopiero białą rękę wyciągnął jakby od niechcenia i zwolna papiery ku sobie przysunął, dosyć obojętnie napisy na nich odczytał, pieczęci nie ruszył i mówił znowu.

— Jakże tam pan hetman i jego mołojcy, mają ochotę? gotowi są?

— Gdy tylko król rozkaże — rzekł Plaza — ruszą, ale nie bez tego, aby im na drogę nie trzeba było dać, bo i prochów i ołowu i bark, a czółen i wszelakiego zapasu potrzebować będą.

— O królu wara mówić — przerwał kanclerz — na nas to złożyć trzeba, a majestatu nie tykać. Ludzi tam dosyć?

Plaza ręką poruszył.

— Jak mrowia, a ciężko ich utrzymać, bo się to rwie niecierpliwe — mówił posłany — ale dotąd rozkazy szły od hetmanów i od senatorów, ażeby, uchowaj Boże, turka nie zaczepiać i nie drażnić.

Ossoliński się uśmiechnął.

— Starszyzna wie co to ma znaczyć — rzekł krótko.

— Wiemyż i my, że leniwej szlachcie wojny się z turkiem nie chce — począł Plaza — a król JMość ma rycerskiego ducha i obronę chrześcijaństwa pragnie podjąć, co ze wszechmiar chwalebna.

Rozumie się, iż gdy szlachtę inaczej do wojny nie może skłonić, musi zażyć fortelu, kozakom kazać Turków zaczepić i wywołać wypowiedzenie wojny. Naówczas stanie się zadość życzeniu JK Mości, a szlachta go obwiniać nie będzie mogła, kozacy wszystkiemu będą winni.

Uśmiechnął się gładząc bródkę Ossoliński.

— Statysta z waszmości — rzekł — ale toć właśnie tajemnica *status*.

— Myć w radzie hetmana siedzimy — odparł Plaza — a on znać musi sprawę.

Ossoliński począł dopytywać o liczbę, o uzbrojenie, o porządek na Niżu.

— Ja tu słyszę — odezwał się Plaza — iż kozactwo sobie lekko szacują, chłopstwem je ładajakiem i włóczęgami zowąc. Może oni kiedy byli taką niesworną gromadą, ale dziś się to zmieniło. Do niczego to niepodobne co gdzieindziej na świecie widać, ni klasztor, ni pułk, ni też luźne zbiegowisko. Porządek straszny, rygor okrutny, karność nielitośna. Za ładaco pałkami lub nahażkami w śmierć ubijają i na pal wsadzają, ale gdy się bić trzeba, idą jak wściekli,



a posłuszeństwo ślepe, bo hetmanowi słowo rzec, głowa zleci.

Niemala to rzecz, że rzeczpospolita kozactwem włada, uchowaj Boże mieć ich za nieprzyjaciół, poszliby do Moskwy, bo im cerkiewne dzwony milej brzmią niż kościelne, a ludby ukraiński poprowadzili za sobą.

— Zdaje się też, że się na króla i rzeczpospolitą skarżyć nie mogą—dorzucił Ossoliński.

Zadumał się potem.

— Gospodę macie w mieście?—zapytał.

— Musiałem ją sobie wyszukać.

— U znajomych?

— Nie, na Długiej ulicy.

Skrzywił się kanclerz.

— Nie potrzeba, abyście byli na oku u ludzi — odezwał się — ja was tu też wziąć nie mogę. Ztąd bańby się jaka zrodziła, o którą u nas łatwo. Choć suknia nie kozacza, ale coś do was niżowca przylgnęło.

Przyjdźcie tu jutro; dam wam przez Gurlewskiego, który tu przyprowadził, skazówkę, kędy gospodę zająć macie. Z tej się nie ruszajcie. O kozaczyźnie i o Niżu nie mówcie, ale o Podolu. Nikt tu o was wiedzieć nie powinien.

Gdyby dziś się gospoda pewna znalazła, wolałbym was corychlej wyciągnąć z Długiej ulicy.

Nie zabierajcie znajomości... milczenia nikt nie żałował, a gadania niejeden.

Płaza ciągle ukłonami potakiwał; naostatek Ossoliński klasnął w ręce i bardzo prędko wszedł Gurlewski. Zrozumiał szlachcic, że ten go miał wyprowadzić, a radby się był lepiej pałacowi przypatrzeć, ale kanclerz dał mu znak i Płaza wyszedł za przewodnikiem nie przez salę już, ale małemi wschodkami, które tuż około sypialni wiodły na dół do sionek, w ogródek i na podwórze.

— Al—rzekł do Gurlewskiego—jakby się to człowiek tym cudom przypatrzył.

— Drugim razem—rozśmiał się młodzieniec—gdy ichność państwa nie będzie, chętnie wam pałace okażę, bo takich drugich nietylko w Polsce, ale i w postronnych krajach nie zobaczyć.

Na to potrzeba było nietylko skarbów naszego pana, ale i jego miłości tych pięknych rzeczy, których u nas się jeszcze panowie kochać nie nauczyli.

Przeszli tedy część ogródka, pięknie na kwatery podzielonego, który altany zielonością okryte, z widokami na odległą okolicę, przyozdabiały, i znaleźli się w podwórzu, gdzie koni, jeźdźców, piechoty i czeladzi kręciło się mnóstwo.

— Polecono wam tu przyjść?—zapytał Gurlewski.

— A jakże, i do was się zgłosić—odparł Płaza.

— Pytajcie więc—rzekł uśmiechając się młody — o komornika i dworzanina Gurlewskiego, wskaże wam każdy.

I dosyć uprzejmie pożegnawszy Płazę, natychmiast się do innych dworzan zwrócił, którzy na rozkazy jego zdawali się oczekiwać.

Jak olśniony i upojony Płaza doszedł powoli do furty, ciągle oczy jeszcze pasąc tym przepychem pańskim, pominął halabardników, pyszniących się swemi strojami, i znalazł w ulicy.

Jeszcze rozmyślał dokąd ma iść, bo mu się miasto oglądać chciało, gdy przed sobą ujrzał stojącego tu jakby na czatach draba, który go wczoraj był u Kaliny zaczepił.

Skrzywił się zobaczywszy go, jakby mu niezbyt rad był, gdy tamten uśmiechnął się butno.

— No, cóż batku—rzekł—zbyliście ciężaru?

— Jakiego?—zamruczał Płaza—co wam w głowie, ja tu powinowatych mam, bratanka, i po wszystkim.

— A juścił u was tu bratanków przepaść — po rusku począł drab—mnie nie do tego! Jabym wam tylko rad dopomódz, nie mam co robić a już się



w tem mieścisku obylem. Nu, prawda — dodał wesoło — z początku człek po tych uliczkach, między temi dworkami głowę traci i gubi a błądzi, ale my — oho! Kto w naszych kamyszach i ostrowach umie drogę wynaleźć i nie pobiłdzić, temu i tu nie będzie trudno. Ja tu już jak w domu.

Nie miał ochoty Płaza w dłuższą się rozmowę z kozakiem wdawać, ale jak się tu było od niego uwolnić? Przyszło mu na myśl nawet, że z Koszatego tu posyłając, może niedowierzali i stróża tego nad nim postawili, aby kroki jego śledził. Czas jakiś szli milczący.

— Słuchaj Parfen — odezwał się stając Płaza. — Chodź ty sobie za mną i patrzaj kiedy chcesz, to mi wszystko jedno, ale ludzie nie powinni wiedzieć, że ja tu z Niżu przysłany, a po tobie i mnie wytropią. Nie stanie ci się nic, a ja przyplacę, gdy się wyda to co powinno być zakryte.

Parfen słuchał zadumany.

— A to dobrze, żeście u Kaliny stanęli? gdzie tyle oczów na was patrzy i po zepsutej mowie, a nawet po opończy starej poznają, że wy od Niżu tu przybłąkaliście się?

— Ja też u Kaliny pozostać nie myślę — odparł Płaza — ani wam będę taił, że mi gospodę dać obiecano. Chcecie wiedzieć, gdzie będę, nie mam nic przeciwko temu, pilnujcie gdy dziś albo jutro z gospody będę wyciągał.

Parfen głową kiwnął.

— W gospodzie u Kaliny niezdrowo — rzekł — wszelkiego ludu stek, lepiej z niej precz. Mnie wszystko jedno, bom ja jawno tu przybył i taić się niepotrzebuję.

To mówiąc Parfen obejrzawszy się dokoła, po ramieniu poufale szlachcica uderzył.

— Bywajcie zdrowi — rzekł — no, a gdybym ja wam na co był potrzebny, bo kto to wiedzieć może, u Kaliny mnie szukać, ja już tam zostanę.

IV.

Zjadłszy, co mu Kalina przyniósł, bo wybrednym nie był Płaza, warekiem popiwszy dobrze, wyszedł z zadusznej izby przed gospodę, aby popatrzeć w ulicę, gdy gospodarz go za rękę ujął.

— Waszmości mianują Płazą? — zapytał.

— Tak jest.

— A oto jegomość pan, bywszy wójt nasz, miłościwy Łukasz Bielecki, szafarz J. Król. Mości, który się z wami rozmówić pragnie.

Zmieszany trochę tem niespodzianem zagadnieniem, obrócił się Lasota i ujrzał przed sobą całę poważną postać, która mu się uśmiechała.

Był to człowiek lat czterdziestu kilku, rumiany, wesołej twarzy, oczu ruchawych, ubrany kuso, przy szabelce, na swój wiek poruszający się trochę zamłodo.

— Do usług waszych, Płaza — bąknął szlachcic.

— Czołem — odparł figlarnie Bielecki — jam tu przybył, aby was do mojego domu na Piwną ulicę zaprosić. Nie ujmuję Kalinie, gospodarz z niego czujny i troskliwy, ale po niewczasach podróży, u mnie wam spokojniej będzie.

To mówiąc schylił mu się do ucha.

— Z polecenia pana kanclerza... każcie konia wziąć i rzeczy i chodźmy razem. Pacholek poprowadzi rumaka.

— O! rumaka! — uśmiechnął się Płaza — szkapa to jest.

Bielecki bardzo uprzejmie się gościem zajmował, ale niemniej ciekawie w nim rozpatrywał. Z twarzy można było czytać, że się czegoś więcej po gościu spodziewał, a znajdował go bardzo niepoczesnym.



Sam bowiem pan Bielecki, niegdy wójt miasta Warszawy, teraz szafarz J. Król. Mości, człek zamożny, który już na szlachectwo patrzył i mianował się szlachectwem, choć nim nie był, ocierając się o dwór, żyjąc wśród wytworności i blasków, lubił też, aby i koło niego było *galanto*, jak wówczas zwłoska się wyrażano, i nie rad był domu ładu kim zeszpeci.

A tu mu polecono tego Płazę, który wcale nie wyglądał pańsko, gościć, karmić, poić, bawić i dbać o niego. Rad był w nim znaleźć lub poważnego statystę, albo wesołego towarzysza, a trafił na skwaszonego i zdziczałego a stetryczalonego jegomości, bo takim mu się wydał Płaza.

— Pono z dalekiej drogi?— spytał.

— Z Podola — odparł Płaza — nie tak to wielki świat, jak strachem tatarszczyzny oddalona ziemia.

Wyprowadzono konia z terlicą, z którego Bielecki jeszcze gorsze powziął wyobrażenie o jego właścicielu. Koń dla najostatniejszego z czeladzi miejskiej by się nie przydał.

Lecz Płaza kilku słowami miał to wrażenie naprawić. Wiózł na biodrach trzos podróżny dobrze naładowany, bo w nim różnych spoliów i łupów zachowywały się oszczędności, które do dwóch tysięcy czerwonych złotych wynosiły, ten mu już dobrze zaciężał.

— A! miłościwy panie wójcie— odezwał się — łaska to Boża, iż mnie z gospody salwujecie, a toby się rozchorować przyszło. Mam trochę grosza podróżnego w trzosie, który mi boki piluje, w gospodzie się nawet rozpasać nie śmiał, a u was choć na jaką godzinę będę od niego wolnym.

Bieleckiemu oczki się zaśmiały.

— U mnie— rzekł prowadząc go — będziecie jak w domu. Dzieci nie mam, cicho, spokojnie, jejmość opodal, a dla was alkierz od ulicy i rynku narożny, czystość, ciepły jak w uchu, spocznienie bezpiecznie.

— Co się z tej Warszawy zrobiło? — odezwał się Płaza — ani poznać.

— Ja to mówię — rozśmiał się Bielecki — wkrótce Kraków zakasujemy.

Dawnoście tu nie bywali?

— O! nie pytajcie — rzekł rozochocony nieco Płaza, iż się od Kaliny wydobył, któremu nocleg i strawne dobrze opłacić musiał. — Lat dwadzieścia... i małym tu gościł.

— A no! nie dziw, że wam tu teraz bez przewodnika nie chodzić.

Idąc tedy ukazywał Bielecki gościowi swemu dwory i domy, które niedawno jeszcze do mieszczan należały, a teraz biskupi je, książęta senatorowie ponabywali, aby przy królu mieszkając po cudzych się kątach nie tulać, co godności ich nie przystało. Więc choć za znaczne pieniądze i z wydatkiem wielkim musiał każdy dwór lub pałac postawić.

Wziął z tego asumpt pan Bielecki, aby Płazie się dać poznać lepiej, że chociaż w Warszawie wójtował i z bogatą mieszczanką się żenił, ale on z antenatów do plemienia szlacheckiego należał. Kłamał ci, ale inni Bieleccy szlachta byli, do których on się teraz czepiał.

Zaraz tedy nim do rynku doszli przez Piwną ulicę, posłyszawszy nazwisko Płazy, począł po szlachecku szafarz popisywać się ze znajomością kolligacyj i wyrwało mu się, iż w Krakowskim dawniej wiedział o Płazównie która była za Wierzbietą.

Płaza, o którego matce mowa była, na razie onie-miał i nic nie rzekł, obiecując sobie później lepiej Bieleckiego wybadać.

Tymczasem się i w rynku znaleźli, w którym na rogu stała kamienica pana szafarza, a on na nią z dumą okazywał, bo należała do najpiękniejszych.

Jako się nigdy chudzi pacholkiwie bezkarnie o panów nie ocierają, aby ich nie naśladowali, tak i Bie-



lecki w swej mierze i wedle przemożności kamienicę stroił i wytworny jej pozór się starał nadać.

Lecz naprzód ratusz zwracał tu oczy, który mieszczaństwo sumptem wielkim przyozdobiło, korzystając właśnie z tego, iż Kazanowscy i Ossoliński różnych mistrzów z zagranicy do budowy sprowadzali.

Wieża ratuszowa świeżo przebudowana i pomalowana, dosyć się foremnie oczom stawiała zakończona u góry dachem zielonym, którego kształt ówczesni ludzie do czapki czerkieskiej porównywali. Niżej trochę cztery bastyoniki ze śpiczastemi daszkami kształt nie były przyczepione. U góry otaczał ją ganek z balasami dla trębaczów, którzy ztąd hejnały i haśła w pewnych godzinach wytrębywali. Tych miasto zawsze trzymało, a że muzykę i król i panowie lubili, lada trębaczem miasto się też obejść nie mogło, musiał być mistrz w swej sztuce.

Ponad wieżą galka złota utrzymywała powietrznik w kształcie syreny z mieczem i tarczą, a niżej zegar był umieszczony, także niemało miasto kosztujący, bo misterny był i żaden mu inny nie dorównał, a dzwonki miał tak nastrojone, iż sobie melodyjnie odpowiadały.

Ozdoba też zewnętrzną ratusza były malatury, któremi ściany okryto. I bez tego bowiem obejść się nie można było mieszczanom, gdy po pałacach zewnątrz i wewnątrz ściany malowano. Tu też figle różne i wizerunki monarchów wśród laurów i wieńców się ukazywały.

— No, a cóż, panie Płazo — odezwał się stając Bielecki—co powiecie na ratusz nasz? nie strojny? nie galanto wygląda? A niech ja go wam którego dnia pokażę we środku, przekonacie się, że warszawiacy choć młodszy, starym się zakasować nie dadzą.

Tak samo jak ratusz, kamienica Bieleckiego bodaj tej samej ręki malowaniem była przyozdobiona, a drzwi i ganek w górze, a u okien płotki nader misterną ślusarską robotą były ubrane.

— Co mnie to kosztowało!—mówił Bielecki, bo ci ichność malarze, nie dosyć że ich karmić, poić i wygody ich po pańsku opatrywać potrzeba, ale się na wagę złota opłacać każą.

To jeszcze szczęście, że ich zawsze kilku na zamku lub u pana Kazanowskiego znaleźć można i sprowadzać nie potrzeba. Kraków ma swój cech malarski, u nas się jeszcze na to nie zebrało, a panowie też swojskich kunsztmistrzów lekko szacują.

W kamienicy istotnie wzorem panów czysto było i wytwornie.

Na pierwszym piętrze w narożniku, który nieco wystawał, a miał okna jak w latarni, alkierz był wesoły dla Płazy przeznaczony.

Wyszła zaraz na powitanie jejmość, żona pana Bieleckiego, ale tak strojna od jedwabów, forbotów, bramowania, w białych trzewiczkach z haftem złotym, a utrefiona tak kunsztownie, iż choć nie zbyt młoda, wydała się i młodziuchną i wielce pańską, aż Płaza nie wiedział jak się jej kłaniać.

Zobaczywszy jejmość, że człek i niemłody i nie-poczesny, zamruczała kilka słów i szła precz, a Płaza się do alkierza zaraz wprowadził i rozgościł.

Bielecki mu, nie mając nic lepszego do czynienia, czy z ciekawości, czy dla spoufalenia się dnia tego dotrzymywał placu, bo już na stole wino i konfekty, a różne przekąski znaleźli.

Płazie-Wierzbicie może to lepsze czasy przypominało i on też się zwolna rozochocił, a po kilku wina kieliszkach, gdy znowu o Krakowie mowa była, przyznał się przed Bieleckim, że owa Płazówna z tejże rodziny pochodziła co i on.

— A to musicie i tę straszną znać historię—dodał Bielecki, która się Wierzbicie z Płazówną urodzonemu przysodziła.

— Jaką—mruknął spuszczać oczy Płaza.

— Może was już podówczas w kraju nie było — dodał Bielecki. Wierzbęta się w mieście ożenił z bar-



dzo piękną i sławną naówczas na miasto i okolice Bietkę. Wynieśli się z nią na wieś, zrazu małżeństwo było szczęśliwe, pan Bóg im córeczkę dał, aż Bietka zateśniała za miastem, pojechała do rodziców. Tu ją gachy miejskie napadły i zazdrosny mąż jednego z nich u niej zastawszy, na miejscu w śmierć ubił i musiał potem uchodzić.

Tej własnej swej historii słuchając Płaza nie okazał jednak po sobie jak mu ona bliską była, a uradował się nawet, spodziewając się, że może o dziecku przez Bieleckiego coś się dowiedzieć potrafi.

Począł więc bełkotać, iż o tej historii nie wiedział, bo go już tu nie było, gdy się ona przytrafiła, a razem dodał, że bardzoby rad o losie tej jejmości i jej dziecka dowiedzieć się, bo niegdy znał piękną Bietkę.

Bielecki nastroił twarz dziwnie, tak jakby i miał coś do powiedzenia i chciał mówić, a nie mógł. Milczał, kubkiem, który w rękę trzymał, okręcał, wina kosztował i naostatek rzekł.

— Tyle wiem tylko, że córka żyje.

— Gdzie?—bardzo gorąco i żywo zawołał Płaza oczy podnosząc gdzie?

— Są wielkie racye—odparł Bielecki uśmiechając się, dla których wszystko to do czasu się tajemnicą okrywa. Zresztą ja—dodał, nie jestem tak zbliżka świadom losów tej córki Wierzbiety, tylem tylko słyszał, że ją familia wzięła i wychowywała, a urosła słyszę na taką piękną jak matka, bodaj była szczęśliwszą.

Płazie słuchając serce biło; nie nalegał już na razie, Panu Bogu dziękując iż się tak złożyło, aby zaraz na wstępie pochwycił tak pożądanego języka. Miał nadzieję, iż ostrożnie z Bieleckiego powoli dobędzie więcej nie odkrywając mu się z sobą.

Wójt powrócił do owej historii, i dorzucił że Wierzbietę, który zabił gacha, umknął zaraz, dokąd niewiadomo; a dobrze uczynił, gdyż mieszczanie na

szlachcica rozjątrzeni, byliby go niechybnie na gardle ukarali, nie pytając czy do ich juryzdykcyi należał lub nie.

— Słyszeliście, cóż się z nim stało? — zapytał Płaza znowu oczy spuściwszy.

— Kto go wie? od nas zbiedz i skryć się bardzo łatwo — mówił Bielecki — pominawszy to, że na Niżu kozacy przyjmą otwartemi rękami, ale i do Siedmiogrodu i na Wołoszczyznę i na Szląsk pod cesarza, do Czech, na Morawę drogi otwarte.

Tam byle człek był rycerski a postawny, łatwo sobie chleba kawałek znajdzie, a niejedyn i więcej niż chleba się dorobił.

Ochota do rozmowy z Płazą pochodziła i ztąd, że poleconym był jako posłaniec, o którym sam król wiedział i nim się zajmował, ale zkad i z czem — Bieleckiemu zpełna nie powiedziano. Rad był więc z niego coś dobyć, lecz Płaza mu wręcz rzekł.

— Gębę mam zawiązaną. *Non licet*. Ex-wójt nie nalegał.

— Poczynajże tu waszmość u mnie jak w domu—dodał Bielecki kubkiem pełnym przepijając do niego — i prze-zdrowie wasze.

Zabawiając gościa tedy Bielecki o dworze króla JMości, do którego należał, rozповідаć zaczął i rzekł zaraz głos mało co zniżywszy, że król JMość zenić się chciał i napewno małżeństwo przyjdzie do skutku, bo mu wszystkie poboczne miłości się naprzykrzyły.

— Król prawda na podagrę ustawicznie cierpi i bardzo się roztył, ale gdyby mu wojna się powiodła i małżeństwo, wnetby odmłodził i ozdrowiał.

— A jakże jedno z drugim pogodzi? — zapytał Płaza.

— Jak niemożna lepiej, bo królowa, którąkolwiek weźmie, posag znaczny przyniesie musi, a ten na wojnę już z góry przeznaczony. Ze szlachty dobyć poboru na wojnę będzie trudno, aż ona zaskoczy



i zmusi ich do rozwiązania worka. Tymczasem posag na zaciągi przyjdzie w porę.

Śmiał się Bielecki.

— Jeśli się nie mylę — ciągnął dalej — króla do francuzki zwabia, bo ma być tam pewna księżniczka do domu panującego przynależąca, która i bogactwem i pięknnością słynie. Tymczasem zaś ma król się czem zabawiać, bo mu ochotnych niewiast nie zbraknie. Ma ich na zamku różnego rodzaju dosyć, poczynawszy od tych, co w złotych forbotach chodzą, aż do skromniejszych, którym niciane starczą.

Nie musiały być te miłości króla rzeczą bardzo tajemną, gdyż Bielecki nie drożył się z ich rozpowiadaniem.

— Dogodna to rzecz dla króla — rzekł — iż synaczka ma, który się jeszcze bez kobiecej troskliwości i dworu obejść nie może, a tego odwiedzając, bo kocha go wielce, razem i miłe twarzyczki przy nim postawione oglądać, a z niemi się zabawiać mu wolno, nie zwracając ludzkich oczu.

Tu ex-wójt o królewiczu małym rozpowiadać począł, jak to dziecko piękne i cudowne było, a westchnął nieboszczkę pierwszą przypominając królowę.

— Królewicz Zygmunt — mówił dalej — wielu narodziem swem szyki i rachuby pomieszał, bo gdyby zszedł bezpotomnie, Jan Kazimierz miał nadzieję korony po nim, albo-li Karol młodszy, a teraz już o tem nie myśleć. Królewicz, dzięki Bogu, zdrowo się chowa, kwitnie jako wonny kwiatusek, a Jan Kazimierz pono mniszą suknię wdziewa i pewnie purpurę kardynalską otrzymawszy w Rzymie pozostanie.

Nikt też — dorzucił głos trochę zniżwszy Bielecki — nie będzie tu płakał po nim, krom jego faworytów karłów i kilku trefnisiów, co go zabawiali. On nas nie lubił i pluł na wszystko co polskie, a szlachta też i panowie serca do niego nie mieli. W Rzymie mu lepiej będzie może, byle tylko wy-

trwał, ale król i wszyscy powiadają, iż naturę taką ma, nigdy z tego nie rad co trzyma, a gdy dostał czego pragnął, wnet się zniechęci.

— No, ale kaptura mniszego gdy go raz wdziecie nie zrzucić — rzekł Płaza.

— Dlaczego? — zawołał Bielecki — ani mnie, ani wam z za klauzury się wyzwolićby nie dali, ale królewiczowi czego nie pozwolą? Ani mnie ani wam siostry po siostrze zaślubiaćby nie dozwolono, bo to się kazirodztwem zwie, a nieboszczykowi królowi dopuszczono jedną po drugiej siostry wziąć, choć nie-mało z tego frasunku doznał.

Tak aż do późnego wieczora przegwarzywszy u stoła, Płaza do swojego alkierza odprowadzony, gdy się po tyłu niewczasach pierwszy raz położył rozebrawszy do koszuli, zdało mu się to łoże rajem, i u Panny Maryi już nazajutrz na wotywę dzwoniło, gdy się przebudził, a tu mu wnet winnej polewki z grzankami chłopak przyniósł, która też niezsutej gębie ambrozją się wydała.

Wyjrzał potem z okna na miasto i ochota go wzięła pójść Ossolińskiemu podziękować. Winien też był Wijurskiemu się opowiedzieć. Nic lepszego do czynienia nie miał, odział się więc, szablę przypasał i trzós swój pod zamkiem umieściwszy, ruszył na miasto.

Wychodzącemu już piękna pani Bielecka jeszcze strojnniejsza niż wczora, a z twarzą świeżo pomalowaną, zastąpiła drogę grzecznie, spytała czy spał dobrze, oznajmując, że obiad o południu na niego czeka.

— A nie będę ja waszym miłościom ciężarem? — zapytał Płaza.

— Nie szacuj nas waćpan za mieszczan — odparła pani — którzy się z lada kromką chleba rachują; mój mąż szlachciec jest i gościnność lubi a praktykuje, ja też rada jestem gościowi.

Ruszył Płaza wprost ku zamkowi naprzód, ale tu



nigdzie sam sobie radzić nie umiał. Postanowił więc czasu nie tracąc naprzód Ossolińskiemu się pokłonić.

Trafiło się tak szczęśliwie, iż Gurlewskiego nawet pytać nie potrzebował, znalazł go w bramie stojącego.

— Masz waszmość pomieszczenie? — zapytał go dworzanin.

— Przyszedłem podziękować za nie — rzekł Płaza kłaniając się.

— To chyba innym razem — odpowiedział Gurlewski — kanclerz na zamku jest u N. Pana, jejmość w kościele, więc jeżeliś ciekaw, korzystaj z czasu, ja waszmości pałace pokażę.

— Niech Bóg płaci, jakżebym ja takich rzeczy nie miał ciekawym być, których świat zszedłszy drugich nie ujrzę.

— Poczniemyż od pierwszego budynku — odezwał się prowadząc Gurlewski do gmachu, na którym czterech królów stali.

— Tu — rzekł, drzwi otwierając do wspaniałej antykamery — jedną tylko jadalnię od tych dni, w których u nas gości, posłów cudzoziemskich, lub senatorów siła bywa, waszmości ukażę.

Ode drzwi poczynając, które całe były nabijane wzorzysto i złocistemi opatrzone zamkami i klamkami, wszystko w sali przepychem wielkim biło w oczy, ale Płaza pamiętał wczoraj widzianą, obrazami przyozdobioną, a ta jej zrównać nie mogła. Miała też odrzwi marmurowe, posadzki polerowane i pięknie wykładane drzewem rozmaitem, obicia jedwabne, ze złotem, posągi marmurowe dokoła przy ścianach, między oknami poustawiane, w pośrodku złotą koronę, w której świecznik był pomieszczony; wspaniała była, lecz nie zachwycała jak ta, którą wizerunki Ossolińskich przyozdabiała.

Nad jednymi drzwiami brązowy Kupido strzelający z łuku, z minką figlarną, zapewne obrzęd jakiś weselny przypominał.

Inne pokoje i alkierze gmachu tego więcej dla wygody i jako do jadalni należące służyły, niż dla okazu i przyjęcia. Wyszli więc ztąd rychło do drugiego pałacu, w którym wczoraj był Płaza, a tu go wprost Gurlewski do pańskiej sypialni bocznymi schodkami wwiódł, aby się jej teraz lepiej przypatrzył. A było tu do zobaczenia wiele, bo i łoża tak wspaniałego, jak ołtarz jedwabnemi firankami dokoła obwieszonoego szlacheć nigdy w życiu nie oglądał, i obić z figurami przedziwnych, które obrazy zastąpić mogły, ani nawet pieca, w kształcie baszty, przy którym niemniej kunsztowny kominiek, z pozłocistemi wilkami, wyobrażającemi dwa smoki.

Szlacheć wyraził żal swój i podziwienie, że tu w kominie wilki niemal piękniejsze były jak nie na jednym ołtarzu lichtarze, czem Gurlewskiego do śmiechu pobudził.

Ukazał mu tedy młodzik obraz bardzo piękny, żywemi nader barwami malowany, i spytał go jakby myślał z czego by on był i w jaki sposób uczyniony. Na to Płaza odparł, że widział malarzy na deskach, blachach i płótnach malujących, ale nie odgadł, gdyż obraz był mozaiką, której przypatrzywszy się szlacheć zamruczał, co to na niego poszło czasu i sedentery!

Kolej przyszła potem na figury z kamienia, z kryształu i z bronzów odlewane, których też niemało w izbie nagromadzonych było dla rekreacji oka i umysłu pańskiego.

Tu także stała ogromna szafa kuta srebrem ze złotem na szufladach napisami: Hollandya, Cesarstwo, Państwo papieżkie, Francya, Hiszpania, a Gurlewski wytłumaczył mu, że w nich listy i korespondencye przechowywane były, od których klucz sam tylko miał Ossoliński.

Naostatek drzwiczki uchyliwszy do ciemnej jakby szafy, śmiejąc się pokazał krzesło w niej stojące



Plazie i wytłumaczył mu, że na niem usiadłszy, za danym znakiem na górne piętro bez fatygi się podnieść było można.

Ponieważ kanclerzynie też nie było w pałacu, Gurlowski powiódł dalej do pokoiów jej i otworzył naprzód kaplicę bardzo ładną domową samej pani, chociaż szczupłą, w której z dozwolenia papieżkiego msza święta mogła się odprawiać, na co przywilej z Rzymu był dany.

Ołtarz po bokach cały był ostawiony różnego kształtu relikwiarzami kryształowemi, srebrnemi i złotemi, skrzyneczkami oplatanemi łańcuchami, posążkami, w których z Rzymu przywiezione kości zachowane były.

Obrazów też tak pięknie malowanych jakie w tym ołtarzu, wpośrodku i po bokach dobrane były, woskowych postaci i twarzy świętych foremnie bardzo poustawianych, kwiatkami umajonych, Plaza nigdy nie oglądał. A że kapliczka samej pani była, więc jej rąk roboty antepedium na złotem tle i aparaty kościelne, a sam klęcznik jejmości pewnie wart był tyle, co gdzieindziej kościółek drewniany na wsi.

Ten sam przepych i wytworność, które w mieszkaniu kanclerza podziwiał szlachcie, tu tylko jeszcze do niewieściego smaku więcej zastosowane wszędzie mógł postrzegać.

Życie, pomyślał sobie, może tu płynąć jak w raju. Z okien nawet na ogródek i wirydarze czysto bardzo utrzymywane miło wejrzeć było. Drzewa w nich nieznane dotąd sadzono i posągów poustawiano różnych wiele w ich cieniu.

A że szlachcie wszystkiego ciekaw był, a Gurlowski wszystko pokazywać gotów, obeszlą z kolei kuchnię, stajnię, wozownię i gdzie jaki kąt był, aż do piwnic, w których ich kieliszkiem wina utraktowano. Dopiero się Plaza pięknie podziękowawszy mógł ztąd wydobyć, pełną jeszcze głowę mając tych mirabiliów, które tu oglądał.

Jakie one w nim uczucie obudziły, po kielichu sporym mocnego wina, objawiło się dopiero gdy Parfen go znowu w ulicy złapał.

— No, a co Laszku ty mój? — odezwał się do niego — tobie aż serce rośnie patrząc jakie to tu pany, jaka złota moc, jakie suknie, kolebki, domy... a wiesz ty co ja na to? Ja też cieszę się, ale dlatego, że to wszystko im na pohybel. Oni w tym zbytku jak sól w wodzie rozmiękną i rozpuszczają się i my ich kiedyś garściami brać będziemy.

Myślisz ty, że zbytek taki i rozpusta człowiekowi na zdrowie?

— I mnie się tak widzi, Parfen — rzekł Plaza — że to niedobre znaki. Przy panach miękną sługi, żołnierze patrzy na wodza, a gdy ten się z pierzyną wozi i jemu na gołej ziemi wylegać się nie chce. Nie moja rzecz o tem sądzić, ale tak oni w pychę i dumę urosli, a tak w dostatkach opływają, jakby ich niedługo używać mieli, bo pysznych Pan Bóg upokarza.

Parfen mruczał.

— Mieszkanie wasze nowe ja już wiem. Dali wam szafarza królewskiego, o którym ludzie powiadają, że nie do samej spiżarni dostarczał białego mięsa! Głodni nie będziecie.

Przypomniawszy sobie nagle Plaza, iż jejmości na obiad powracać obiecał, i ruszył ku rynkowi Starego miasta z Parfenem się pożegnawszy.

Na ratuszowym półzegarzu było południe, gdy Plaza już na wschody wstępował, a w kilka minut później Bielecki przyszedł po niego na obiad zapraszać. Tu się też można było spodziewać, choć u mieszczanina, pewnego występu na jego miarę, i w istocie obrusami szytymi, cynowem naczyniem, szkłem i kubkami srebrnemi mogła się jejmość pochlubić. Zbytek już i tu się zakradał.

Bez wina nie siadano do stołu. W izbie jadalnej nikogo jeszcze nie było gdy weszli, ale wprędce



otworzyły się drzwi i pani Bielecka weszła, ale nie sama.

Towarzyszyła jej strojna wielce i z bardzo starannie utrefionemi włosami młoda dziewczeczka, z wianuszkami na głowie, od której spojrzawszy na nią Płaza już oczów oderwać nie mógł.

Z pierwszego wejrzenia poznać było można w niej kobietę z fraucymeru dworskiego, nawykłą do strojenia się i zalotów. Nawet starego Płazę obdarzyła uśmiechem i minką, która niestety boleśnie mu jego żonę Bietkę przypominała. Lecz nie mogło być w tem nic dziwnego, że dwie malowane zalotne dworki podobne do siebie były?

Tyle lat kobiet nie widując i nie obcując prawie z niemi, Płaza teraz i na obrazach i w żywych widział ciągle własnej przypomnienia, a tu bo i głos i twarz i ruchy dziwnie mu uprzytomniały te dawne, szczęśliwe i najniezszczęśliwsze czasy. Ale sam trochę uragał się z siebie przeto, że na obrazie u kancelarza a tu w żywej za stołem ciągle niewierną żonę, której dawna powinien był zabyć, upatrywał.

Przeżegnał się nieznacznie biorąc to za sprawę złego ducha.

Bielecki półgłosem szepnął mu na ucho, iż dziewczeczka, którą widział przed sobą, mogła mieć piękne wyposażenia nadzieje, gdyż królowi się bardzo podobiała, a ten dla kobiet hojnym bywał.

— Prawda i to — dodał Bielecki — że ich teraz, gdy nowa pani nam przybędzie, wielu się pozbywać będzie potrzeba. No, taką Amandę wyda król za panka i da mu urząd wysoki, ale innym pieniędzy będzie trzeba, a tu u nas wszystko teraz na działa i muszkiety się topi.

Kobiety im szeptać po cichu nie dopuściły. Śmiały obie, równie Bielecka jak jej towarzyszka zaczęły do rozmowy, która była bardzo swobodną.

Dworka rozповідаła o królu, o śpiewakach, o komedyi, o małym królewiczu Zygmuncie, a najbardziej

o tych panach, co do Ekmundy się swatali, która przy królewiczu wrzekomo się liczyła, ale król bez niej raz wraz tęsknił.

— Byle nam z Francyi — odezwała się dworka — nie przywieźli takiej mniszki, jak była pierwsza królowa i nieboszczka stara macocha króla JMei. Teraz u nas na dworze wesoło. Capella doskonała, śpiewacy włochy cuda sprawują, a na teatrum gdy Dafnis grają i ona się cudownie w drzewo odmienia, niema człowieka coby nie wołał, że to czarodziejstwo jest.

Prawdę rzekłszy — dodała dworka — wszyscy się dziwią, że król żenić się chce. Na radzie senatorskiej jeden z panów mu w oczy powiedział, że za otyły już jest. Zaczęli się śmiać wszyscy, ale król się na niego obraził.

— Jeśli na wojnę chce jeszcze siadać na koń — przerwał Bielecki — to i do ołtarza ma prawo też.

— Tymczasem w łóżku leży i krzyczy, aż go w trzeciej izbie słychać — odparła dworka. — Siedzi lekarz i nogi mu okładają, a kanclerz i marszałek nieodstępni.

— Tak rad jeden, że drugiemu przeszkadza — szepnął Bielecki — bo się nie lubili nigdy, a choć król Ossolińskim się posługuje, nigdy on z serca jego Kazanowskiego nie wyruguje.

Panna ze dworu utrzymywała potem, że król sobie polowaniem choroby robi, a nie potrzebuje go mając taki zwierzyniec na Ujazdowie, gdzie zawsze, choćby w krześle siedząc, uciechę tę mieć może.

Płaza więcej słuchał niż się wtrącał do rozmowy, oczyma z ciekawością pożerając dziewczę, które naprzeciw niego siedziało. Im dłużej i pilniej mu się przypatrywał, tem straszniej mu się wydawała podobną do jego Bietki, a co najdziwniejsza, jak ona miała czarne małe znamie na białej szyi z lewej strony.

Odważył się do niej w końcu przemówić.



— Z waszej wymowy wnosząc, sądziłbym, że od Krakowa być musicie?

— Ja?—odparło dziewczę ramionami ruszając. — Może to być! ale ja sierota i własnego pochodzenia nie znam. Dzieckiem będąc wychowałam się w Krakowie, potem w Warszawie, a teraz czym małopolanka czy mazurka sama nie wiem!

I śmiać się poczęła.

— A rodzinę waćpanna masz?—badał Płaza.

— Żadnej, nie wiem przynajmniej o nikim — obojętnie mówiło dziewczę.

— Pójdzie za mąż — wtrąciła żona Bieleckiego — to się i rodzina znajdzie.

Dziewczę podniosło główkę.

— Nie mam ochoty w jarzmo iść i niewolę—rzekła. — Szczęśliwych małżeństw mało. Pókim wolna to mi wszyscy nadskakują, a potem...

Lepiej tak jak jest!—dokończyła.

— No, a na starość?—zapytała Bielecka.

— Myślę, że do klasztorów przyjmują—rozśmiało się dziewczę.

Za jej śmiechem parsknęła Bielecka bijąc w ręce, bo piękne pierścienie na nich pokazać chciała. — Prosto z dworu do klasztoru, to tak jak w łaźni, gdy z gorącej pary pod zimną strugę śmielsi idą.

Jak ptaszek poruszając główką, zalotnie, butno i śmiało, dziewczyna się rzuciła na krzesło.

— O jutrze myśleć nie trzeba — rzekła — co nam tam!

## V.

Król JM. Władysław IV z pierwszej żony Zygmunta III Anny narcdzony w roku tym, gdy o nowem małżeństwie zamyslał, był już na drugiej poło-

wie żywota, w której sił nie przybywa, zwłaszcza gdy pierwszą szafowało się hojnie. Z bardzo urodziwego niegdy młodziana, usposobienie chorobliwe, sposób życia uczyniły go teraz ociężałym, otyłym, z obrzękami od podagry nogami, z twarzą rozlaną i bez wyrazu, mężczyzną starszym napozór niż był w istocie. Często się już bez laski poruszać nie mógł, a całymi tygodniami w łóżku leżeć i na rady senatorskie z łóżem się musiał kazać nosić.

Nie zbywało mu na świetnych przymiotach, a szczególnie na tej miłości sławy, którą już dawne wojny dosyć szczęśliwe mile polechtały.

Zapóźno teraz budziło się w nim gorące pragnienie zapisania imienia swego na kartach dziejów, nie tylko Polski, ale całego chrześcijańskiego świata. Zdawało mu się, że potrafi stanąć na czele ligi przeciw nieprzyjaciółom krzyża i precz ich wyganiając z Europy, zagarnąć znaczną część spadku po nich.

Władysław, *nomen omen*, byłby pomścił Warneńczyka.

Tymczasem szlachecka Polska ani chciała słyszeć o wojnie z turkiem, o wyprawie na niego. Wszyscy się jej obawiali. Król też nie objawiał głośno myśli swych, które tylko najpoufalsi jego powiernicy znali.

Przygotowania czyniły się potajemnie. Jak Stefan Batory, jak Zygmunt III, Władysław IV pochlebiał sobie, iż szlachtę i panów potrafi okiełznać, a przynajmniej podejść i zmusić do działania po swej myśli.

Pomagali mu do tego Ossoliński i cały zastęp osobistych jego przyjaciół. Nie stanowili oni jednak tak silnego obozu, aby wstępnym bojem na sejmie mogli się spodziewać odnieść zwycięstwo.

Na wszelki wypadek królowi doradzono fortel, o którym jużśmy wspominali, mógł się kozakami posłużyć. Na tajemny rozkaz króla niżowcy mieli wpaść na Turków i zmusić ich do wypowiedzenia Polsce wojny.

Naówczas król z pomocą Wenecyan i posiłkiem



papieża, w zмовie będąc z grekami i bulgarami, miał się rzucić na ottomanów. Obiecywano mu nad połączonymi siłami chrześcijaństwa naczelne dowództwo. Zwycięztwo zdawało się pewnem. Wszystkie złudzenia pomocy obcej, które Warneńczyka na plac boju wywiodły, powracały tu, grożąc nowym zawodem i klęską.

Ale król pragnął sławy, a pochlebcy mu ją rokowali.

Przy tej zręczności, sam niezdolny ów organizm rzeczypospolitej, który króla czynił zależnym od niesternej szlachty, od prywatą kierujących się magnatów, czasu wojny łatwo mógł prysnąć przy wojennej dyktaturze.

Jak ojciec, Władysław jarzmo tej podległości prawnu znosząc boleśnie, radby je był zrzucić z siebie i następców.

Marzenia te w młodym i energicznym monarsze miałyby być może pewne widoki powodzenia; patrząc na Władysława, musiały się wydać dziwaczne. Podagra, kamień, zastarzałe defekta ledwie mu dawały folęg niekiedy; jęczał po nocach, a bohaterstwa się mu zacheiewało, które wszech sił człowieka wymaga.

Lekarze obiecywali uzdrowienie, pochlebcy wojnę uważali za lekarstwo, król ukochanemu Zygmusiowi wielkie państwo dziedziczne chciał po sobie przekazać.

Tymczasem pieniądze w skarbie nie było, a prywatną szkatułę królewską fantazje mnogie wyczerpywały. Wybrali go jego ulubieńcy i ulubienice, dwór sam okazały, capella, teatr, stajnie, służba, mnogie budowy kosztowne, pochłaniały tysiące. Naostatek i bracia, szczególnie niespokojny Jan Kaźmierz, nie-miłosiernie go darli. Świetnie posłom cudzoziemskim przedstawiał się ów dwór króla JM. polskiego i szwedzkiego, ale szafarze upewniali, że czasem na kuchnię nie było za co kupić maki i soli.

Któż wie, czy to projektowane ożenienie, któremu

rzeczpospolita się nie sprzeciwiała, nie było osnute dla podsycecia prywatnego skarbu na wojnę przeciwko turkom. Przyszła królowa uchodziła za bardzo bogatą, jedną z najlepiej wyposażonych księżniczek Europy.

Wahano się długo pomiędzy rakuszką a francuzką—ostatnia zwyciężyła. Wstręt w narodzie przeciwko domowi cesarskiemu trwał zawsze. Podejrzewano go o knowanie przeciw swobodom rzeczypospolitej, a im mniej ich używać miano, tem one droższymi się stawały. Władysław IV, dzięki zręczności Ossolińskiego, którego nie lubił ale potrzebował, miał się za polityka i wiele sobie obiecywał z nowego aliansu.

W polityce wewnętrznej ta sama myśl, którą Zygmunt III tyłu przypłacił ofiarami spokoju i godności osobistej, myśl wyłudzenia zręcznego władzy, której prawo dawało tak niewiele, rządziła królem, a Ossoliński ją popierał. Nie miano siły na zamach, któryby zmienił stosunki panującego do narodu i władzę mu nadał większą; próbowano więc ją wykraść, wybić, opanować może czasu wojny. Do tej zmiany systemu miało być pomocą ustanowienie rycerstwa nowego, zakonu Niepokalanego Poczęcia P. Maryi, którego statuty potwierdzono w Rzymie, ale go rzeczpospolita znać nie chciała; ku temu wiodły tytuły zagranicą wyjednywane, mające oddzielić magnatów od tłumu szlachty, aby ich postawić na straży tronu absolutnego monarchy. Wojna z poganymi, wojska zwyciężne obce, dla niej wprowadzone, uśtawiały czasową dyktaturę, mogącą się zmienić w trwałą, a podporą jej miały być te pulki cudzoziemskie, które przeciwko szlacheckiemu ruszeniu i siłom domowym zwyciężyć było łatwo.

Do tych planów, połączonych z nadzieją rozszerzenia granic kosztem pogan, wygnanych z krajów przez słowian i greków zasiedlonych, nie przyznawano się głośno, nawet może w najciaśniejsem kółku za-



ufanych; za chorągiew służyła obrona chrześcijaństwa, wielka do zdobycia sława i rozszerzenie granic.

Ale tak Władysławowi IV jak ojcu jego, jak potem Janowi Kaźmierzowi przemoc szlachecka, nadzór sejmów i ich wszechmocność ciążyły jarzmem nieznośnym, z którego się ciągle otrząsać usiłowali.

Nie było potemu siły, zażywano więc przebiegłości, a król się nie przyznawał do knowań o *absolutum dominium*, chociaż obawy szlachty o zaprowadzenie go niezupełnie były płonne. Król go pragnął, ostrożnie i podstępnie czynił kroki do pozyskania... ale nawet najzupełniej mu oddani słudzy nie przypuszczali, aby starania powodzenie uwieńczyło...

.....

Jesteśmy w królewskiej sypialni... na przepysznem łożu, którego jedwabne osłony podniesiono pomimo spóźnionej dnia godziny, król spoczywa jeszcze tak, jak był zwykł, gdy tylko mógł, leżąc do obiadu, obiad spożywając leżący i nie powstając aż po nim. Największą ofiarą, jaką czynił było, gdy wcześniej się podnieść go zmuszono.

Sypialnia królewska zarazem największej wykwin-tności, przepychu i pewnego nieładu jest obrazem. Czuć w niej Sybarytę, który zachciańkom chwili poświęcać gotów wszystko, który pod ręką mieć musi natychmiast czego zapagnie, i nie patrzy, czy na par-gaminach dyplomów najważniejszych nie postawią czarki z polewką.

Samo łoże misternie wysłane, ostawione poduszkami, okryte koldrami miękkimi, opatrzone w ułatwiająca poruszenia i wstanie dla rąk podpory i pasy zręczne do ujęcia, niecierpliwemi ruchy zburzone już, świeci najwytworniejszymi oponami i najmniejszymi wezgłowiami, o których przystrojeniu równie jak o dogodności nie zapomniano.

Z pewnem rodzajem królewskiego lekceważenia

rozrzucone są dokoła na ziemi najdrogocenniejsze futra podeptane i zgniecione. Wszystko co otacza króla, świeci przepychem i wytwornością się odznacza. Wcale już tu rycerskiego pana, do obozowania niewykłego, nie widać, ale zmęczonego życiem pieszczocha, który walczy jeszcze z nienasyconemi pragnieniami, już złamany niemocą i przykuty do łoża boleścią.

Pomimo rozlania rysów niegdyś pięknych, które chorobliwe nabrzęknięcie do niepoznania wykrzywiło, na twarzy napiętnowana duma pańska, poczucie wielkości, majestat z góry mierzący świat i lekceważący go nieco. Ale na czole troska się napiętnowała fałdami, zdrowie, dla którego podróże król odbywał, którego powrót obiecują mu lekarze, nie przychodzi, młodość nie wraca, a marzenia nienasycone niepokoją. Sypialnią, w której król tylko swych najlepszych przyjaciół zwykł przyjmować i wierną służbę, jest jak wygodnie usłane gniazdo, którego puchy wszystkim fantazyom króla i chorego a znecierpliwionego człowieka dogodzić powinny. Ani ręka, ani oko nie spotyka nic, coby razić je mogło; dłoń spoczywa na miękkich podkładkach, oko na wzorzystych makatach, na pozłocistych naczyniach, na sprzętach kunsztownie przyozdobionych. U głów pana na stole widać wielką szkatułę hebanową, wysadzaną złotem i kością słoniową, bursztynem i drogiemi kamieniami; jest to schówka, do której rzucają się papiery nie dla wszystkich oczów przystępne. Kubek do napoju jest z jednej sztuki kamienia oprawny w złoto; dzban z wodą z kryształu i złota. Obok nich zrzucone z rąk napuchłych pierścienie, łańcuch orderu Niepokalanego Poczęcia, zegarek rubinami ozdobny.

Biała ręka króla spoczywa pod głową, która mu ciężyć się zdaje... oddycha ciężko. Naprzeciwko niego w bardzo wytwornym cudzoziemskim stroju, na krzesle wsparty poufale, z twarzą pańską, znudzoną i wyniszczoną życiem, siedzi mężczyzna lat rówieś-



nych z królem, którego by z postawy i sposobu obejścia z nim za brata chyba wziąć można lub najbliższego z rodziny.

A nie jest on ani bratem, ani żadnym pokrewnym, ani książęciem i wielkiego rodu potomkiem, ale prostym szlachcicem panem Kazanowskim, który tak Władysława zawojować umiał, iż stał mu się druhem najbliższym serca, jego połową drugą. Król dla Kazanowskiego a on dla pana nie ma ofiary, którejby nie uczynił, nie mają też myśli, którejby się nie zwierzyli sobie.

Napróżno niegdyś usiłowano zerwać ten stosunek, osłabić ten związek; im silniej targano te węzły, tem mocniej się one zaciągały. Obcowanie z sobą w ciągu lat długich, od dzieciństwa, wywarło też ten wpływ na obu nierozłącznych Oresta i Pylada, że wzajem od siebie przyjęli nietylko myśli, ale ruchy, powierzchowne cechy, wyraz twarzy.

Przy obcych Kazanowski jest z poszanowaniem wielkiem dla króla, ale gdy tak we dwu siedzą w sypialni zamknięci, są to dwaj bracia serdeczni, z których nawet ten, coby posłusznym być winien, najczęściej rozkazuje. Myśli i wola są w nich tak zrestą zgodne, iż nie kosztuje to króla, a zleniwieniu dogadza.

Chwila, w której ich na cichej, poufalej znajdujemy rozmowie, już dobiegającej do końca, jest jakby smutnem jakimś rozpamiętywaniem przeszłości. Ten rachunek z niej powlókł lica królewskie smutkiem. I on miał w życiu chwile tryumfu i ziszczenia nadziei, ale jakże one trwały krótko i dziwnie potem pelzły na niczem!!

Kazanowski ma weselsze oblicze z obowiązku; on musi przynosić pociechę i do nieustająco powracających goryczy dolewać osłody, a wróżyć zawsze jutro jaśniejsze.

Czy sam on w nie wierzy, zgadnąć to trudno, lecz

dla króla musi przynosić tę wiarę, a w niej go umacniać.

Zawody, doznane w stosunkach z Francją, z dworem rakuzkim, z książętami niemieckimi, ze Szwecją, ciężka walka z oporną szlachtą, nie odjęły ani królowi ani Kazanowskiemu ufności w to, że potrafią kraj zmusić do wojny, sprzymierzeńców do posiłkowania jej; a nieprzyjazną fortunę do uwieńczenia skroni laurami.

Król milezał głowę spuściwszy i oczy wlepiając bezmyślnie w kubek, który stał przed nim nawpół opróżniony, Kazanowski patrzył na niego, czekał i mileczenie szanował. Tchnął ciężko wreszcie Władysław i odezwał się zeicha, głosem stłumionym, który z szerokich piersi z trudnością zdał się dobywać.

— Nie traćmy, mój Adasiu, nadziei, wszystko się jeszcze może złożyć po mojej myśli; mam wenetów z sobą, mam cara moskiewskiego, którego prawie jestem pewnym, mam papieża, mam Francję.

— Ale nie masz tej nieszczęsnej szlachty naszej— wtrącił Kazanowski— z którą sprawa trudniejsza niż z wenetami i Moskwą, tak się ona obawia z Turcją wojny i tak jej jest przeciwną.

Król podniósł głowę.

— Nie będę ich bronił— rzekł— są to uparte warchoły, którzy ojcu memu życie zatruli i mnieby też na pasku wodzić chcieli, ale ja się im nie dam! nie! Ojciec nadto był łagodnym, dobrym do zbytku. Szlachta jednak lęka się, bo nie wie, bo ani moich związków z grekami, ani przymierza z wenetami nie zna. Objawić im o nich nie można, boby mi wyrzucali samowolę, a tymczasem i czekać na ich łaskawe zezwolenie niepodobna. Sposobić się należy, choć własnym kosztem i na wszelki wypadek.

Opierać się będzie szlachta... wiesz jaki na to jest sposób.

Król z pewnem zadowoleniem polityką swoją, począł się uśmiechać i wąsą drżącą ręką poprawił.



— Sposób ten wiem — rzekł Kazanowski — myśl dobra, chociaż, królu mój, potajemny stosunek z tem chłopstwem dzikiem jest mi wstrętliwy.

— Ah! — śmiejąc się dodał Władysław. — Wiem, że ich czuć dziegiem i gorzałką, ale w sprzymierzeniu woń jego poszanować trzeba, jeśli ona się cechuje. W tem kozactwie jest męstwo, awanturniczość, chciwość łupów, jakich nam potrzeba, a znają Turków i ich sposoby wojowania jak nikt. Ja na nich rachuję wiele.

— Cóż oni piszą w tych listach, które ci oddano? — zapytał marszałek.

— Oświadczają się z gotowością na rozkazy moje — ciągnął zniżając głos król — ale piosnka zawsze jedna, której zwrotkę odgadnąć łatwo.

Tu Władysław rękami drżącymi pokazał, jakby liczył pieniądze na dłoni. Westchnęli oba.

— To nasza słaba strona — szepnął marszałek. — Wyczerpałeś wszelkie zasoby.

Król frasobliwie głową potrząsał.

— Kaźmierz mnie ze swemi fantazyami nieskończonemi rujnuje — począł ponuro. — Ten nieszczęśliwy dziwak nigdy długo niczem się nie może zaspokoić. Chciał być mnichem, został kardynałem, zrzuci suknię, której mu odradzałem. Nanowo go wyposażać potrzeba, a jutro zechce się żenić, pojutrze rozwodzić i kto wie? znowu zakapturzyć!

Ruszył ramionami.

— O ochotę do ożenienia się nie obawiam — wtrącił Kazanowski — bo nadto mu wszystkie kobiety smakują, aby mu się jednej wyłącznie zachciało. W każdej z nich upatruje jakiś wdzięk, ale w żadnej nie znajdzie wszystkiego czego szuka.

— Al! gdyby był mnichem pozostał i we Włoszech zamieszkał — dodał Władysław. — Z powrotem do Polski, której cierpieć nie może, będzie dla mnie nieustannem utrapieniem. Kto wie, czego jeszcze za-

pragnąć może. Reszta braci wszyscy razem wzięci nie kosztowali tyle trosk co on jeden.

To mówiąc Władysław zapatrzył się w stojący przed nim na stoliku bogato w brylanty oprawny wizerunek Maryi Ludwiki i z tą lekkością umysłu, z którą zwykł był od przedmiotu jednego do drugiego przechodzić w rozmowie, zwłaszcza gdy ona nieprzyjemnego mu czegoś dotknęła, odezwał się:

— Lękam się, aby malarz jej nie upiękniał.

Kazanowski głową potrząsał.

— Ja boję się, aby nie za młodą ją uczynił. Posądzam obrazek o to, że nie teraz był malowany, wygląda mi na zbyt świeżuchną.

Zmarszczył się Władysław.

— Wszyscy twierdzą, że tak wygląda — ujął się. — Dönhoff pisze...

Kazanowski spuścił oczy i zamilkł.

— Boję się zawodu, dlategobym wołał, ażebyś ją sobie zawczasu wyobraził dojrzałą.

Władysław nieco się zżymnął.

— Straszysz mnie niepotrzebnie — zamruczał.

— Masz może słuszość — rzekł marszałek. — Królowa niekoniecznie potrzebuje być pączkiem nierozwiniętym, fantazyę młodzieńczych zaspokoja inne...

Król się zadumał.

— Dla mnie nateraz nie młodość i wdzięk jej, ale nadewszystko posag, pieniądze i przymierze z Francją potrzebne — rzekł cicho.

— A król francuzki jako pierwszy zadatek tego aliansu nie daje nic a wymaga, aby mu zaciągi u nas robić wolno było. Zaciągi w chwili, gdy ty ludzi na tę wojnę z Turcją potrzebować będziesz.

— Zaciągi! — przerwał cicho — możemy mu dać na nie zezwolenie, ale nie wyślemy pomocy. To nie za sobą nie pociąga.

I na chwilę zatrzymawszy się król, dodał:

— Sądzę, że przyszła królowa zgodzi się posag swój mi dać na moje pilne potrzeby.



— Nie wątpię—odparł Kazanowski—ale też musisz dać jej pewną hipotekę, zabezpieczenie.

— Będzie to pożyczka weneńców, nie moja, jak wiesz—rzekł król żywo.—Wymawiają mi się, że nie mają pieniędzy; ja im dostarczę ich, ale dlatego, abym sam wziął. Inaczej przygotowania dalsze niemożliwe.

Marszałek zbliżył się nieco ku łożu królewskiemu.

Ja bo nie wiem—dodał—czy my je dłużej tak jawnie będziemy mogli przedłużać.

— Dlaczego! dlaczego! — przerwał król niecierpliwie.

— Mówilem ci—ciągnął dalej Kazanowski—umysły są silnie już zaniepokojone. Niepodobna ukryć tych ściąganych ludzi, formujących się pułków nowych, lanych dział, gromadzonych prochów i kul. Biję to w oczy. Szlachta niespokojnie pyta, przeciw komu to wszystko wymierzone. Wietrzą już w tem wojnę z Turcyą bez ich zezwolenia, a drudzy gorzej, widzą tego wiecznie powstającego z grobu upióra, *absolutum dominium!*

Westchnął król.

— Ale prędzej, później—rzekł—do tego absolutu przyjść muszą! inaczej ani tu królować, ani się ostać przed nieprzyjaciółmi będzie można. Oskarżali Bato-rego, mego ojca, będą mnie obwiniać, żem pożądał władzy monarchicznej; nie myślą się, wszyscy jej pożądaliliśmy, bo ona jest tu właśnie najgwałtowniejszą potrzebą, gdzie jeden zapalenie może mi odmówić poboru na wojnę, gdy kraju bronić muszę. Gorzej, bo gdybym z własnej kieszeni, jak ja teraz czynię, pułki na obronę wystawiał, krzykną, że je przeciwko szlachcie sztyftuję i na ich swobody zamach czynię.

— Mój Boże — przerwał Kazanowski — komuż ty to mówisz; ja przecież jak ty boleję nad tem, ale jaka rada?

— Wojna! wojna! — żywo począł zrzucając z siebie ciepłe okrycia król, który się coraz mocniej ożywiał.

— Wojna każda jest dyktaturą. Hetman jest absolutnym panem, przeciągająca się wojna uczy karności i nałamuje do niej. Pozbędziemy się i tych sejmów, utrapionych, których wrzawa i rozprawy burzą umysły.

Ze spuszczoną głową słuchał tych dla siebie zapewne nienowych rzeczy marszałek, wystrzępując koniec szarfy, którą wziął w ręce.

— Ty wiesz—odezwał się w końcu—iż myśli nasze są zgodne; ja tylko doradzam ostrożność, aby zbyt wcześnie nie obudzić podejrzeń. Już się one wykluwają.

— Wstrzymywać nie mogę co poczęte—przerwał Władysław.—Wytłumaczmy się na sejmie w jakikolwiek bądź sposób, a w ostatnim razie niech wojna wyjdzie na stół. Trzeba ich z tą myślą oswoić. Jest nieuniknioną. Będziemy większość mieć za sobą.

— Ja nie wiem—odparł sucho Kazanowski.

— Ty zawsze niedowiarkiem jesteś i mnie odbierasz tak potrzebną ufność w siebie.

— Boję się zawodów.

— Ja ich nie przypuszczam—rzekł król żywo.—Duch rycerski żyje w narodzie.

— Osłabł on bardzo.

— Tem potrzebniejsza wojna, aby go odżywiła—rzekł król—sposóbmy się do niej. Ja nią żyję tylko. Jeżeli szlachta mi opór stawiać będzie—dodał—mam kozaków, którzy ją zmuszą do chwycenia za oręż. Kozaków ja jestem pewny.

— Ja także—szepnął Kazanowski—chociaż narzędzie to niebezpieczne. Poruszyć ich, dać im siłę, swobodę pewną. Wiesz, że niezbyt i tak przyjaznem okiem patrzą na Polaków, którzy się tam rozsiedli.

— Tem lepiej—zamruczał król—będę w nich miał oręż dzielny przeciwko szlachcie.

Marszałek zaczął głową potrząsać.

— Lepiej nie mówmy o tem—szepnął.



Władysław począł się, mrużąc oczy, uśmiechać.

— Mój Adasiu — rzekł — polityka jest polityką. Znasz Włochy, czytałeś ich rozumnych mistrzów. Trzeba się posługiwać takimi środkami, jakie są najdzielniejsze, inaczej nie dojdzie się do niczego prócz tych zawodów, których ty się lękasz. *Audaces fortuna juvat*, chcę być zuchwałym, inaczej... smutna rola. Zygmuntkowi nie mogę zostawić takiego państwa rozkiełzanego, chwiejącego się na niepewnych podwalinach, jakie ja wziąłem po dobrym ale nadto łagodnym ojcu.

— Wiesz—wtrącił Kazanowski — już cię oskarżają, że syna twego chcesz za życia uczynić swym następcą.

— Dlaczegożby nie? Wszak Zygmunt August został nim za żywota ojca?!

— Al! to była dynastia—wtrącił Kazanowski!

— Alboż elekcya nie może się odbyć za mojego życia?—począł król ożywiając się. — Powiesz mi, że prawo się temu sprzeciwia, ale prawo zmienić się może i musi. Ujmiemy tych co wpłynąć mogą.

— Marzenia! — cichutko rzekł Kazanowski — ja im przyklaskuję, ale się ich boję. Spróbujemy naprzód z tą wojną, której oni się tak opierają; jeżeli przełamiemy...

— Musimy! powinniśmy!

— Lękam się oporu nawet w senatorach.

— W nich?—rzekł król pośpiesznie—na to są wakujące krzesła, buławy i laski, na to starostwa i dzierżawy.

Szybkiem mówieniem Władysław uczuł się w końcu zmęczonym, chustą leżącą na stole otarł twarz i usta, pochylił się na wezglowia, obie ręce złożył pod głowę i patrzył na Kazanowskiego.

— Jakże dziś nogi twoje? — zapytał zmieniając rozmowę marszałek.

— Nie pytaj — westchnął król poruszając niemi z lekka.—W nocy męczyłem się tak, żem krzykiem

całą służbę pobudził, a ci doktorowie wszyscy są nieuki, żaden z nich ulgi nawet przynieść nie umie. Zrana jest zawsze lepiej trochę, pod noc... ty wiesz. Wstać dziś choćbym bardzo pragnął wątpię ażebym mógł. Każę się chyba z krzesłem zanieść do Amandy, boby mi w tej sypialni samemu z temi co mnie nachodzić będą nudno było w końcu.

Spojrzał na zegarek.

— Staraj się, mój Adasiu, uwolnić mnie od gości natrętnych, których zawsze jest nad miarę.

— Wielu z nich, ty wiesz — rzekł Kazanowski — przybywa umyślnie zdaleka pokłonić się majestatowi. Rozśmiał się król.

— Pokłonić?! Jeszcze mi się nie trafiło spotkać z ukłonem bez prośby i z odwiedzinami bez interesu.

— Trzeba sobie ujmować ludzi—przerwał marszałek — sam to wiesz, więc się też poświęcić musisz i nie wszystkich od drzwi odprawiać.

Król ziewnął za całą odpowiedź, popatrzył na zegarek znowu, usta umoczył w kubku i począł poruszać się niespokojnie.

Trwało milczenie chwilę krótką. Wtem zasłonę uchylono zlekka i za nią ukazała się postać przystojnego młodego mężczyzny, z dworackim uśmiechem na ustach. Król postrzegłszy go uśmiechnął mu się także mile, a po twarzy Kazanowskiego przebiegło jakby drgnienie niespokojne.

Był to młody syn wojewody trockiego Pac, dworzanin króla, dość mu już naówczas ulubiony, o którego Adam Kazanowski zaczynał być zazdrosnym. Pac twarzyczkę miał więcej krasą i świeżością młodości niż rysami się odznaczającą. Oczy i usta miały w sobie wyraz zmysłowej namiętności; pomawiano też wojewodzica już naówczas, że i sam biegał z kobietami do zbytku i królowi usługiwał w jego ciągle się mieniających miłostkach.

Dogadzano tej słabości, które dawało u króla łąski i wpływ, zniechęcało Kazanowskiego do młodego



Paca. Marszałek sam za młodszych lat też samą rolę odgrywał przy królu, do której dziś już był i za ciężkim i za starym; wiedział więc najlepiej jak Władysław wdzięcznym być umiał tym, co jego lenistwu i ociężałości oszczędzali zachodów.

Młody Pac nadzwyczaj szybko rosł w łaskach u króla, który się już bez niego mógł z trudnością obchodzić.

Parę razy marszałek próbował przestrzegać króla, budząc w nim nieufność do Paca, którego obwiniał o to, że sprawując królewskie interesa, o swoich nie zapominał i też same jejmościanki zyskiwał sobie, o które król miał prawo być zazdrosnym.

Władysław słuchał obwinień, ale dworzanina bronił. Kazanowski postrzegł nawet, iż chmurnem milczeniem zaczynał przyjmować przestrogi, a że był nadto pewien serca przyjaciela, musiał zamilknąć. Nie pokochał przeto wojewodzica, w którym upatrywał ambicję wielką, przebiegłość i wszystko, co go niebezpiecznym czynić mogło.

Ukazanie się Paca było jakby hasłem dla marszałka do poruszenia się z miejsca i pożegnania. Król rękę do niego wyciągnął, zatrzymał podaną długo i cicho coś szeptać zaczął, poczem Kazanowski z powagą, krokiem powolnym wysunął się w milezeniu, pozdrowiwszy w progu Paca, który z kolei wszedł do sypialni.

— Mówiłem z nią—szepnął pocichu, opierając się na stole i pochylając do króla, na którego twarz wystąpił wyraz wesela i pobudzonej żywo ciekawości.

— Rozumie się — ciągnął dalej — iż dotąd tylko w mojem imieniu staram się rozpoznać charakter i usposobienie.

— Jakże ją sądzisz? — zamruczał król wpatrując się w niego bacznie.

— N. panie — począł szepcząc Pac—niełatwa to rzecz osądzić kobietę, którą się zna od niedawna. One się tak przedziwnie maskować umieją, że pra-

wie zawsze pierwszemu wrażeniu nietylko wierzyć nie można, ale spodziewać się wręcz przeciwnej natury tej, którą one okazać się starają.

— Wiesz—przerwał król—jest to postrzeżenie, jak na takiego jak ty młodzika, trafne bardzo. To prawda, największe zalotnice starają się okazać skromnemi, a często skromne trochę zalotności przybierają.

Ale jakże ty ją znajdujesz?

Pac się zadumał trochę.

— Bardzo dziwaczną, żywą, kapryśną a śmiałą—rzekł po krótkim namyśle.

— Wiesz co o jej przeszłości?—badał król.

— Bardzo mało — mówił Pac powoli — to tylko pewne, że jest najzupełniejszą sierotą, ani ojca ani matki nie znała, niewiele wie o nich. Dalecy jacyś wychowywali ją krewni. O rodzicach wie tylko, że matkę straciła wcześniej, a ojca los jej nieznany.

— Twarzyczka, spojrzenie, oczy szczególnie uderzyły mnie bardzo—począł król. — Staraj się tylko, ty, co masz pewne zachowanie u Amandy, ażeby ją przy sobie zatrzymała. Gdybym ja tego zażądał—dodał z uśmiechem—byłoby to najlepszym sposobem do oddalenia. Ja nawet gdy tam jestem, a ona się pokaże, unikam spojrzenia na nią. Staraj się, aby Zygmunt ją polubił, będzie to środkiem do zatrzymania jej dla niego.

— Królewicz chociaż tak młodziuchny — śmiejąc się dodał Pac—lubi już wdzięczne twarzyczki, a starych i pomarszczonych nie znosi. Polubiła mu się, ale czy zechce fantazyom jego ulegać i bawić go?

— Wmów jej to — szepnął król i dorzucił:—Cóż więcej? Strój lubi?

— Bardzo! i bawić się też—ciągnął Pac.

— Szepnijcie Bieleckiej — dodał Władysław—aby wam była pomocą i poprzyjaźniła się z tą dziewczynką; ona będzie najlepszym sprzymierzeńcem.

— Tak, jeśli zechce — przerwał Pac—i jeśli nie ulęknie się jej.



— O! o! dla siebie się ona dawno już obawiać przestała—rzekł król otwarcie—nie może nawet mieć pretensyi, abym dla niej miał co więcej nad dobrą pamięć o bardzo krótkich stosunkach... a...

Pac nie mówiąc, mileżeniem dał coś do zrozumienia królowi, który zamileżał też.

— Nie rozumiem—odezwał się po pewnym przestanku—jak się to dzieje, że ja jej wprzód daleko nie spostrzegłem i że mi nie wpadła w oko. Ona podobno jest we dworze dość już dawno?

— Tak, ale ją trzymano zapewne na uboczu, przewidując, że się podobać może.

— Słyszałeś co o jakich miłostkach jej? — spytał król.—Ja o przeszłość niebardzo jestem zazdrosny.

— A!—odezwał się Pac — kochają się w niej na zabój oddawna wszyscy co ją widują, ale dumne dziewczę odprawuje szydersko i nielitościwie. Tak przynajmniej zgodnie świadczą wszyscy, a z jej obejścia się ze mną wnoszę, że w istocie niełatwą będzie.

— Ale ty jesteś bardzo zręcznym, pomimo młodości—dodał król.—Tylko pamiętaj, niech to idzie na własny twój rachunek... na mnie już za wiele cięży. Nie chcę, aby o tej fantazyi wiedziano. Rozumiesz!

Pac nisko się ugiął, rękę na piersiach położył. Wtem u drzwi szmer zmusił przerwać rozmowę i pokojowy dworzanin szybko ku nim pośpieszył.

## VI.

Lasota siedział pod wieczór w swej izdebce schludnej i milej w progu Piwnej ulicy sam jeden i spoglądał zadumany przez okno na ludność, która się dosyć żywo poruszała z rynku płynąc ku zamkowi.

W duszy tego człowieka, który przez lata długie w zupełnie odmiennej żył i obracał się atmosferze, ten powrót do świata młodych wspomnień czynił wrażenie, jakiego nigdy odrętwiały, ostygły, zestarzały spodziewać się nie mógł.

Nie pozwalał sam sobie — napełniało go to troską i niepokojem. Zdawało mu się, wybierając z powrotem do kraju na czas krótki, iż z taką go obojętnością zobaczy i powita, jakby w nim skożaczenie nie już ze starego nie pozostawiło człowieka. Jechał tu z tym wstętem dla laskiego społeczeństwa całego, z tą wzdargą dla rozmiękłych i zepsutych panków, którą go obcowanie z kozakami napoiło i przejęło. Był pewien, że to uczucie nietylko się zmienić nie może, ale wzrośnie na widok ludzi i obyczaju zupełnie mu obcego i obrzydzonego.

Tymczasem w duszy swej spotykał się z niezwykczonemi sympatjami do tego co chciał nienawidzić. Napróżno sobie wmawiał niechęć do lachów, ciągnęła go ku nim krew, a raczej wspomnienia młodości, które nigdy żywszemi jak teraz nie były.

Niepojętych doznawał wrażeń. Zrana dzwonek kościelny budził go z sercem bijącym. Zdawało mu się, że chłopięciem jeszcze na mszę ranną woła go ten głos modlitwy ku niebu.

Z dawnej wiary dla której zobojętniał tak, że do cerkwi tylko czasem zaglądał, a tu stał bez czucia, zostały mu zaniedbane pacierze, umiane na pamięć niegdyś, nieodmawiane przez czas długi, znalazły się teraz na ustach mimo jego woli, i Lasota zdumiał się niezmiernie, gdy począwszy je szeptać, powtórzył całe. Leżały więc na dnie duszy, jak skarb w wodzie, nieuszkodzone, nietknięte.

Pierwszego dnia już zajrzał do kościoła i wyszedł z niego rozmarzony jakiś, przejęty.

Oprócz tego język, którego zdało mu się, że wiele się oduczył i zapomniał, powracał łatwo, dziwnie,



a obcowanie z lachami odżywiało go cudownie. Niekiedy tylko klątwa jaka lub wykrzyknik nałogowy jak owe: Uhu! przed gospodą wyrwały mu się mimowolnie. Słuchał w ulicy rozmów i brzmiały mu one niewstretliwie, jak się spodziewał, ale miło i swojsko. W ludziach też nawet co mu się wydawało dziwnym i śmiesznym, pociągało go jako stare, znane i zakryte tylko a zatarte.

Sam do siebie w myślach nawykł był mówić po kozacku, tu się już chwycił na polskich. Poruszał ramionami i litował się nad sobą.

Nie rozumiał co to znaczyć miało. Dziwnym też fenomenem, który się przytrafia tym co po długim wygnaniu pomiędzy swoich powracają, mnóstwo twarzy, fizygnomij, głosów, ludzi znajdował podobnymi do dawniej znanych, iż gotów był witać jak starych znajomych.

Bielecki żywo mu krakowskiego kupca jakiegoś przywoził na pamięć, dworska panienska poznana wczoraj własną żonę, Gurlecki dworzanina królewskiego, z którym był w przyjaźni. Mnóstwo takich typów zapomnianych w ulicy spotykał i nie mógł utać przed sobą, że mu one przyjemne czyniły wrażenie. Jest to przymiotem przeszłości czy miłej, czy bolesnej, że raz umarłą stroi się dla nas w uroki, jakich nie miała żywą, tak jak umierający na twarzy zwykle wyraz błęgiego ukojenia zyskują, choćby konali w boleści. Gdy teraz na myśl znowu przychodziło mu życie w Siczy kozackie, które we snach się szczególniej przypominało codziennie, budził się z jakimś wstrętem i obawą.

Zacznął rozważać co to będzie, gdy przyjdzie powracać nazad z listami, bo do tego był obowiązany. Myśl tę nieuchronnego powrotu do Siczy oddalał, odkładał, wmawiał w siebie, że to tak prędko nastąpić nie może, chociaż powinien był nagle właśnie, aby jak najrychlej listy otrzymać.

Ale nie mógłże on ich powierzyć komu, nie miał-

że tu tego Parfena, którego za szpiega poczytywał, z powierzonym mu nad sobą nadzorem?

Drab ten niecierpliwił go. Powierzono mu listy, dowodziło to zaufania atamana i kozowych, a jednak postawiono kogoś na straży, a ten ktoś tak był przebiegły, tak obyty z ludźmi, iż istotnie obawiać się było można, aby myśli nie odgadnął w głowie!

Zdradzić ich nie myślał przecie, ani tu na wieki pozostać. Nic go nie wiązało z tą ziemią laską, ale tak mu się teraz zachciewało dobieść do starego swego Krakowa.

Kraków odpychał go wspomnieniem popełnionego morderstwa, a jednak... Tamby się może mógł coś dowiedzieć o losie żony, a nadewszystko o dziecka swojego losie.

Nigdy dawniej, gdy bezsenne noce spędzał na czatach w Siczy pod niebem gwiazdżystem z myślami tylko natrętnymi, nie odezwało się doń wspomnienie tego dziecka i troska o los jego. Tu teraz maciła mu spokój, poruszała go do głębi; koniecznie zapragnął coś wiedzieć, czegoś się dowiedzieć. Ale samo dopytywanie było trudne.

Męczył się tak ciągle. Wstawał nierad z siebie starając odpędzić te zmyry; świstał ukraińską pieśń kozacką — marła mu na ustach i nagle wczoraj słyszane u drzwi kościoła odzywało się: Święty Boże!

Pieśń ta kościelna ciągnęła za sobą cały szereg uczuć nierozwikłanych, obcych jakichś, nieznanym mu nawet. Zkąd się one brały? czy wszystkie zawarte były w pieśni? Nie przywiózł ich przecież z sobą? nie narzucono mu tutaj?

Bieleccy oboje, zwłaszcza gdy się przekonali, że zamożnym był, bo trzos odjęty widział na swe oczy pan Łukasz, byli dlań bardzo uprzejmi, ale z niemi obcował jeszcze tak mało, iż od nich nic przejąć nie mógł.

Zdało mu się, że gdzieś przyległe do ścian, za-



schle zbierał te myśli, co mu się teraz roily, jedna związana z drugą nieprzerwanym szeregiem.

— A to tu oszaleć przyjdzie! — mówił do siebie.

A że nawykły był do gorzałki i flaszkę jej już sobie pod łóżkiem przysposobił, szedł z kubkiem do niej, aby go orzeźwiła. W istocie po jednym, drugim kubku kozackie myśli powracały, ale lada co je rozpędzało, z ulicy okrzyk, dźwięk dzwonu zdaleka, nawet głos zegaru na ratuszowej wieży i hejnały na niej wygrywane wieczorem i rano.

Podobne niegdyś odzywały się z wieży P. Maryi w rynku krakowskim. Jednego z nich słuchając rozpłakał się sam nie wiedząc jak i dopiero lzy poczuł, gdy machinalnie ręką potarł po twarzy.

— Człowiek jest jak ta trzcina na Dnieprowych kamyszach — mówił w sobie — lada wiatr nim ugina. Sądzi, że mocen a twardy bardzo... a tu co? nie złamie się jakby powinien, a pokłoni posłuszny.

Tego wieczora Bielecki, który na zamku miał coś ustawicznie do czynienia jako szafarz spiżarni królewskich, powrócił dosyć późno i gdy wszedłszy do domu, od żony się dowiedział, że gość jego prawie na miasto nie wychodząc, znaczniejszą część dnia przesiedział zamknięty, zastukał do niego, zapraszając na czarke wina nimby spać poszli.

Znalazł go tak smutnym, a, jak się jemu wydało, znudzonym, iż mu się go żal zrobiło.

— Widać to — rzekł — żeście jeszcze sobie znajomości na mieście nie mieli czasu zrobić, siedzicie więc jak pustelnik, nie wiedząc kędy się obrócić. Na to ja chyba jutro trochę zaradzę, okazując wam zamek królewski. Jest tam co widzieć, choć niedawno się dopiero rozszerzył i wystroił za nieboszczyka starego pana. Dawniej tylko stary zamek stał, którego teraz poprawiono, a zresztą więcej drzewa jak muru było. Za naszego zaś pana wszystko się muruje i *galanto* musi wyglądać. Nigdy jako żywo u nas tak nie edyfikowano wiele i wspaniale i tylu

malowań nikt nie widział co teraz. Na zamkach, po pałacach, po domach całe ściany w obrazach ogromnych, bo król się w tem kocha, a za nim też Kazanowski, Ossoliński, Opaliński i nasi księża biskupi; no, i my też mieszczanie ratusz musieliśmy malować dla gustu pańskiego.

U pp. Kazanowskich, u Ossolińskiego Niemcy i flamscy robotnicy raz wraz na deskach coś konfektuja, na płótnach i na szczyrych ścianach. Nasi też cechowi malarze krakowscy naśladowują ich, ale ci więcej świątobliwe obrazy do kościołów robią i zagranicznym majstrom nie zrównają, którzy srogie pieniądze biorą za te kunszty, a samo utrzymanie ich więcej niż lada posła kosztuje!

— Z zamku wracacie? — spytał Lasota — a cóż tam, nowiny są jakie?

— Innych niema oprócz że król jeszcze leży a mało co na krzesło wstaje i z niem się nosić każe, bo chodzić mu trudno. Przeto jednak nie próżnuje, bo cały dzień się u niego pp. senatorowie mieniają.

— A cóż doktorzy na tę chorobę mówią? — zapytał Lasota.

— Obiecuja polepszenie — dźwigając ramionami rzekł Bielecki — ale z nich najrozumniejsi niewiele znają. Król już zdawna ma to choróbko w nogach, a roztył się i rozlał ogromnie. Przytem mu się żenie zachciało — dodał Bielecki. — Zacny a dobry pan, bohater wielki, rozumu Pan Bóg mu nie poskąpił, mógłby światu panować, a jak Salomon słabym jest dla pści białej.

Bielecki nie widział potrzeby czynić z tego tajemnicy; cała Warszawa znała te miłości pańskie, które za Cecylii Renaty cokolwiek się na czas pohamowały, a teraz rosły znowu jak za pierwszych czasów młodości.

— Conajgorzej — mówił dalej szafarz królewski — iż mu coraz świeżej potrzeba, niestateczny jest.

Królowę nam już nową wiozą z Francyi, której



konterfekt widziałem, cudna jest, a tu dotąd miejsce dla niej nieopróżnione... no? i na dwoje wróżą jeszcze czy z królową żyć bardzo będzie czy nie, bo tu tacy, co z jego słabości korzystają. Nieradzi gratkę puszczać.

Zmleczął chwilę dosyć gadatliwy Bielecki, ale że mu gościa czemś zabawić było potrzeba, uśmiechając się ciągnął dalej.

— Przy królewiczu Zygmuntku śliczności jest niemka, nieboszczki królowej przyjaciółka, Amanda. U tej król po całych dniach teraz siedzi, a czasem późno w noc; wszyscy wiedzą, że ją miłuje bardzo, obdarza i bez niej żyć prawie nie może. Ale to filut niemka, bo takie stroi miny, jakby tylko Zygmuśowi służyła: do góry główkę zadziera. Z tą bodaj kniazia jakiego ożenią... stara się ich tam dosyć, bo król wyposaży i ona u niego potem wyrobi co zechce. Gdybyż z tą Amandą było tylko bałamuctwo, ale we dworze aby się dziobek młody pokazał, król musi go zobaczyć, a podoba mu się...

Nie dokończył Bielecki, aż potem dodał:

— Powiadają, że strach ile pieniędzy idzie na wojsko nowe, na armaty i prochy, ale i na fartuszki też i na pałace i na wszystkie te wspaniałości, bez których teraz u nas żyć nie umieją panowie. Starzy powiadają, że nigdy tak nie bywało u nas. Począwszy od biskupów budują pałace, a marmurami, zwierciadłami, złoceniami, obiciami je drogiemi przyozdabiają. Spytajcie co pałac Kazanowskiego albo Ossolińskiego kosztował, że już innych nie wspomnę.

A i w sukniach i we zbroi luksus wielki, niedosyć u szlachty, my też co po miastach siedzimy za nimi w trop. Samem włocho kupca w Krakowie baczyl, co kolebką sześciami woźnikami białymi wozić się kazał. Ten gdy wojewodę krakowskiego w ulicy spotkał a pokłonił mu się, senator mu pięść pokazał. I chcieli wydawać i powydawali prawa przeciw luksovi temu. Zabroniono mieszczanom, aż włochy

pargaminy ukazały, że są szlachcicami weneckimi i innymi tam, a zatem ich to nie tyczy. Drudzy zaś do szlacheckich naszych herbów się poprzyszywali.

Zobaczycie jutro zamek — mówił dalej Bielecki — a jeśli wam posłuży szczęście, możecie i królewicza małego zobaczyć i Amandę, bo Karola brata królewskiego, chociaż na zamku też rezyduje, teraz tu nie ma. Posłano go przeciwko królowej.

Bielecki popijając się rozgadywał.

— Zdaje mi się — rzekł — jeżeli z tych chodów młodego Paca wojewodzica, królewskiego pokojowego zaufanego, wnosić, że ta panienka też coście ją tu widzieli u nas, także królowi w oko wpadła...

Niewiedzieć dlaczego przykrego uczucia doznał Lasota usłyszawszy to i namarszczył się.

— Szkodaby było dziewczęcia — westchnął.

— A co się jej za krzywda przez to stanie! — odparł szafarz. — I owszem, znajdzie zaraz siła co się z nią żenić zechce, ale z nią ani nawet król do końca nie trafi — rozśmiał się Bielecki.

— Dlaczego? — spytał Plaza.

— Moja żona ją bardzo dobrze zna — ciągnął dalej gospodarz — jest to takie dzikie jakieś stworzenie! Patrząc na nią, mówić z nią, żartować, zdaje się to płocze, a ugłaskane i obyczaj ma dworski. Słowo ją nie spłoszy, odpowie raźnie, ale niechże kto posunie się śmieiej od rączki do pyszczka, albo ją wpół zechce objąć, jak to u nas dworaki zwykli, gotowa nawet wojewodzciców policzkować. Ani przystąpić do niej.

— Ho! ma rozum dziewczyna — rzekł uradowany Plaza.

— Patrzmy no końca — dodał szafarz — ja już takie widywałem, co odpychały wielkich panów, a potem ją lada pacholik ugłaskał.

Mówi ciągle: Sierota jestem, nie mam nikogo, muszę sama siebie pilnować.



Z uwagą wielką przysłuchiwał się Lasota; dziewczę go zajmowało.

— Jeżeli prawda, że się Pac koło niej kręci — rzekł Bielecki — to nie dla siebie... królowi się podobala, tego nie ujdzie...

Płaza poruszył ramionami.

— Dziwne u was obyczaje — rzekł — król się ożenił, żony mu nie przywieźli jeszcze, tu już jedną miłośnicę ma, a innych mu szukają.

Mieszczanin śmiał się.

— Salomona naśladowa — rzekł — przecież to najrozumniejszy z ludzi był, a żon i miłośnic chował tyle. Nam prostaczkom byłoby to grzechem, im rozrywka niewinna...

Po tej rozmowie, gdy na zegarze godzina późna wybiła, wstał Bielecki zegnać się z gościem, radząc mu spaść iść rychło.

— Jutro, jeśli nie macie nic lepszego do robienia — dodał — a ciekawi jesteście, rano idę na zamek i mogę was zabrać z sobą, aby pokazać rezydencję pańską. Piękniejszej nie zobaczycie w życiu.

— I owszym, i owszem — pośpieszył Płaza — wdzięczem wam będę... któżby ciekawym nie był. Długi czas okrom trzeć, traw i krzaków a skał mało co czy moje widziały, chyba stare dwory drewniane i zameczki z kołów i gliny lepiące... a Krakowam zapomniał.

— Warszawa go przejdzie wkrótce — odparł dumnie Bielicki. — Już się bogatsi kupcy ztamtąd do nas wynoszą.

Nazajutrz rano dotrzymując słowa poszedł szafarz po gościa, który ubrawszy się na niego czekał. Szli tedy razem ku zamkowi nowemu, który w miejscu starych budynków drewnianych na przedzie się wznosił i okazałe dosyć patrzył na miasto. Na dole galerie go sklezione otaczały, nad którymi okien biegły dwa rzędy.

Po rogach jego wznosiły się cztery kształtne wie-

życzki miedzią kryte, a w pośrodku górowała zegarowa wieża z gankami. Na szczycie jej położona gałka wietrznik z orłem utrzymywała. Mury te nowe jeszcze i czyste wcale pańsko się prezentowały, chociaż zbyt obszerne nie były.

Bielecki, który tu wszystkich znał, kluczników i odźwiernych, wprost naprzód do izb i sal wielkich poprowadził, w których sejmy i znaczniejsze się odbywały uroczystości. Z tych jedna szczególniej marmurem wykładana różnokolorowym, z kominem w kształcie wodotrysku z brązu odlewany, ozdobnym, z posadzką wzorzystą, podobala się bardzo Płazie. Większą ona była od tej, którą widział w pałacu Ossolińskiego, ale wspaniałością tamta ją przechodziła.

Druga po niej na ścianach tak samo jak u kancelerza cała była okryta ogromnemi obrazami, zwycięstwa i pochody wojenne Władysława IV wystawiającymi.

Pomiędzy temi widokami bitw i miast obleganych, wielkie i piękne wizerunki króla nieboszczyka i obu żon jego w koronacyjnych szatach, doskonale malowane, zajmowały tak miejsca wszystkie, iż ścian samych prawie widać nie było.

Sal tych kilka teraz pustych ze swemi ławami, stołami i sprzętem pościągany na kupy, mimo wspaniałości, dość smutne czyniły wrażenie.

Bielickiemu jednak nadewszystko pono o to szło, aby się najkosztowniejszą i tą, której budowa najwięcej kunsztu wymagała, pochwalił, bo podobnej tej nigdzie widzieć na północy nie było można.

Wszedłszy tu jednak w mrok nie rychło rozparzeć mógł Płaza. Gmach był bardzo obszerny, na pół kolumnami przedzielony, w którym z jednej strony siedzenia wygodne dla gości stały, a oddzielnie dla króla i jego rodziny. Po za kolumnami zaś i zasłona, która teraz podniesioną była, w górę aż do dachu, w dół aż do piwnic schodziły dziwnie poustawiane wschody, windy, drabiny, rzeźbione i malo-



wane drzewa, ganki, galerye różne. Ponad głowami na sznurach zawieszono były obłoki. Mnóstwo niezrozumiałych różnych przyrządów teraz w nieładzie zapełniało scenę.

— Trupa tu tylko oglądacie — odezwał się ozywiony Bielecki — bo to teatr jest, które widzieć potrzeba, gdy je tysiąc świec i lamp światłem obleje, gdy muzyka na galeryi stanie a włoscy śpiewacy wystąpią, którzy razem i gardły i nogami się popisują, a około nich na rozkazanie noc i dzień, burza i pogoda, i prawie cuda się dzieją. Gdy grają Dafne w drzewo przemienioną, widzieć potrzeba, jak się ona śpiewająca nagle obraca w laur... Ale któż to opowie. Capellę samą słuchać, chyba aniołowie w niebiosach śpiewać tak mogą.

Jam tu oglądał i piekło i morze burzliwe z syreny pływającymi a śpiewającymi, z okręty żeglująceymi i obłoki piorunami ziejące.

Plaża stał, patrzył, choć tu niewiele mógł zrozumieć, a Bielecki mu opisywał jako mógł, co to za cuda i wspaniałości są, gdy teatr grają, gdy śpiewacy postrojeni na scenę wynijdą, gdy wszystko w ruch się wprawi, a capella, aktorowie, kunszty, ognie na jeden obraz się złożą. Wielki miłośnik teatru szafarz unosił się mówiąc o nim, a przysięgał, iż na całym świecie drugiego pewnie podobnego nie było.

Plaże wyrwało się tylko:

— Cóż to kosztować musi?

— O tem wie jeden Pan Bóg i pan podskarbi — rzekł Bielecki — a może myśleć się, bo król ze swej szkatuły musiłożyć, a z tą się on nie liczy. Włochy za gardła płacić każą tak, iż żaden kaznodzieja tyle co oni jurgieltu nie bierze. Capella też z cudzoziemców złożona, mało co swoich; malatury obcych rękami robione; naostatek i komedia nie po naszymu, ale po włosku, *galanto*.

U nas tak — dołożył szafarz wygadując się — król pono najlepiej lubi po niemiecku, bo go Meyerin

uczyła jak matka kochając, włoski mu też do smaku, francuzkim nie gardzi, a polski choć zna dobrze i mówi nim gładko, ale to powszedni chleb dla pospolicich ludzi.

I poetę nadwornego co mamy, to niemca; zwie się Opicz.

Bieleckiemu z tą salą cudów niełatwo się było rozdzielić, chciał ku niej entuzjazm obudzić w towarzyszu, ale ten skielety widząc tylko, głową potrząsał i milczał.

Przeszli potem jeszcze sal i komnat różnych szereg cały, wszędzie prawie pustkę znajdując, bo pod czas zjazdu żadnego nie było. Gdziekolwiek tylko krzątano się zwolna około przygotowań na przyjęcie królowej, ale wcale nie okazując pośpiechu.

Wschodami potem sprowadził Bielecki gościa w dziedziniec wewnętrzny brukowany, który dokoła mury i budynki, kuchnie i oficyny otaczały. Od strony Wisły ogromna gruba ściana z kamieni wznosiła się dla powstrzymania wylewu wody, która tu wiosną nadchodziła.

Na tych to fundamentach stał nowy dwór murywany Królewicza Karola, w którym on przemieszkawał. Nie szli tu, i Bielecki wskazał tylko na górze salę wielką, oknami dużymi opatrzoną, z której prospekt być miał na okolicę, jak on się wyrażał, bardzo cudny.

Z boku podwórca stało stare zameczysko odnowione, zamieszkane, ale na oko zaraz swój wiek zdradzające. Tu się dworscy, czeladź, służba różna mieściła. Ztąd też ganki odnowione, kryte, dozwalały wprost przejść do kościoła Ś. Jana.

Bielecki nic nie przeoczył cokolwiek mogło obudzić podziwienie i widzenia było warte, tak, że nawet starą łaźnię królewską, w której teraz dla pożytku państwa cynową wielką sadzawkę zbudowano dla kąpieli, kazał Plaże oglądać.

*Na królew. dworze T. I.*



Wreszcie już oprócz ogrodu w dole dosyć schludnie i pięknie zasadzonego, kwiatków i krzewów, a wody, którą ztąd kołem obracając na górne piętra prowadzono rurami, nic do widzenia nie zostawało, bo mieszkalne pokoje króla przystępne nie były.

Szafarz miał nieopodal od kuchni na starym zamku izb parę dla siebie, w których przyjmował też gości i interesa swoje sprawował.

— Zajdźże waszmość do mnie a spocznij — rzekł prowadząc go ku staremu zamkowi. Szli tedy ciągle pomijając dworzan pańskich, czeladź i mnóstwo kobiet, które się tu tak licznie ukazywały, jak gdyby już królowa była na zamku.

Nie uszło to oka Płazy, że większa ich część była młodych i bardzo postrojonych, wesoło z dworzanymi po drodze rozmawiających i śmiejących się wesoło.

Tu, gdy powoli korytarzem szli, potrafił Bielecki łokciem towarzysza, nieopodal mu wskazując przystojnego i strojnego młodzieńca, który pannę tę, co ją Płaza poznał, zatrzymawszy w przejściu, wesołą z nią prowadził rozmowę.

— Przypatrz się waszmość temu młodemu — szepnął — *ni fallor*, jeśli pożyje, to go wielkie łaski pańskie czekają. Tak poczynali Kazanowscy. Nie dla siebie on panienkę korumpuje.

— Brzydkie rzemiosło — zamruczał Płaza — nie przystało zacnemu panu.

Machnął ręką szafarz.

— My na to inaczej patrzymy — rzekł. — U króla serce sobie pozyska, spoufali się z nim, a potem będzie z nim czynił co zechce. Wszystkim wiadomo, że Kazanowscy nie mieli nic, gdy się na dwór za towarzyszków królewiczowi dostali. Król teraz nie ma nic, a oni bogatsi są od niego.

Sławać to historia tego pierścienia po matce, pamiątka ostatniej, którą król Adamowi darował. Pan to szczodroblivy nad miarę.

Westchnął Bielecki.

— Ale mu surowych słów prawdy nie mówić, bo ich nie lubi, goryczy nie trawi.

Mijali właśnie piękną dworkę, która wcale widokiem ich nie była strwożoną ani zmieszaną. Pozdroził ją Płaza, oddała mu ukłon, a Bieleckiemu rzuciła:

— Kłaniaj się waszmość żonie swej, a powiedz, że ją wkrótce znów odwiedzę.

Gdy się to działo, młody Pac też nie odszedł i chciał snadź przeczekać, aż znowu sam z dziewczęciem zostanie.

Płaza się kilka razy obejrzał po za siebie, dziewczę stało w boki się ująwszy, śmiało patrząc w oczy pięknemu dworzaninowi, ale zdawało się chcieć żarty stroić z niego.

Wtem od ganków, które do kościoła prowadziły, ruch się dał słyszeć, i Bielecki o gościu nie zapominając, razem z nim za słup w murze się skrył, szepcząc:

— Macie szczęście... Oto idzie panna Amanda, a z nią Zygmunt królewicz.

Zoczywszy ją zdaleka, dworka, która tak swobodnie z Pacem rozmawiała, pierzchnęła śmiejąc się, a wojewodzie krótką się chwilę zatrzymawszy tylko, postąpił na spotkanie panny Amandy i królewicza.

Śliczny chłopaczek, który się starszym wydawał niż był, szedł z wielką butą, przy szabelce, po polsku ubrany, a kto na niego spojrzał, uśmiechał mu się i on też kłaniał i uśmiechał wszystkim. Znać w nim było pieszczonego, królewskiego jedynaka, ale jakże tej laleczki nie było pieścić?

Panna Amanda, która mu towarzyszyła, słuszną i bardzo piękna brunetka, twarzy poważnej i nad miarę ułożonej skromnie, postępowała majestatycznie jak królowa, z ręką wiodącą i przytrzymując niecierpliwego królewicza. Z każdego jej ruchu widać było przejęcie się obowiązkami i wysoką dostojnością, jaką piastował. Zastępowała bowiem matkę przy małym królewiczu, który ją czasem nawet, chcąc się przy-



podobać, tem imieniem nazywał. Wnieść ztąd było łatwo, jak panna Amanda i jej dwór złem okiem widziały nowe królewskie ożenienie, jak je tu królowi odradzano, jak się starano przeciwko nowej pani uprzedzić i od niej odstręczyć.

Panna Amanda Eckerberg miała swe stronnictwo, sprzymierzeńców, przyjaciół, posilkujących, a do nich należeli ci wszyscy, którzy z położenia, w jakim się król od owdowienia znajdował, korzystali. Naprzeciw tej partii stała druga, silniejsza i poważniejsza nadewszystko, która wołała mieć królową, jej dwór i widzieć króla mniej płochym w tych latach, gdy już pół wieku przeszedłszy, nie godzi się młodzieńczych dopuszczać wybryków. Na nieszczęście król był nawykłym dawniej do tego życia swobodnego, do którego ci sami mu dopomagali, co teraz wstrzymywać chcieli od niego.

Małżeństwo, w którym i polityka i finansowo położenie wielki udział miało, przychodziło do skutku. Powiadano, że królowi przed pierwszym ożenieniem już przywieziony portret Maryi Ludwiki podobał się był bardzo, że się w niej na niewidziane kochał; ale gdy małżeństwo przez posły zostało zawarte, gdy królowa już się w podróż do Polski puścić miała, uważano ostygnięcie, zniechęcenie i powrót do dawnych obyczajów. Wnoszono z tego, że młoda królowa nie potrafi ujarzmić króla i zajmie stanowisko na tronie a nie w sercu.

W tem sercu pańskim co się działo, trudno było odgadnąć. Miękkie ono było, ale niestałe, a wiek czynił je przystępniejszem innym uczuciom niż spóźnionym miłostkom.

W pochodzie ku zamkowi z królewiczem po drodze odbierała panna Amanda oznaki największego uszanowania, ale że one równie się do królewicza Zygmunta, idącego z nią, jak do niej odnosić mogły, wolno je było jak chcąc sobie tłumaczyć.

Pac pozostawszy sam, usunął się z drogi, ale kró-

lewicz skinął na niego a panna Amanda spojrzała dosyć łaskawie, i czekał, aby im towarzyszyć. Dwór, który z wielkiem zawsze zajęciem ścigał oczyma młodego, przyszłego, domyślnego tronu dziedzica, i teraz stał póki nie przeszedł orszak mu towarzyszący i Zygmunt nie zniknął pod krążgankami zamkowemi.

Bielecki wprowadził gościa do swojej, jak ją zwał, kancelaryi, i tłumaczył mu co widzieli.

— Królewicza naszego, jedyne oko w głowie — rzekł — widzieliście. Niech mu Bóg daje żywot i zdrowie, niech rośnie na pociechę rodzica i rzeczypospolitej. To będzie dopiero taki pan, jakiego nam potrzeba. Dziś już to dzieciak cudowny.

Królową jejność, która przybywa, wątpię, aby Pan Bóg obdarzył potomstwem; boimy się, aby po macoszynemu nie obchodziła się z naszym ulubieńcem, ale pilnować jej będziemy!

Już to — mówił porządkując swe papiery i klucze Bielecki — nie do zazdrości życie się gotuje dla przyszłej pani naszej... trudno jej będzie serca sobie pozyskać.

Plaza słuchał i rozglądał się dosyć obojętnie, a że szafarzowi przerywano ciągle i miał wiele do czynienia, nie chcąc mu przeszkadzać, wypiwszy kubek wina, cofnął się sam nie wiedząc dokąd się uda... miał tyle w mieście do widzenia, a tak go teraz pociągało wszystko, iż rad znalazł się swobodniejszym.

Około zamku w tej dnia godzinie ruch był znaczny, zmieniały się strażę, przywożono zapasy różne, oznajmywali się goście, przybywali urzędnicy dworu. Gwaru i popychania było dosyć, tak że Plaza, który nie wyglądał zbyt pokaźnie, musiał sobie drogę torować pracowicie i rad był, gdy się znalazł za wrotami na placu.

Ale tu ledwie miał czas się obejrzeć, aby obmyśleć kędy pójdzie, gdy ów wszędzie jak cień za nim chodzący drab, Parfen, już go szydersko się śmiejąc pozdrowił.



Plazie to prześladowanie dokuczało i przykre zrobiło wrażenie, ezuł się niewolnikiem.

— Na pięty mi następujecie—zamruczał niechętnie oddając ułkon Parfenowi.

— Tylko aby wam posłużyć—odparł kozak.—Wy tu obcy, a lachy nie mają czasu kozackiego posła przyjmować.

— Ale wiesz to przecie—syknął Plaza—iż mnie tu nikt jako posła nie powinien znać, a wy włócząc się za mną zdradzacie mnie.

— Nie bójcie się—rzekł kozak—ja nie jestem tak głupi jak się wam wydaje. Lachy nie są podejrzliwi i ani się lękają, ani szpiegują. Im pod nosem można dokazywać co się komu podoba, nie będą widzieli albo rozumieli. Tem mniej gdy o kozactwo chodzi, które oni za grube chłopstwo mają!

Parfen się śmiać począł.

— Juści my grube chłopcy—rzekł—ani my w jedwabiach chodzimy, ani obce języki rozumiemy, ani nam tych łakoci i cacek potrzeba co panom lachom, ale nas niewola nauczyła wiele. My bijemy pokłony a pięści zaciskamy, a kiedy najniżej czołem, to najbardziej duszą...

Spojrzał na milczącego Plazę.

— Coś wy, batku—dodał—chodzicie po Warszawie taki kwaśny jakby wam doprawdy Kosza żal było i waszego Kurenia? Co wam jest? Czy poszło co na opak?

— Nie—rzekł Plaza, który spojrzawszy na kozaka, zmiarkował, że się go strzedz powinien—nie, nie stało się nic, ale człowiek tu obcy, niewiele rozumie, przeto się frasuję.

— Za czem!—odparł kozak—co wam sobie łamać głowy? Listy oddaliście; odpowiedź odbierzecie, i po wszystkim. Więcej po was nie będzie ataman wy magał. Byle tylko znowu nie odprawili z obietanką cacanką a bez groszy, bo nam ich potrzeba. Chcą,

byśmy królowi usłużyli, czemu nie? ale zapłacić za służbę muszą. Powiedzą, że pieniędzy nie mają...

Parfen głową pokiwał i rękę do góry podniósłszy na wieżyczki zamkowe blachą pobite z galkami polzaczanami ukazał.

— A jak mają grosze być, kiedy dachy polzaczają a z miedzi gonty kuja?

Plaza tymczasem głową skinąwszy uszedł na stronę.

## VII.

Rok się skończył a zima rozpoczynała; w położeniu posła potajemnego kozaków nic się nie zmieniło na oko, on sam tylko, chociaż się z tem starał ukrywać, znacznie się czuł innym. Pobyt wśród tego dworu, w atmosferze wcale różnej od tej, którą lat wiele nawykł był oddychać, odżywił w nim jakiegoś starego człowieka, a raczej nowego stworzył, bo wiek mu nie dopuszczał być tym, jakim niegdyś zbiegł na Niż, aby o Polsce zapomnieć.

W osobliwszem się czuł położeniu, ciągle prawie kłamstwem żyć zmuszony.

Z obowiązku bowiem upominał się o odprawę i listy, chcąc niby powracać do Siczy, gdy w istocie wcale mu się tego nie chciało. Naglił o to Parfen chodzący ciągle za nim zdala, choć Plaza starał mu się zręcznie wywijać.

Z Bieleckim, który ani umiał ani chciał mu głębok w duszę zaglądać, z jego żoną, dosyć mu przyjazną, bo ujętą małemi podarkami i grzecznością go-



ścia, żył na bardzo poufalej przyjacielskiej stopie. Zresztą znajomości nowych niewiele zrobił bliższych, chociaż przez Bieleckiego poznał ludzi i ich stosunki na dworze.

Zapraszano go wszędzie, pokumał się ze wszystkimi niemal, z którymi Bielecki był znajomym: z capellą, muzykantami, służbą zamkową, dworzanami, koniuszemi, ale nie zdradzał się z sobą kim był i podawał się za człowieka, który po latach długich na kresach spędzonych, szukał sobie na starość kąta jakiegoś i zajęcia.

A że przez Bieleckich wiedzano, iż bez grosza nie był, on też dosyć chętnie częstował, nikomu w drogę nie wchodził, w żaden się spór nie mieszał, ze wszystkimi starał być dobrze, lubiono go powszechnie, ale zbyt nie szacowano.

Kosztowało niemało Płazę, który gwałtownego swego temperamentu nie pozbył z wiekiem, poskramiać się i trzymać na wodzy, lecz musiał to czynić przez obawę, aby się nie wwickłać w złą sprawę.

Z powrotem na Niż niebardzo mu się chciało, nie naglił też zbyt chętnie o listy, które odkładano pod pozorem, iż król jeszcze niepewien był jak i kiedy kozaków zażyje. Chciał z tem ustnem tłumaczeniem Płaza odprawić Parfena, aby go nie mieć ciągle na karku jak nadzorcę, ale kozak potrząsał głową i nie dał się słać.

— Trzeba dać znać, no, to nakażcie mi, ja znajdę takiego co to zaniesie atamanowi i koszowym, a ja ztąd nie ruszę, póki mnie oni nie powołają.

— Ono to tak wygląda — śmiejąc się raz rzekł Płaza — jakby mnie nie wierzono spełna, a was na straży postawiono. A na cóż było listy mi dawać, kiedy wiary nie dajecie!

— Uchowaj Boże — zaprotestował Parfen. — Wam się wierzy, ale możecie potrzebować pomocy, od tego ja tu jestem.

A gdyby zresztą i chciano patrzeć w wasze karty

— dodał kozak — albowy się temu dziwować? Alboście wy nie lach? choć lat tyle między kozakami, krew nigdy się nie mieni w człowieku! Listy wam dali, bo kozaka takiego do nich jak potrzeba nie było! Niech wam się nie skuczy, że ja chodzę za wami. Jak nie macie co taić? co wam to szkodzi...

Płaza nie miał nic więcej nad to do utajenia, że w nim w istocie lach odżył, a przyczyniła się do tego zmartwychpowstania piękna dworka, którą u Bieleckich poznał, która straszliwie mu nieboszczkę żonę przypominała. Zręczne dziewczę korzystało z tej słabości starego, aby go, niewiedomo w jakim celu, całkiem pozyskać.

Uroił on, iż mogła być tą właśnie zagubioną córką jego, a że dotąd nic z tego co o niej wiedział przypuszczeniu się temu nie sprzeciwiało, utwierdził się w swem przekonaniu. Nie przyznał się do tego pięknej Bietce, ale nadzwyczaj się nią żywo zajmował, służył, opiekował i nie taił z tem, tak, że Bielecka go posądzała, jakoby o małżeństwie z nią myślał.

Chociaż wieki wcale niestosowne były, tyle się podobnych kojarzyło związków, iż i ten mógł się wydać możliwym.

Zagadnięty wszakże żartobliwie przez Bielecką, która gotową się oświadczała pomagać mu nawet, Płaza ramionami dźwignął.

— Pani moja miłościwa! — zawołał — a toby mnie do czubków wsadzić trzeba, gdybym o tem pomyślał. Jać, conajmniej ojcem jej bym mógł być. Gdzież tu do mojego kozucha przypiąć taki kwiatek?

— Al! al! — wołała trzpiotowata Bielecka — no, a król nasz się żeni... starzy na najlepszych mężów wychodzą, a waszmość nie jesteś tylko się czynisz starym.

— Ja o żadnem ożenieniu nie myślę — dorzucił Płaza — ale Bietkębym rychlej za dziecko sobie przybrał, bo mi przypomina nieboszczkę, która choć nie była tego warta, zawsze jeszcze potroszę miłując.



Bielecka brała w obronę tu nieboszczkę i wma-  
wiała w Plazę, że mężczyźni ze swą głupią zazdroś-  
cią nigdy nie mają słuszności... przywiduje się im  
zawsze.

Z jednej więc strony dziewczę to przywiązywało  
Plazę do miejsca, z drugiej osobliwsze zaprawdę spo-  
tkanie, które on krył przed ludźmi.

Włóczęg się po mieście, co mu się często trafiało,  
gdy albo nie miał co czynić lub Parfena sznurkują-  
cego za sobą umyślnie na złość chciał w błąd wpro-  
wadzić, zaszedł raz na Nowem mieście do kościółka  
Ś. Brunona.

Przy nim naówczas znajdowała się szkółka ubo-  
gich chłopiąt, sierot, pauprów z miłosierdzia utrzy-  
mywana. Pauprów tych biednych znało miasto całe,  
bo z piosenkami, z gwiazdką, z jasełkami chodzili  
za jałmużną i było im to dozwolone. Tuż przy koś-  
ciółku znajdowała się dosyć duża izba, którą nazy-  
wano szkołą. Nic biedniejszego nad nią wymyśleć  
nie było podobna. Zimą opalano ją przez miłosier-  
dzie ofiarowanymi polanami i trzaskami; stołki, ławki,  
stół pochodziły z żebraniny i znać na nich było do-  
brze to pochodzenie; w oknach, którym połowy błon  
brakło, papier i cienko wystrugane sosnowe deszczuł-  
ki zastępowały wybite szyby, a o czystość i porządek  
same sieroty się starać musiały, więc zmiatano śmie-  
cie do kąta, i na tem kończyło się wszystko,

Plaza, który przypadkiem już także zaszedł był  
do kościoła, szpitalu i szkoły przy Ś. Duchu, gdzie  
również miejskie dzieci uczono potroszę, choć i tam  
parady wielkiej nie było, gdy porównał ową biedotę  
Ś. Brunona ze szkołą przy szpitalu Ś. Ducha, aż mu  
się serce ścisnęło—a pociągnęło go ku tym pauprom  
i wspomnienie krakowskich.

Gdy się im z litością przypatrywał, więcej jeszcze  
nad nich uderzyła go twarz błada, bardzo dziwnych  
rysów, ubogo i nędźnie odzianego klechy czy księ-  
dza, który właśnie nad pauprami miał jakby dozór

i zwierchność. Twarzy takiej kwadratowej, z nie-  
zmiernie szerokimi ustami, z głęboko pod czaszką  
osadzonemi oczkami małemi, z kośćmi czoła wystają-  
cemi ostro, z uszami ogromnemi jakby z pargaminu  
wykrojonemi, drugiej chyba na szerokim świecie szu-  
kać było i znaleźć.

Tymczasem Plaza takuteńką drugą, tylko młod-  
szą, gdzieś sobie przypominał! Gdzie? naturalnie że  
w Krakowie, ale do kogo ta osobliwa maska i śmie-  
szna i sympatyczne obudzająca uczucie należała? te-  
go sobie Plaza w żaden sposób nie umiał przypo-  
mnąć.

Przysięgłby był, że go kędyś, gdzieś znał, widy-  
wał.

Tak go to poruszyło, jak teraz wszelkie przeszło-  
ści wspomnienia, i nie mógł się od tego wstrzymać,  
aby nie podejść do ubożuchnego księżyny, i, niby dla  
rozpytania o pauprów, zawiązał z nim rozmowę.

Głos eichy, łagodny, miękki tego człowieka,  
uśmiech jego jeszcze żywiej mu na pamięć przywio-  
dły kogoś... ale kogo? Nie mógł jeszcze się rozgar-  
nać.

— Wiele tu tych pauprów macie?—zapytał.

— Jest ich kilkunastu, a byłoby daleko więcej—  
dodał ksiądz—gdyby ich szkoła czem przywabić mo-  
gła oprócz tej jałmużny, którą wyuczeni w niej pio-  
senkami mogą sobie zarobić. Ale jak się temu bie-  
dactwu inny chleba kawałeczek nastreczy, trochę  
czem posmarowany a lżejszy, co za dziw, że głodne  
pójdą za nim?

Zimą jak jest trochę drewek i w piecu się pali,  
to obdartuszki przychodzą się tu ogrzać, a ja z tego  
korzystam, aby ich katechizmu poduczyć, niektórych  
do alfabetu zaprzędz, innych obietnicą lepszego bytu  
do nauki zachęcić.

Westchnął ksiądz. Rozmowaby się przeciągnęła  
dłużej pewnie, gdyby w tej chwili wychodzący z pro-



boszczowskiego budynku poważny zakrystyan nie zawołał na głos tonem dosyć nakazującym:

— Ksiądz Stoczek do dobrodzieja... a żywoł

Ruszył natychmiast w wyszarzanej sutannie ksiądz Stoczek na zawołanie, a Plaza po nazwisku sobie przypomniał, że gdy w Krakowie do szkoły chodził, miał tego Stoczka, jako służkę, towarzysza i przyjaciela przy sobie. Trwał ten stosunek lat kilka. Zniknął mu potem pauper z oczów, bo Stoczek pauprem był i pozostał mu po dziś dzień, choć cudem jakimś do sukni duchownej się dobił, co dla ubogiego, nieznanego pochodzenia sieroty i nieszlachcica, trudnem było, z wyjątkiem zakonów żebraczych, gdzie niewiele pytając, przyjmowano ludzi.

Stoczek sobie teraz żywo przypomniał bardzo Plazę, a może go za dawnych czasów nigdy tak nie umiał ocenić, jak teraz, gdy przeszłość rozpamiętywał. Był ów Jacuś Stoczek niezmiernie bystrego pojęcia, uczył się łatwo, pamięć miał osobliwą, a przytem charakter łagodności niewyczerpanej, wszelkie próby wytrzymującej. Młodzież go, jako bezbronną istotę często z tem okrucieństwem młodych, które krwi, nie serca złego, jest dziełem, brała na tortury, prześladowała, znęcała się nad nim, nigdy się nawet nie zniecierpliwiał. Rozbrajał ją anielską dobrocią.

Stoczek tak go mocno zajął teraz, iż nazajutrz powrócił do S. Brunona na Nowe-Miasto i pod pozorem ofiarowania jałmużny dla pauprów, znowu z nim zawiązał wczoraj przerwana rozmowę.

— Nieprawda, mój ojcze — zagadnął go — wam być musi imię Jacek?

— A zkądże wy o tem wiecie? — spytał zdumiony księżyna.

— Mój Boże, tyle lat temu! ani wy mnie, ani ja bym was może nie poznał teraz, gdybym wczoraj przypadkiem nazwiska nie posłyszał.

Stoczek z jakimś rozrzuwaniem się w starego znajomego wpatrywał długo.

— Otóż—zawołał, jakby głęboko w siebie wszedłszy — otóż ja wam powiem, że alboście wy Lasotę Wierzbietę, albo... nie wiem!

Nie było w podwórku przy szkole nikogo i stary mu się rzucił na szyję.

— Jam jest—rzekł—ale cicho, Jacusiu, bo mnie, jak sobie przypomnisz (jeśliś o tem wiedział), wielkie nieszczęście spotkało. Lat wiele nie byłem tu, ale na wygnaniu srogiem, dalekiem, na pokucie. Powracam stary, z innem nazwiskiem... zwij mnie Plazę po matce.

Stoczkowi łzy się na powiekach zalśniły. Była to godzina właśnie, gdy chłopięta ze szkoły szły na miasto z garnuszkami i miseczkami drewnianymi, miał więc czas ks. Stoczek.

— Mój miłościwy panie — rzekł z dawną pokorą, pokłon czyniąc Plazie — jeżeli moją ubogą izbą nie pogardzicie, zajdźcie do mnie. Nie gorscie się tem, że ja w takim, mogę powiedzieć, chlewku mieszkam; jestem kapłanem, sługą tego Boga, co się na sianku w stajence narodził, więc mi się ani godzi, ani potrzeba pałaców i izb strojnych, byle celka i twarde wezglowie.

— Chodźmy!—rzekł uradowany Plaza, iż znalazł jednego człowieka, z którym otwartym być mógł; z Jacusiem bowiem tak bezpiecznym był, że tać przed nim nie potrzebował nic, a dusza potrzebowała wyłania się i porady.

Nie przesadził wiele Stoczek, mówiąc, iż w chlewku mieszkał, izba bowiem, którą otworzył, a wchodziło się do niej wprost z podwórza, o jednym małym oknie, tak była biedną i огоłoconą, jak celka najuboższego mnicha. Ledwie się w niej obrócić było gdzie, tak maleńkie miała rozmiary; pułap niski, ściany lepiące gliną, zamiast podłogi, tok z gliny ubity, a za sprzęt cały — stoliczek, kłęcznik z sosnowych tarcie, tarczani i stółek.

Gości też tu nie przyjmował biedny kapelan, ale



dla niego starczył ten kątek, prawdziwe schronienie anachorety. Wszystko tu, aż do krzyża i godeł religijnych, do kroielnicy prostej glinianej u drzwi, takie było nędzne i ubogie.

Stoczek jedyny stół zasłał opończą dla gościa, a sam wskazał na tarczanik, iż na nim przysiąść może. Poczęli tedy rozpamiętywać stare dzieje, przy czem Płazie nieustannie łyżę z oczów dobywały, których wstydził się i ocierał je skwapliwie; Stoczek zaś płakał, ale łzom dawał płynąć aż na starą sutannę i nie zdawał się czuć ich nawet.

Żywot biednego był bardzo prosty. Dobił się kapłaństwa, bo tego jednego, jako najwyższego dostojństwa i największego szczęścia pragnął, ale nigdzie sobie pomieszczenia znaleźć nie mógł. Posługiowano się nim, brano do pomocy, a że nie miał ani powabnej powierzchowności, ani talentu przypochlebiania, a ascetyzmem swoim drugich sybarytów kłuł w oczy, więc się go pozbywano potem rychło. I tak z Krakowa dostał się do Sandomierza, ztamtąd do Piotrkowa, później do wiejskiej plebanii, naostatek do św. Brunona, gdzie mu, jakby z łaski, kąt dano.

Z czego i jak żył, Bóg jeden wiedział. Czasem się ulitowała przekupka, podarowała chleb, zaprosił go mieszczanin do miski. Zresztą pościł tak wiele dni, a tak mało jeść potrzebował!

U św. Brunona dla tych dzieci i szkółki trzymał się, chociaż proboszcza miał niechętnego i wikariusz usiłował go ztąd wypędzić, obawiając się, aby mu miejsca nie zajął. Starał się, kłaniając, posłusznym będąc, wyręczając, pozyskać sobie łaski, ale mu z trudnością się przychodziło tu utrzymać. Wszyscy się go lekali.

Ubóstwo, które otaczało biednego kapelana, Płazie mniej się wydawało może straszne dla tego, że on sam na Niżu długo żył w najostrejszych w świecie warunkach, tyle tylko, że wódka stała za pociechę. Jednakże zdumiał się, rozglądając.

— A! ojciec Jacusiu!—zawołał—jakże tu koło ciebie chudo i biedno!

— Zmiluj się!—odparł Stoczek—ja więcej nie potrzebuję duchownemu nawet nie godzi się mieć ani, pożądać zbytku, ubóstwo jest kondycją naszą. Byłoby mnie tu w tej izdebce do końca żywota spokojnie pozostawili, ja się niczego nie dobijam.

Zaczęły się tedy pytania i odpowiedzi obustronne. Płaza był szczęśliwy, że się zwierzyc mógł otwarcie, bo Jacusia pewnym był, jak samego siebie. Księżyna słuchał, dając oznaki podziwienia i politowania. Nie mógł w końcu zrozumieć tego na żaden sposób, jak polski szlachcic mógł tak skozaczyć, ażeby go aż w poselstwie poufnem wyprawiano, ani tego, że Płaza, raz tu powróciwszy, znowu miał dobrowolnie na Niż jechać.

On sam, o sobie mówiąc, za wszystko Panu Bogu dziękował i cały życia ubożuchnego i nędznego przebieg uważał za szereg cudów łaski Bożej nad sobą.

— Patrzaj-że, mój miłościwy Lasoto—kończył—co to za szczęście! dostać się tu, gdzie tych sierotek tyle, duszyczek niewinnych mogę Bogu zachować, oświecić i pokierować temi biednemi. Czym ja się kiedy mógł tak dostojnego powołania spodziewać...

— Ależ ty stokroć lepszego wart!—wołał Płaza—i tylko niepoczciwość ludzka może tobą tak poniewierać. Trzeba się starać wyjść z tej dziury.

Stoczek oświadczył stanowczo, że o tem ani myśli i że dla niego oderwanie się od szkółki byłoby największem nieszczęściem, a jedno, czego pragnął, to żeby szkółkę można podźwignąć i dzieciom pomoc jakąś zapewnić.

Płaza, który się co krok tu przypatrywał niesłychanym wspaniałościom, tysiące kosztującym, oburzył się.

— Na pałace i zbytki toż tu krocie idą, a na uboż i uczynki chrześcijańskie grosza nikt nie da. I ma to Pan Bóg błogosławić?



Z tych słów można już zmiarkować, jaki kierunek przybrał umysł Płazy w ciągu tych kilku miesięcy pobytu w Warszawie. Odezwiała się w nim miłość dla kraju i obyczaju, ale zarazem oburzenie przeciwko zepsuciu, jakie widział na każdym kroku. Umysł jego męźniał i coraz widział dalej.

Od kozaków, z którymi żył, miał teraz wstępną, ale więcej jeszcze obawy, aby te kupy dzikich ludzi, karne, spójne, niepotrzebujące do życia nic nad niezbędną konieczność, nie wzięły kiedy góry nad szlachtą rozmiękną, zniewieścią, niesłuchanie gadatliwą i wszystką siłę swą szafującą na słowa.

Znalezienie Stoczka, z którym mógł spędzać godziny długie na poufnych rozmowach, prawdziwym dla niego było błogosławieństwem, a ksiądz najlepszy na niego wpływ wywierał. Nie mogło jednak to obcowanie z księżyną ująć baczności Parfena, i kozak w końcu spytał Płazę, co on robi tam u Ś. Brunona z tym odartym kleką.

Otwarcie mu powiedział Lasota: Był moim szkolnym towarzyszem i służką, poczciwy człowiek, lubię go... a ten przecie nikomu być strasznym nie może.

Parfen pomyślał, że lach dziedzicinnia. Z trudnością przyszło Płazie uprosić i namówić Stoczka, aby czasami go odwiedzał. Ksiądz chwili wolnej nie miał. Zastępował proboszcza i wikarego u wszystkich ubogich chorych, umierających, na pogrzebach i chrzcinach, pilnował swej szkółki, a potem modlił się i na modlitwę zawsze znajdował, że mu czasu pozostawało mało.

Jednakże kiedy niekiedy, po kilka dni nie widując czasami Płazę, przybiegał niespokojny Stoczek dowiadywać się o niego.

Z Wijurskim, z którym razem do Warszawy przywędrował Płaza, w pierwszych tygodniach widywał się czasami; postrzegł jednak, że ten Radziwiłłowski służka nadto ciekawy był, posądzając go o jakieś tajem-

mnice i dobyć ich z niego próbował, więc począł go unikać.

W powietrzu chodziły wówczas jakieś głuche domysły spisków.

Wznowiło się na inny sposób to, co się działo przez czas bardzo długi za panowania Zygmunta III: posądzano króla i jego towarzyszków o frymarki koronę, o zamachy stanu; teraz znowu Władysławowi IV przypisywano knowania jakieś na własną rękę, bez wiedzy rzeczypospolitej.

Było w tem coś burzliwego ducha szlacheckiego, lecz przyznać też trzeba, że w obu tych razach podejrzenia niezupełnie były bez podstawy. Zygmunta w początkach panowania istotnie się rzec chciał korony na arcyksięcia Ernesta, a Władysław IV aż do cesarskiej korony sięgał ambicją, a w ostatku przynajmniej chciał być pogromcą pogan i wygnać ich z Europy, a część spadku po nich zagarnąć.

Musieli się poufni druhowie królewscy zdradzać lub sam król niedosyć był ostrożnym, a naostatek krzątanie się jakieś było zbyt widoczne, które myśl króla zdradzało. Szlachta szemrała, a nawet panowie senatorowie, przed których znaczniejszą częścią tał się król, domyślali się i gotowali stawieć opór.

Wtajemniczonych było niewielu, oprócz Ossolińskiego. Kazanowskiemu nie było to tajemnicą, bo król nie mógł się przed nim tać z niczem, ale do spraw politycznych niechętnie się miewał.

W duszy był przeciwny wszystkiemu co spokojne, pańskie, wspaniałe i wygodne życie mogło zamącić.

Wyrzucał przyjacielowi królowi tę ambicję nienasyconą.

Lecz w królu było dwóch ludzi: jeden, który się godził doskonale z sybarytą, Adasiem, drugi, który potrzebował chwały, wielkości, blasku.

Królowa jechała już do Polski. Przychodziły

*Na królew, dworne, T. 1.*



ciągle wiadomości o niej i o pani pśłowej marszałkowej de Guibriant, która dodana była od króla Maryi Ludwice i towarzyszyła jej do Warszawy. Wszędzie po drodze przyjmowano ją z należnemi honorami, i w Polsce też sposobiono się na wspaniałe powitanie.

Niektórzy z panów, wedle tradycyi, już gotowali pułki całe, oddziały, seciny i półsetki ludzi różnych broni, strojnych i zbrojnych przepysznie dla wystąpienia z nimi. Jedni po drodze, inni w Warszawie mieli ją potykać.

Król w początkach miał na spotkanie wyjeżdżać do Gdańska, czyniono ku temu przygotowania, ale podagra go trzymała w łóżku, a przynajmniej o dłuższej podróży zimą myśleć nie dozwalała.

Niecierpliwy też w początkach widzenia zaślubionej, zwolna Władysław, dzięki zabiegom aby go rozrywać w domu, ostygł.

Zawsze jednak jeszcze utrzymywało się to, iż wyjechać miał koniecznie na spotkanie, a książę Karol, brat królewski, mu towarzyszyć. Choć niebardzo ochotnie, posłusznym być musiał Władysławowi.

Z przyrodnych braci króla był on jednym z najznośniejszych mu, jeśli nie z najulubieńszych. Z Janem Kaźmierzem, dziwaczny, zmienny, w postanowieniach niestały, w obejściu się niemyły, król się nie mógł nigdy ani zrozumieć ni zbliżyć do niego. Przekonał się po próbach wielu niefortunnnych, że z niego trudno będzie statecznego uczynić człowieka; sądził go umysłowo ograniczonym i dziecinny.

Karol był całkiem innym. Z powierzchności niewiele przyjemniejszy nad Jana Kaźmierz, chudy, żółty, niezręcznych ruchów, milczący, niekiedy wybuchający gwałtownym gniewem, skąpy, książę biskup zamykał się ze swym kapelanem w ogródku, pracował około uprawy kwiatków, modlił się, rachunki pisał, grosza oszczędzał i wiodł życie zamknięte i surowe. Nie można mu było odmówić jednak pe-

wnego ciągu i ładu w prowadzeniu się, powagi i nieskazitelnych obyczajów. Nie umiał sobie pozyskiwać przyjaciół i miał ich niewielu; ale nie narażał się też nikomu.

Z Władysławem byli zgodni ale na zimno, charakter, temperament, sposób życia ich dzieliły.

Rój ten kobiet, który wszędzie otaczał króla, dla niesłuchanie surowego biskupa, rumieniącego się na sam widok kobiety, był nieznośnym.

Prześladowano go zawczasu tem, że gdy od króla będzie przodem wysłany na spotkanie Maryi Ludwiki, wedle mody francuskiej zmuszony zostanie w twarz ją pocałować.

Biskup z furją oświadczał, że choćby się nie wiedzieć na co miał narażać, nigdy w życiu tego nie uczyni.

Oprócz obawy, aby nie był zmuszony dać lub odebrać pocałunku, książę biskup gryzł się i tem, że na przyjęcie wystąpić będzie musiał kosztownie, a każdy wydatek był dla niego nieszczęściem. Skarżył się, że mu jego biskupstwo nic nie przynosiło.

Taki był stan umysłów na dworze, który w ogóle na przybycie nowej pani niezbyt chętnem okiem poglądał, gdy jednego dnia, było to jakoś wprzódce po nowym roku, Płaza powracając do domu (stał zawsze u Bieleckich w rogu Piwnej ulicy), spotkał się z malowaną twarzą swoją gospodyni, która biegła po izbach i była rozdrażniona jak nigdy.

— Nie widziałeś waćpan męża mojego?—zawołała napadając na wchodzącego.

— Nie.

— Zkądże idziesz?

— Z miasta.

— Nie słyszałeś nic?

— Ja?—odparł spokojnie Płaza — dziś tak dalece żadnej nowiny, godnej powtórzenia, nie pochwyciłem na mieście. Stało się co?

Bielecka była cała w ogniu. Tupiała nóżkami, rzu-



cała się, ciekawość jej była do najwyższego stopnia rozgorączkowana.

Ręce szeroko rozkładając krzyknęła za całą odpowiedź:

— Na zamku... u króla, przyszła jakaś wiadomość... tajemnica... ale wszystko do góry nogami wywrócono... Coś okropnego! niespodziewanego się przygodziło...

Wiem tylko, że kurьерem z listami jakimś francuz nadbiegł, że królowi je do własnych rąk oddał, a potem... zawrzało i zagotowało się jak w kotle...

Godzina była obiadowa, pan Bielecki nie nadchodził. Jejmość wpadała w coraz niebezpieczniejsze rozdrażnienie; nie w świecie ją nie mogło mocniej rozgorączkować nad tajemnicę jakąś, któraby dla niej była niedostępna!

Nawykła była natychmiast i pierwsza wiedzieć co się działo na zamku.

Opóźnienie p. Łukasza miało swe znaczenie, potwierdzało ono wiadomość o czemś tajemniczym, co go mogło zatrzymać. Wprawdzie i wiele innych kłopotów miał teraz na głowie Bielecki, gdyż mu nie dawano na kuchnię pieniędzy i próżno się ich domagał, tak, że o kredyt się starać musiał, ale to były sprawy powszednie, dla których opóźniać się nie potrzebował.

Południe już dawno minęło i otrąbiono je na wieży ratuszowej, gdy nareszcie nadbiegł Bielicki. Żona go już na wschodach witała gradem wymówek.

— Gadajże! co się stało na zamku?—poczęła sypać—król odebrał jakieś listy, powiadają, że musiało być w nich coś nadzwyczaj ważnego...

Bielecki palec położył na ustach.

— Kobieto!—zawołał—mileczko, kiedy chcesz być cała... cicho... Nikomu o tem mówić niewolno. Nikt nie wie co to jest.

Bielecki wszedł z tem do izby, w której oczeki-

wał Płaza, ale ten zbyt nie okazywał ciekawości, jejmość rwała męża za rękaw od sukni.

— Mówże co wiesz.

Szafarz obejrzał się, zniżył głos i i zaczął z miną tajemniczą:

— Przyjechał jakiś francuz z listami wprost do króla—rzekł—Bóg wie od kogo, ale domagał się, aby je do własnych rąk pańskich mógł oddać, tak go w końcu do sypialni wprowadzono, bo król swoim zwyczajem dotąd w łóżku.

— No i cóż? co?—wołała Bielecka.

— Oddał listy, król je, słyszę, Pacowi kazał rozpieczętować, a co potem się stało, żywa dusza nie wie, ani od kogo one były, ani co zawierały.

Król po przeczytaniu błady miał być jak ściana i trząsł się z gniewu. Posłano natychmiast po Kazanowskiego. Zamknął się z nim na parę godzin, nie kazawszy puszczać nikogo.

Kazanowski wyjechał jak zbity... Pac chodzi zasępiony, od nikogo się nie dowiedzieć nie można. Królowi zaraz od tego wzruszenia gorzej być poczęło. Przywołano doktora, obiadu jeść nie chciał.

— Ale cóż to może być? co? — zawołała Bielecka. — Ja natychmiast po obiedzie biegnę do Bietki, bo do Amandy wątpię, żeby się można docisnąć. One coś wiedzieć muszą.

— Nikt nic nie wie!—przerwał p. Łukasz — nikt, a ci co wiedzą milczą, jakby im usta zamurowano.

— Przecież nazawsze to tajemnicą pozostać nie może—poczęła żywo gospodyni.—Jeżeli to króla tak dotknęło, wiadomość musi być ważna, toć się nie utai... ale co to może być? co to może być?

— Już to samo, że francuz listy przywiózł i to słyszę wprost z Francyi, a z takim pośpiechem — rzekł Bielecki — dowodzi, że się to tyczy królowej, a nam wiadomo, że ona już być musi blisko Gdańska.

— Więc to nie od niej listy?—zapytała Bielecka.



— Niewiadomo, nie wiadomo — dokończył gospodarz.

— Ta jedna rzecz pewna — wtrąciła jejmość — że rzecz się tyczy królowej, a druga, że ten posłaniec dobrego nic nie przyniósł, bo z dobrem się nie ma co tać.

Bielecki się zadumał. Niedostatek pieniędzy w skarbie myśli jego inny nadawał kierunek.

— Najprędzej to poseł przywiózł, że za królową posagu nie dadzą, a my tu jak kania dżdżu tego zło tego czekamy. Mówili o dwóch, o trzechkroćstusiącach talarów... Kto wie, może oprócz klejnotów nic nie wiezie.

Bielecka potrzęsła głową.

— A! — zawołała — u ciebie tylko pieniądze na myśli. Nie, król się musiał co do posagu zawczasu zabezpieczyć, to coś innego...

Bielecki usiadł do stołu, bo krupnik ostygł.

— Nie odgadniemy — rzekł.

Jejmość tak prawie jak nie jadła. Ciekawość ją paliła okrutna, ale pocieszyła się tem, że zaraz od stołu wstawszy pobieży na zamek i choćby z pod ziemi zakopaną, tajemnicę tę dobędzie.

Przyśpieszono więc obiad; gospodyni pierwsza wstała od stołu i nie zważając na porę przykrą, pobięła natychmiast na zamek. Płaza nie wychodził tego dnia z domu, Bielecki także. Doczekali się więc późnym wieczorem powrotu pani, ale weszła do nich z taką twarzą sfalowaną i zmienioną, milcząca, zła, że mąż jej pytać o nic nie śmiał. Po chwili dopiero Płaza szepnął, czy się o czem nie dowiedziała.

— Tyle tylko wiem — rzekła — że to rzecz niemałej wagi, ale z sypialni króla nikt nie wyniósł. Pac się zaklina, że nie wie nic. Chodzą wszyscy, jakby największe jakieś nieszczęście ich spotkało. Kazanowski, gdy od króla wyjeżdżał, nikogo nie widział, do nikogo się nie odezwał.

Francuza, który listy przywiózł, natychmiast za-

brano i odpawiono precz, tak, że od niego się nie mógł nikt dowiedzieć co i od kogo tu przynosił.

Bielecka ruszyła ramionami.

— Wszystko to nic — dodała — bo żeby jak tać chcieli, szydła w worku nie schowają... tylko złość bierze czekać i nie móżdż nie odgadnąć.

Król wieczorem księdza Pstrokońskiego kazał do siebie przywołać; z tym też siedział zamknięty, ale szeptał pociechu.

Można sobie wystawić, z jaką niecierpliwością Bielecka wyglądała dnia następnego, w którym spodziewała się odwiedzin Bietki, a ta jej coś przynieść mogła. Nadeszła ona w istocie, ale zaraz od progu oświadczyła, że nie wie nic.

Król przez całą noc na podagrę tak cierpiał, że krzyki jego słyhać na zamku było. Mówiono, że niepodobieństwem jest, aby naprzeciw królowej mógł wyjechać i że pewnie tylko wyśle brata i kanclerza Radziwiłła, a może i innych panów. Mówiono o Dönhofie wojewodzie pomorskim.

Bielecki także z zamku przyniósł potwierdzenie tego co Bietka opowiadała. Dodawał, że nader przykre jakieś usposobienie panowało w kole otaczającym króla najbliżej. Kazanowski siedział długo sam na sam z nim.

Pac wszystkim powtarzał, że on nie jest wtajemniczony, ale że się domyśla, iż przywiezione listy tyczyły się królowej.

Bielecka nadaremnie sobie głowę łamała. Ani trzeciego, ani czwartego dnia z zamku nic nie wyszło, coby się domyślać pozwalało treści tych listów, które takie uczyniły wrażenie, a wprędce takim milczeniem i tajemnicą pogrzebione zostały.

Płaza wnosił, że musiała być rzecz wielkiej wagi a niepomysłna, gdy tak się z nią ukrywano.

Tymczasem zaś, ponieważ król zdawał się tem więcej potrzebować rozrywki, Pac biegał za Bietką,



która i jego i króla, igrając sobie z nimi i śmiejąc się wodziła, napróżno im czyniąc nadzieje.

Dziewczę przed Bielecką nie tailo tych zabiegów, jakie wojewodzie czynił; przenikało doskonale ich cel i nie okazywało najmniejszej ochoty paść ofiarą fantazyi chwilowej pana.

Z drugiej strony panna Amanda, która czyniła niejakię nadzieję starającemu się o nią Czartoryskiemu, iż za niego wyjdzie, znowu zmieniła usposobienie, jak gdyby miała nadzieję nietylko się na swem stanowisku utrzymać, ale nawet zdobyć jeszcze ważniejsze.

Pac powiadał, że przed przyjazdem królowej i rozpatrzeniem się w tem, jak król z nią żyć będzie, nie się na dworze nie zmieni.

Lekko sobie jakoś szacowano nową panią.

## VII.

Listy, które tak wielkie na zamku uczyniły wrażenie, iż w kilka dni potem jeszcze się ono zatrzeć nie mogło, pomimo wszelkich usiłowań ciekawych i interesowanych dworaków, pozostawały dotąd tajemnicą. Domyślano się najdziwniejszych rzeczy, zmyślano na rachunek ich historye osobliwe, nikt jednak właściwie nie wiedział nic, oprócz może Kazanowskiego i ks. Pstrokońskiego. Król chmurniejszy niż kiedy, niespokojny, chwilami niecierpliwący się, leżał ciągle chory, prawie przez cały dzień nie ruszając się z łóżka, czasem tylko do syna i Amandy rozkazując się nieść z krzesłem przez pokoje. Ale i piękna ulubienica króla, która miała nad nim pewną władzę dawniej, teraz go rozweselić nie mogła.

Postrzeżono też, że o podróży królowej, o przyjęciu jej król teraz mówił niechętnie i zdawał się niepokoić więcej, niż cieszyć zapowiedzianym przyjazdem, składając chorobą swą, która mu ruszyć się nie dozwalała. Mówił o tem nawet niechętnie.

Pac, który najmniejszą rzecz miał na uwadze i wnioski wyciągał z drobnostek, pocichu zawiadomił pannę Amandę, którą i pozyskać sobie starał się i zdradzał razem, że wizerunek przyszłej królowej, który zawsze stał na stoliku przy łóżku, odwrócony znalazł i odsunięty.

Ani na chwilę teraz nie widziano króla rozweselonego, choć wszyscy go znali, że rozrywki potrzebował i dawniej w najcięższych życia swego momentach jej szukał. Pac napróżno przynosił plotki i powtarzał koncepty dworaków, król ich nie słuchał.

Pogrążonym był w sobie i przybitym. Jedno tylko jeszcze ożywiało go chwilowo, to gdy z ceghauzu starszy, lub z nowozaciężnych wojsk cudzoziemiec jaki mu przychodził zdawać sprawę z postępu, jaki formowanie pułków czyniło. Niestety i ta pociecha gorczyła była zaprawna, gdyż do ostatniego grosza niemal wyczerpały się króla zasoby osobiste, kredyt nawet na te kosztowne werbunki, a każdy prawie z dowódców przybywał z żądaniem żołdu i pieniędzy na dalsze zaciągi.

Parę razy przypuszczony do króla poseł wenecki Tiepolo, włos, bardzo giętki, zręczny, wymowny, umiający się przypochlebić, obiecywał wprawdzie złote góry, prawil o potędze i bogactwie swej rzeczypospolitej, ale gdy szło o pieniądze, inaczej ich nie obiecywał, jak pewnych rękojmi żądając i formalności takich, iż wiele czasu na nie trzeba było wyszafować.

Tymczasem i narady z włochem i sprawy ceghauzu, pułków nowych, broni, prochów, niepokoiły już ludzi; z trwogą sobie szepmano:

— Król się sposobi do wojny.



Wśród tego niepokoju i zachmurzenia na dworze, nie mające nic do czynienia niewiasty, poczynając od panny Amandy, a kończąc na pięknej, żwawej, śmiejącej się i roztrzęsionej Bietce, wysilały się na rozwiązanie zagadki, co zawierały i od kogo były te listy, które na królu tak ogromne uczyniły wrażenie?

Do najciekawszych i najniespokojniejszych należała pani Bielecka, która niegdyś na dworze sama zajmowała miejsce faworyty, i choć je straciła, zawsze królem i jego serdecznymi sprawami żywo się bardzo zaprzątała.

Nie mogąc nic dojść sama, dawała skazówki Bietce, udzielała jej rad, a dziewczę, bawiąc się tą tajemnicą, biegało nieustannie z zamku na Piwną ulicę i odwrotnie.

Plaza, który oka z dziewczęciami nie spuszczał, uroiwszy sobie, że ono jego zgubioną córką być musi, w czem go podobieństwo rysów, głosu, charakteru i owo znamię, jak ziarno pieprzu, utwierdzało, prawie się nie oddalał z domu, czatując każdym razem na Bietkę, niespokojny.

Wspomnieliśmy już, że to jego zajęcie się Bietką pani Bielecka sobie tłumaczyła, jako skutek wcale innego uczucia, którego się Plaza wstydził może, lub je chciał do czasu ukryć.

Bietka zaś tak dobrze bawiła się Plazą, jak Pacem, Platenbergiem, koniuszym króla, gładkim też chłopcem, który koło niej się kręcił i wielu innymi dworzanami.

Rozrywało ją też szpiegowanie na współ i pod kierunkiem Bieleckiej. Po kilka razy na dzień przylatywało dziewczę z doniesieniami: Król to powiedział... Kazanowski się z tem dał słyszeć... Przygotowania do drogi do Gdańska zwolniały... Królewicz Karol ma się podobno wybrać przed królem i t. p.

Bielecka potem wszystkie te plotki i posłuchy uciierała razem w swej główce niespokojnej, jak przy-

prawy w mózdzierzu i dalszych instrukcyj udzielała Bietce.

Ile razy dziewczę przybiegło na Piwną ulicę, nigdy Plaza nie chybił, żeby choć nie przywitać jej, nie zaczepić, nie zagadać. A że często do tego łączyły się małe podarki, to złotem szyte trzewiczki, to turecka lub perska chusteczka, to łańcuszek wenecki, to pudełko słodczy, które Bietka lubiła, choć stary gach (jak go zwała) był jej obojętnym, nie uciekała od niego, drażniła, rozmawiała.

Tak teraz Plaza po kilka razy na dzień ją chwycił, nim Bielecka mogła z kuchni wyjść do niej, albo ją do siebie zaprosić.

Znajomość coraz się poufalszą stawała, bo Bietka miała naturę taką, ciekawą ludzi i nie płochliwą. Czula w sobie siłę i nie obawiała się ich wcale.

Plazy w końcu żał się jej zaczynało robić. Zmagał się na podarki, stawał czulszym coraz, nie zrażało go nic. Bietka więc postanowiła przy pierwszej zrzeczności rozmówić się z nim otwarcie, aby sobie próżnych nie roił nadziei. Była pewną, że się z nią chce żenić, a choć Bielecka zapewniała, że bogaty być musiał i twierdziła, że stary a majątny mąż najlepszy, na tę jej wiarę nie dawała się nawrócić.

Dnia tego Bielecka się jeszcze malowała, gdy nadeszła Bietka; przy tem zaś wielkiem dziele nawet przyjaciółkom wstęp do niej był wzbroniony i Bietka czekać musiała. Natomiast wybiegł naprzeciw niej Plaza.

— A! że też wy!—rozśmiała się, widząc go—czatujecie na mnie, jak myśliwi na słomkę.

— Nie mylisz się, moja śliczna panienko—odparł Plaza—gdy jeden dzień was nie widzę, tęskno mi za wami.

— A no, mój pocziwy stary — odparło dziewczę swawolnie—przejrzyj-że się też w lustrze i powiedz, do czego to podobne, żebyś ty szalał za mną? Ja ci to dawno chciałam powiedzieć, że gdybyś nie wiem,



jakie krocie miał, nie pójdę za ciebie, tak jak nie pójdę za nikogo, jeśli go nie pokocham.

— Alboż ja kiedy mówiłem wam—przerwał Płaza— że się żenić chcę? W istocie, szalonymbym był, gdybym myślał o tem.

— No, więc gorzej jeszcze—zaśmiała się Bietka— bo chcesz mnie chyba uwieść i kupić, a mnie ani nawet król ze swemi skarbami, ni w świecie nikt nie zbałamuci. Nie, nie!

— Ja też wcale o tem nie myślę—począł spokojnie Płaza—sto razy wam mówiłem, dla czego się tak do was przywiązałem. Przysiągłbym niemal, że jesteś córką moją.

Bietka się tak śmiać poczęła, iż się za boki brała i padła na krzesło, chichocząc.

— Chcesz, bym temu wierzyła!—wołała—a! stary bałamucie, niezręczna to sztuka.

— Posłuchajcież mnie choć raz spokojnie—odparł Płaza— a potem będziecie sobie myśleli, co chcecie. Macie wiek mojej zagubionej córeczki, mówicie, że wasza matka była z Krakowa, że mąż jej, popełniwszy jakąś straszną zbrodnię, uszedł i gdzieś zginął; naostatek jesteś podobna do matki twej, jak dwie krople wody i masz toż samo znamię, co ona miała na szyi. Dla czego mi nie chcesz prawdziwego swojego nazwiska powiedzieć?

— Bo sama go nie znam—rzekła Bietka—krewni Helmowie wzięli mnie na wychowanie, nie mieli dzieci, więc zwali mnie Helmówną, ale córką ich nie byłam. Potem, gdy zmarli, dostałam się na dwór do królowej Anny na służbę.

— Wszystko więc się zgadza—zawołał Płaza— musicie być córką moją...

— Al! al! gdyby tak i było—poczęła żywo Bietka—cóż z tego?

Ja się dla tego ode dworu wziąć nie dam i zamknąć gdzieś albo na wsi, albo w jakiej ciemnej

i smutnej dziurze... Nie, nie! ja potrzebuję powietrza, światła, życia...

Spojrzała na niego, Płaza miał oblicze posępne.

— Tak, tak—dodał—jakśma nocnica leciecie na światło, aby w niem popalić skrzydła.

— Nie bójcie się o nie—roześmiała się Bietka— gdy dotąd są całe, a ja wyrostkiem głupim będąc, nie popaliłam ich; teraz już się nie masz co obawiać o nie.

Dziewczę na chwileczkę jakoś spoważniało, co mu się trafiało bardzo rzadko i po zadumie podniosło główkę, patrząc na posępnie siedzącego naprzeciw Płazę, który poczynął, mrucząc:

— Nie może to być, aby ci Helmowie, którzy was wychowywali, gdy uczciwymi ludźmi byli, nie zatrzymali dla was na pamiątkę coś po rodzicach, po matce. Miała ona klejnotów i fraszek dosyć, bom ja na to nie żałowałam, a ona lubiła aż nadto; po takiej fraszce lada, gdyby się znalazła, jabym zaraz pewność miał, a wam ojca znaleźć...

Nie dokończył, gdyż Bietce oczki się zaświeciły. Uderzyła w ręce białe.

— Al! prawda, mam trzy pierścionki!—zawołała—Helmowa mi mówiła, że należały do matki. Jeden jest obrączką.

— Czekaj—przerwał Płaza, powstając niespokojny—na obrączce stoi napis: Serce moje i twoje.

Bietka krzyknęła:

— Al... złóż je, Boże!

Płaza się rzucił ku niej.

— Rok stoi potem.

Bietka patrzyła, jakby przestraszona, i zbladła.

— Ja wam powiem, jakie mogą być pierścionki inne—dodał, drżąc cały.—Jeden może z okiem czerwonym z rubinu, dokoła perełki.

Dziewczę milczało.

— Drugi z węzłem, co się kasa za ogon, a oczy ma z brylancików, albo...



Bietka spuściła głowę... nastąpiło milczenie długie. Nie chciała jeszcze przyznać, ale serce jej biło, gdyż się przekonywała, że w istocie ojca znalazła w tym nieznanym, a dosyć dotąd wstrętnym sobie człowieku.

Wiedziała, jakie ojcostwo daje prawa, lękała się, aby ten starzec nie zmusił ją opuścić dwór, jechać za sobą, porzucić wszystko, do czego była nawykłą. Serce do niego nie ciągnęło jej wcale, a jednak coś powiadało, że wyrzec się rodzica było grzechem, że powinna się poddać losowi.

Plaza czekał na słowo od niej, a spostrzegł tylko, że się jej lzy z oczów polały.

— Dziecko moje — zawołał — czegoż ty płaczesz? Nie miałaś na całym świecie nikogo, byłaś sierotą, Pan Bóg ci daje cudem odzyskać ojca, bo to cud jest laski Jego, a ty płaczesz? Byłaś na łasce ludzi, teraz możesz jej nie potrzebować. Ojciec twój ma tyle, że cię i wyposażyć może i przyszłość zapewnić.

Co się działo w duszy dziewczęcia, Bóg jeden wie; siedziała długo, jak marmurowa, tylko lzy kroplami jej z oczów padały, potem powoli, z obawą jakąś wyciągnęła rączkę, pochwyciła namulaną dłoń Plazy i do ust ją przycisnęła, nie mówiąc nic.

Stary pochwycił ją za główkę i rozplakał się, też całując.

W tej chwili właśnie wpadła jeszcze, włosy porprawiając, Bielecka, i zobaczywszy ich całujących się, aż krzyknęła, bijąc w dłonie.

— Winszuję! winszuję!

Odwrócił się Plaza poważnie.

— Bóg zapłać — odparł cichym głosem — córkę odzyskałem.

— A! tak! tak! niema wątpliwości! — zawołała, rzucając się na szyję Bieleckiej, Bietka — jest moim ojcem.

— Jakżeście wy doszli do tego? — przerwała zdumiona jejmość — to znówu coś osobliwego.

Bietka szybko jej rozmowę swą z Plaza powtarzać zaczęła.

Przez czas jakiś ogarnęło takie zdumienie Bielecką, że nawet o zamkowej sprawie zapomniała; naostatek jednak, powinszowawszy obojgu, wróciła do tego, co tu Bietkę sprowadziło.

— A na zamku co? — spytała.

— Głowę straciłam — zawołała dziewczę — nie pytaj mnie dzisiaj. Niema tak dalece nie, król troszynie lepiej, ale o podróży do Gdańska już ani myśli; mówią, że wyśle Radziwiłła i księcia Karola, pojedzie Dönhoff, a on sam, kto wie, czy dalej się wybierze, jak do Falent.

Uśmiechnęła się dziwnie.

— Gotowa później skończyć się na Ujazdowie! — wtrąciła Bielecka z przekąsem.

Rozmowa dalsza nie szła; wypadek, który sierocie ojca dawał, zbyt był ważny i zmieniał tak położenie. Bielecka miała tyle teraz pytań do zadawania, tyle rzeczy, któremi się żywo zajęła, iż o królu trochę zapomniała.

Chciała wiedzieć czy Bietka pozostanie u dworu? co ojciec z nią uczynić zamierza? czego ona sobie życzyła? i t. p.

Tymczasem dziewczę wszystkie te natrętne badania odparło jednym.

— Dajcie się mi opamiętać. Ja jakbym się na świat nanowo narodziła. Patrzę, patrzę na tego ojca i strach mnie ogarnia. Sama nie wiem czego pragnąć. A! ja tak do tego życia od dzieciństwa nawykłam.

— Uspokój się — rzekł Plaza. — Pan Bóg który taki osobliwy cud uczynił, że nas z sobą połączył, nie dopuści, aby to na złe wyszło. Będziemy o tem mówili, radzili, rozważali...

Pocałował ją w głowę.

— Tymczasem nie szczebiocz może na zamku — dodał — rób jak chcesz, ale się rozmyśl co lepiej.



— Al! mnie się także w głupiej głowie zawraca— odparła przychodząc swolna do siebie Bietka.— Tymczasem ja na zamek, do służby powrócić muszę.

— No, to trudno, abys tam przyszedłszy tajemnicę zachowała—dodała Bielecka—Rozniesie się to natychmiast i po zamku i po mieście, a ręczę, że jutro na Skarżyszewie i w Ujazdowie o tem przekupki i pacholkiwie opowiadać będą, bo tu u nas w Warszawie, aby kto piórko osmalił, pójdzie dym aż na przedmieścia.

Bietka zabrała się do wyjścia, a Plaza ją przeprowadził aż w ulicę, poczem coby prędzej się przedziawszy, najpilniej mu było biedz do przyjaciela ks. Stoczka.

Tym razem zastał go z pauprami zajętego nad abecadłem i katechizmem, od których się on niczem odrywać nie dał, poszedł więc do kościółka, bo go tknęło, iż Bogu powinien dziękować.

Tu go też zastał ks. Stoczek, gdy chłopców swych rozpuściwszy, wolnym był na chwilę.

— Cud się stał—rzekł poważnie Plaza, ściskając go z przejęciem—dziękowałem Bogu. Cud... odzyskałem dziecko zgubione, nie jestem już sierotą...

I lzy mu się polały znowu. Poszli razem do izdebki Stoczka, a tu Plaza opowiedział wszystko.

Stoczek o domysłach i przeczuciach wprzód już wiedział, uradował się więc niezmiernie wypadkami.

— Tak—rzekł—Bogu za to dziękować, bo i dziewczę z tej Gomorrhry możesz wyrwać i ocalić i sam też przez to innym stać się człowiekiem. Nie powracać ci już teraz do kozaków.

Plaza głową zaczął potrząsać.

— Tak to ci powiedzieć łatwo — westchnął — ale kto ich zna, kto z nimi żył, ten nie może zbyć ladaćcem tej trudności, a to wielka, straszna trudność. Żyłem z nimi lat wiele, zwierzyli mi sprawę ważną, posłali z listami. Gdybym się im teraz pod ziemię skrył, dobędą mnie z pod niej. Chodzi tu za mną

jeden jawnie krok w krok, a nie wiem ilu potajemnie. Mają swoich wszędzie, bodaj w kancelaryi króla. Umieją gdzie potrzeba stosunki zawiązać. Gruby naród, chłopstwo, mówicie, ale chytrzejszego na świecie narodu niema nad nich.

Gdybym chciał tak wszystko porzucić, żywota bym nie był pewien; gdyby mnie ino posądzali, że mogę zdradzić, zabijają. A wyrzec się tak listów i wszelkiej z nimi druzby, to tyle znaczy u nich co zdradzić.

— Przecieżeście im się nie wpisali w poddaństwo — odparł ks. Stoczek — a opiekę tu, jako szlachcie polski, znajdziecie.

— Jako żywo — rzekł Plaza — bo mnie za morderstwo na banicyą sądzono, a banicya nie zdejta i może mi łeb uciąć kto zechce, jeśli naprzd glejtu a potem nie dostanę od króla łaski.

Westchnął Plaza.

— Dalej — rzekł — co tu z tem dzieckiem robić, które, prawda, piękne jest, serce ku sobie pociąga, ale na dworze czego to się nauczyło, do czego nawykło? Wziąć ją gdzie na wieś, to z tęsknoty zamrze.

Możeście o tem słyszeli, com ja na sobie sam doświadczył. Gdy człowiek zmęczony wśród wrzawy i hałasu usnie, uciszy się li hałas, to się przebudzi. Tak z tą dziewczyną, do wrzawy nawykła: spokój jej dać i cichy żywot, nie wytrwa w nim.

Troska ojcowska już go ogarniała.

— Bóg z tobą — rzekł Stoczek, pocieszając. — Z tego coście mi mówili, wnoszę, że dziewczę roztrzpiotane, ale zepsute nie jest. Mogło już do tego czasu siła nabroić, gdy ją ze wszech stron kuszone, przecieć mówisz to i ty i drudzy, że pozostała uczciwą... niema więc czego rozpaczać.

— Ale niepokoju będzie dosyć — dodał Plaza. — Teraz wam i do tego się już przyznać muszę, żem



w podróż ruszając całego mego mienia nie zabrał z sobą. Pozostało w pewnym miejscu zakopanych na Chortycy dosyć złota i klejnotów, które z łupów podziału na mnie przyszły. Nie wiem sam na ile to szacować, ale pewno nie mniej nad kilka złotych tysięcy. Muszę więc na Niż, choćby dla tego skarbu powracać, a jak się ztamtąd wydobędę? Ciągłe mnie podejrzewali, że chcę od nich odstać, nie spuszcza z oka.

A na czas, gdy mi na Niż jechać przyjdzie, komu dziecko powierzyć? Jednych Bieleckich znam, ale, prawdą a Bogiem, jejmość dawna królewska faworyta, płoża niewiasta, dziewczęcią jej powierzyć nie można, bo enoty nie ma za nic.

Plaza się ujął za włosy i począł je targać.

— Więc — dodał — jak z jednej strony jest za co dziękować Bogu, tak z drugiej troski niemało.

— Módl się no i Bogu ufaj tylko — dorzucił Stoczek. — Nic nie nagli, masz czas się rozmyśleć.

— Jednej rzeczy się lękam — rzekł Plaza. — Baby języka utrzymać nie umieją, a Bietka nie jest wyjątkiem, ta też paple rada. Pójdzie zaraz ta pogłoska, że we mnie ojca znalazła, Parfen kozak, który za mną chodzi, będzie ją miał, bo co się mnie tyczy, na to on łasy i chwyta. Padnie na mnie podejrzenie, ruszyć się krokiem będzie trudno.

Stoczek posmutniał.

— Prawda — rzekł — że się składają te sprawy twoje niełatwo dla ciebie, ale od czegoż łaska Boża. Myślisz, że trudno Bogu ciebie wydzwignąć z tej toni, gdy już dał znak iż się opiekuje tobą?

Plaza trochę odwagi i otuchy zaczerpnął od Stoczka, który nigdy nie rozpaczał, ale wyszedł od S. Brunona pomimo to jak pijany i musiał wstąpić do pierwszego szynku na gorzałkę, do której był nawykłym, aby nią się otrzeźwić, wedle kozackiego obyczaju.

Zaraz mu też po dwu kupkach jaśniej się i we-

selej zrobiło, bo miał nałóg do wódki i bez niej teraz żyć nie mógł.

Wyszedł z szynku na ulicę, pasa poprawiając, patrząc na świat inaczej, wesół nawet był. Myślał tylko o tem, że dziecko miał, że nie sam był, że przestał sierotą być.

Kroczył tak z Nowego miasta na Stare, gdy zdala ujrzał idącego naprzeciwko siebie Parfena.

Kozak wiedział, iż on do S. Brunona codziennie mał chodził, a że Plaza go unikał i starał mu się wyślizgać, Parfen tem usilniej zabiegał, aby się z nim spotykać.

— No, batku — odezwał się zbliżając — wam dziś dobrze z oczów patrzy, jak już dawno nie bywało. Czyby się nareszcie rozmyślili na Niż was odpuścić z odpowiedzią?

— Nie słyhać o tem — rzekł Plaza.

— Jam się też dziwował — dodał Parfen — bo ja też wacham kiedy temu czekaniu będzie koniec. Mnie się już tu strasznie skuczy — westchnął — a i wam pewnie. Co tu za życie. Mnie te mury same ogromne, na które patrzę, już duszą. Spać w izbie co dzień, na koniu się nie móżd wyhasać, głośno krzyknąć i za lby się wziąć, też nie lza... co to za życie, piesby nie wytrzymał!

— A cóż ciebie tu wiąże? — odparł Plaza. — Niechże ja, muszę na listy czekać, a oni pono na pieniądze czekają, bo próżne pisma, wiedzą, że nie poskutkują... a no wam tu niema czego się wędzić.

— Jakbyście wy nie znali — rozśmiał się kozak — że ja po przykazu tu siedzę? Gdyby mnie atamańska wola nie trzymała na uwiazi, he! he! dawnoby mnie tu nie byłol hasałbym ja po stepie, albo się czółnem między ostrowy pławił.

A tam! — dodał ciężko wzdykając — a tam moje molojcy może z czajkami poszli na morze, na szerokie sine morze, albo na tatarskich chanów w dzikich polach



łowy sprawiają, a mnie tam niemal! Al! Bóg jeden wie co to kosztuje taką pańszczyznę sprawić.

Plaza się uśmiechnął.

— Twoja pańszczyzna w dodatku — rzekł — nadaremna, bo ty mnie pilnujesz, a ja dozoru nie potrzebuję. Juścić was nie zdradzę i z listy powrócę, wy to sami wiecie.

— Pewnie — mruknął kozak — a zawsze bezpieczniej gdzie dwu patrzy niż jeden. Kto wie co się wam może przygodzić. Broń Boże nieszczęścia, jam tu na to, aby choć huknąć do swoich. Ja waszym lachom nigdy nie wierzę... król nas potrzebuje, dlatego taki dobry i buławy złocene i chorągwie nam posyłać gotów i bębny; a no, król tu nie gospodarz tylko... ledwie włodarz. Co oniby się jego mieli bać, on się ich boi, co onby nimi miał rządzić, oni rządzą nim.

Śmiał się Parfen.

— Kogo on tu oszukuje — mówił dalej — tego ja nie wiem. Wszakci w biały boży dzień działa i prochy i saletry do młynów wożą, wołochów, węgrów, szlachaków ściągają, wszyscy na to patrzą i nikt nie spyta, za jakie to pieniądze? Poboru niema uchwalonego, wojny żadnej nie widać, z moskiewskim carem na pewno traktaty zawrą, choćby mu Trubezesk oddać przyszło... to się wie, z turkiem niby pokój, nigdzie nie grozi oprócz tych rozbójników tatarów, na których dosyć kwarcianych, a tu na gwałt wszystko się zbroi. Szlachta patrzy, patrzy jak kozioł na wodę, a no się w końcu spyta, co to jest? Będzie król musiał jak niepyszny pan tłumaczyć się, a może rozbijać.

Rucił ramionami Parfen.

— Króla bo wy za nic nie macie — przerwał Plaza — rozumny to pan, i on sobie że szlachtą radę da i z panami. Panów ma w kieszeni, a szlachta jak się wykrzyczy, rozjedzie się do domów i cicho będzie. Król zaciągów nie rozpuści.

— Al! al! jać to wszystko wiem potroszę — dodał Parfen — ale wy tego nie słuchacie co ja po mieście. Szlachta mu wojny nie pozwoli.

— A jak mu ją wypowiedzą — wtrącił Plaza.

— Myślicie że turek głupi i też nic nie wie! — rzekł kozak. — Widzą i słyszą że tu poseł wenecki siedzi, że z carem na nich zmowa, i będą wojnę poczynąć? Nielepiejże poczekać a sięść lachom na kark gdy sami będą?

Plaza nie miał ochoty dalej rozprawiać z Parfenem. Zbliźali się też ku jego kwaterze, pożegnał więc kozaka: Z Bogiem.

Ten okiem go nieufnem zmierzyszy, odszedł powoli.

W domu Bielecki na progu witał go już powinszowaniem, bo o córce się od żony dowiedział.

— Widzicie — rzekł — to wam mój ten dom tak szczęśliwie posłużył. Nigdybyście bez niego dziecka nie odzyskali.

— Ja też wam z duszy wdzięczny jestem — rzekł ściskając go Plaza.

Wtem i sama jejmość nadbiegła z twarzą jak zawsze ożywioną i wesołą.

— Poczekajcie! poczekajcie — wtrąciła — niżeli sobie winszować będziecie. Dziecko, prawda, bardzo miłe i ładne, ale będziecie z niem utrapienie mieli, bo samowolne i kapryśne. Niełatwo jej się będzie poddać władzy ojcowskiej, bo ona tam na dworze już nawykła była nie słuchać nikogo; a umiała się tak ludźmi posługiwać, że jeden ją zawsze bronił od drugich, ona zaś nikomu się zajmować nie dała.

Plaza się uśmiechnął.

— Nie obawiam się — rzekł — sprzeciwiać się jej nie będę, bo nie spodziewam się, ażeby złego chciała. Z mężczyznami śmiała do zbytku i nie się ich nie obawia.

Zamilkła jejmość i po chwili dodała.

— Dla niej to szczęście wielkie, że was znalazła,



ale dla was frasunku będzie dosyć. Myślicie ją zostawić u dworu?

— Albo ja wiem—rzekł cicho zadumany Płaza—wszystko to jeszcze tak świeże, iż się człowiek nie opamiętał.

— Jabym ją ode dworu wzięła — mówiła dalej Bielecka.—Prędzej później zawsze tam wszystkie źle kończą. Począwszy od króla, mężczyźni na dziewczęta polują bezwstydnie i nie zważają na nic. Za Bietką biega ich mnóstwo, począwszy od Paca. Panna Amanda niebardzo ją lubi, bo jej świeżego buziaczka zazdrości, i choć sama od niej może piękniejsza, ale zna to dobrze, że młodość ma urok, którego i piękność nie daje.

— Gdybym ją ze dworu chciał zaraz wziąć — rzekł Płaza — dokądże z nią? Nie mam jeszcze ani domu ani łomu, albo się trzeba okupić tu w Warszawie, lub na wsi... tymczasem nim się dach znajdzie, nie mam się gdzie z nią podziąć.

Wreszcie, ja wam to powiedzieć mogę, iż na stały pobyt teraz zostać nie wolno mi, muszę wpród na kresy powracać, gdzie się jeszcze moich węzłków trochę zostało... i jam nie wolny. Dziewczyny z sobą zabierać ani myśleć.

Potańczę się po głowie.

— Rozmówię się z nią — dokończył trochę frasobliwie—bo tylko co jej nie widać, przyjdzie pewnie.

Po obiedzie nad wieczór nadbiegła w istocie Bietka, zarumieniona, roztrzępana, niespokojna. Przyniosła ze sobą pierścionki matki, nad którymi Płaza zapłakał. Usta się jej nie zamykały, była jak upojona i w gorączce. Na dworze wszyscy już o tem wiedzieli, że znalazła ojca, ale nie każdy się temu radował. Sierotą była swobodniejszą, teraz się trzeba było na pana rodzica oglądać.

Jedna może panna Amanda uradowała się wiadomością, przewidując, że Bietkę ze dworu wezmą, bo

jej pod boki mieć nie chciała. Obie się nie lubiły oddawna.

Bieleccy oboje ojca z córką pozostawili na swobodnej rozmowie, którą też stary niebawem rozpoczął od tego, że życzenie swe wyraził, aby ze dworu ją odebrać.

— Nie mam cię dokąd wziąć—dodał—ale obmyśleć muszę i znajdę uczciwą rodzinę, u której będziesz mogła przemieszkać dopóki ja nie powrócę, bo ja muszę jechać na kresy, aby ztamtąd się już na zawsze tu przesiedlić.

— A nie mogęż ja przez ten czas na dworze pozostać?—zapytała Bietka.—Mnie przecie nie grozi tam więcej nad to co dotąd? Poco szukać przytułku? Mnie nie wypędzi panna Amanda choćby chciała.

— A pocóż masz tam być, gdzie z nieprzyjaciółką codzień będziesz się musiała ucierać? — spytał Płaza.—Panna Amanda nie lubi cię, ty jej.

— Nienawidzę przewrotnej! — wtrąciła namiętnie Bietka—ale właśnie dlatego chcę obok niej pozostać... solą w oku. Oczekują nowej królowej... Chyba Bóg niełaskaw, abym się ja do jej dworu i służby nie wśliznęła. Nowa pani przywiezie z sobą same francuzice, które się tu nie będą umiały obrócić; potrzebują kogoś, ja się następcę, przypochlebię, a pannie Amandzie wywdzięczę.

Zapaliły się jej oczki. Płaza posmutniał.

— Naco ci się to wszystko zdało?—odezwał się. — Do królowej francuzki ty nie znajdziesz przystępu, bo do tego język potrzebny.

Rozśmiała się Bietka szczerząc ząbki i ukłoniła ojcu.

— Nie sądźcie, tatku, żeby dziecko wasze tak było głupichne i wszystkiego zawczasu nie obrachowało?—odezwała się.—Jak tylko posłyszałam, że królowa francuzka jedzie, poczęłam się języka uczyć u starego muzyka przy kapelli, francuza. Nie mówię ci ja ani ładnie ani bardzo doskonale, a no lepiej



niż panna Amanda, która tylko po niemiecku szwarcocze. Tailam się i taję z moją francuzczyzną, ale ją mam, a nim królowa przyjedzie, co pewno nie nastąpi aż w marcu lub kwietniu, ja jeszcze postąpię. Starego francuza od gęby sobie odejmując karmię, kradnę dla niego wino, ale musi codzień dobrze się ze mną wymęczyć!

Zatarła rączki zwycięzko i spojrzała na ojca, którego ta wiadomość niebardzo ucieszyła.

Wszystko to dobrze — odezwał się — ale i mnie o sobie daj pomyśleć. Mnie dwór nowej królowej tak jest wstrętliwy jak terażniejszy; francuzów ja się zamłodu napatrzyłem, płochy lud bardzo. A nuż mnie ztąd przyjdzie lada moment ruszyć, nim nawet królowej się doczekamy? Za nicbym cię u dworu zostawić nie chciał! Z jednej strony prześladowanie tej niemki, z drugiej zbyt wielkie łaski paniczów, oboje mi nie do smaku!

Począł głową potrząsać.

— Al nie! nie! Co innego trzeba obmyśleć.

Bietka przysiadła obok ojca i zamyśliła się także, a po chwili milczenia szepnęła mu do ucha.

— U Bieleckich mnie zostawić nie zechcesz?

Plaza milcząco dał znak głową przeczący.

— No, to jeszcze mam sposób jeden — zamruczała pociechu. — Jest u pani marszałkowej staruszka, litwinka, starsza nad jej fraucymerem, bo tam panien wiele trzymają dla haftu, który jejmość lubi, siebie nim okrywając i po kościołach rozdając. Stara się zowie Mingajłowa, a daje jej tytuł ciwunowej. Poważna stateczna niewiasta. Ta mnie jak własne dziecko kocha, i mówi, że jej córkę zmarłą przypominam. Byłem poprosiła, weźmie mnie na czas do pani marszałkowej, która nie patrzy na to ile panien chleb jej je. Jest go tam dosyć.

— Alećbym Mingajłową poznać musiał i z nią pomówić — rzekł Plaza — bo choć tobie rad wierzę, aleś ty młoda, trzpiot, a ja stare mam oczy.

Pocałowała go Bietka.

— Chcecie? jutro, pojutrze zaprowadzę was do Kazanowskich palacu — odezwała się — przecież kiedy Bielecki wam zamek pokazywał królewski, to palac marszałka pewno niemniej godzien widzenia. Zamek może większy jest i izby ma szersze, i tron w nim stoi, i teatr wart widzenia, ale u Kazanowskich przepych i wspaniałość królewskiej równa, a wymysłów więcej jeszcze. Zgoda?

Plaza głową dał znak przyzwolenia.

— Bądź co bądź — odezwał się — wolę już marszałka dwór z Mingajłową, niż królewski z panną Amandą, która ciebie nie lubiąc na zgubę czyhać może.

— Oddawna — potwierdziła Bietka spokojnie — ale ja się jej nie dam. Sama nie wiem, Pan Bóg musi dawać małym ptaszętom to przecucie, gdy nad nimi jastrząb błdzi, i nam głupim dziewczętom, gdy źli ludzie się zasadzają, ale ja się i nie dawałam i nie daję i nie dam! Na wylot tych młokosów znam.

Zajrzała wtem przeze drzwi Bielecka i chciała się cofnąć, ale Bietka naprzeciwno niej pobiegła.

— Nasza rozmowa skończona — zawołała — chodźcie. Trzeba mojego tatka rozweselić, bo mi się coś namarszczył, a ja nie chcę, aby dla mnie się frasował... wołałabym mu pociechę przynieść z sobą.

Gospodyni ścisnąć ją i całować zaczęła.

— A! któżby się nie cieszył takim cackiem jak ty drogiem!

#### IV.

Stało się wedle woli i życzenia pięknej Bietki, która, gdy raz czego zapragnęła, umiała to przyprowadzić do skutku.



Uprzedziła ona zaraz Mingajłową, że ojca znalazła i że z nim chce ją odwiedzić, a razem pałac włoski pana marszałka mu pokazać. Tegoż dnia otrzymała odpowiedź, iż wszystko się jak najlepiej składa, bo marszałkowa była w odwiedzinach u bratowej, a marszałek na łowach, pałac więc cały stał pusty do obejrzenia.

Przez starego muzykusa, który ją potajemnie po francuzku uczył, Bietka powołała za przewodnika do pałacu dawnego sługę Kazanowskich, który z nimi po Włoszech podróże odbywał, budowniczego ich i muzyka królewskiego Jarzemskiego, który Warszawę całą doskonale znał, bo właśnie ją zabierał się wierszem polskim opiewać, o czem wszystkim, wszędzie i zawsze rozpowiadać lubił.

Dworak był ze krwi i temperamentu ów Jarzemski, lizun, pochlebca, ale człek zręczny, i choć wszyscy się z niego i jego wierszydeł śmiali, on wszystkich umiał wyzyskiwać i na swą korzyść każdą rzecz obrócić.

Pracowity, ruchawy, niezmordowany, jednego dnia w kapelli grał, z dworakami i przybyłymi panami jadł i pił, plany dworów rysował, wiersze składał, kobietom pieśni śpiewał i dworował, a zręcznie się do podarków przymawiał każdemu z senatorów i magnatów, którego tylko napotkał. Znał on ich wszystkich, choć nie wszyscy oni go znali, a tak się wliźnąć umiał do każdego, iż pozbyć się go nie było podobna.

Oprócz tego u duchowieństwa, po klasztorach, gdzie w poście najlepszy stokfisz podawano, gdzie starym częstowano miodem, Jarzemski muzyki urządzał i do stołu zasiadał.

Bietka, która pięknocią swą jednała sobie przyjaciół na dworze, nie mogła być dla Jarzemskiego obojętną, bo i nią się posługiwał.

Na ten raz ona go zamówiła sobie wzajem do posługi, na co Jarzemski się zgodził ochotnie.

— Przeprowadź! pokaż! — zawołał — nikt w świecie, nawet sam pan marszałek swojego pałacu lepiej nie zna nademnie, za to ręczyć mogę. Panienka to wiesz, że ja go szumnemi wierszami opisałem... ale jak! potomność się równie palacowi, jak moim wierszom, dziwować będzie. Nie pominąłem nic, a jutro też dostojnemu rodzicowi waszemu okaże wszystko; nic nie zapomnę.

Gdy zrana około dziesiątej godziny do zamku przyszedł Plaza, ustroiwszy się nie dla siebie, ale dla córki, aby się go nie wstydziła, znalazł już ją i Jarzemskiego, który oczekiwał zabawiając Bietkę rozmową, ale że zwyczaj miał najwięcej mówić o sobie samym, i — ja — nieustannie mu na usta powracało, nie była ona bardzo zabawna.

Znajomość z panem Plaza łatwo została zawartą, przyczem Jarzemski zaraz przedstawił się mu jako budowniczy, szczególnie w Ujazdowie od króla mający zleczone sobie nowe gmachy, jako muzyk nieposłędnie miejsce zajmujący w kapelli, i jako poeta, który wiersze składał, jak orzechy gryzł.

Wszystko to milczącym podziwieniem przyjmował Lasota, kłaniając się temu mnogolicemu mężowi, któremu tymczasem usta się nie zamykały.

Tuż obok Bernardynów kościoła i klasztoru, wznosił się na pierwsze wejrzenie wielce wspaniały pałac marszałka, cały miedzią pokryty, z gałkami złocenymi i wietrznikami herbowymi z herbem Grzymała, na który wskazując Jarzemski, asumpt z niego wziął do przypomnienia, jako jeden Kazanowski króla Kazimierza pod Chojnicami ratował, jako drugi Henryk imieniem, lat dwadzieścia w Turcyi w niewoli siedział, z której powrócił razem z onym turkiem, co go za swego miał, i turek potem u niego aż do śmierci pozostał.

Więcej też o rodzinie trudno było powiedzieć, bo o niej mało przed terazniejszymi pany Kazanowskimi, którzy nagle urosli łaską królewską, słyszano.



Zewnątrz tedy ukazawszy i owe cztery wieżycy po rogach, które zamkową powagę pałacowi dawały, i błyszczące okrycia dachów wysokich, JMPan Jarzemski zaprowadził do altany nad Wisłę, która w lecie w istocie, zielenią rozmarynów w naczyniach pięknych tu ustawionych okryta, mogła być zachwycającą i widok z niej się na okolicę rozciągał wspinały i rozległy, ale teraz, zimą, balasy kamienne, wschodki, ozdoby dachu, rzeźby, wszystko śnieg i lód okrywał. Na wiarę więc tylko przewodnika Plaża się zachwycać musiał... Wisła stała mrozem zdjęta, a po za nią śnieżne równiny, obielone lasy, niewiele miały rozmaitości i wdzięku.

Ponieważ tuż z boku stał cekhauz, chciał Plaże do niego też prowadzić na oględziny Jarzemski, aby armaty, muszkiety, broje, namioty, tureckie lupy, kopie złożone, dzidy, działka polne, hakownice, śmigownice, rydle, motyki i lwie skóry rozpostarte szczegółowo ukazywać, ale Lasota nie sądząc, aby to Bietkę zabawiać mogło, wymówił się od rozpatrywania zbrojowni.

— Pamiętajcie ino — rzekł za rękę go chwytając Jarzemski, któremu szło o to wielce, aby potęgę Kazanowskich okazał w świetle jasnym — że cekhauzu tu w Warszawie niema nikt, tylko król jegomość, a pan marszałek drugi. Choćby naprzykład Ossoliński swoją zbrojownię tak chciał nazwać, nie można jej do naszej porównać — paplał dalej Jarzemski — a zowie ją naszą, bo choć jestem *ante omnia* królewskim sługą, ale panów Kazanowskich też być nie przestałem.

Ponieważ obok cekhauzu kuchnia stała, i tej nie chciał przeoczyć a pominąć Jarzemski, gdyż, zdaniem jego, nawet kuchnia Kazanowskich godną była oglądania, dla osobliwych naczyń, które ją napelniały, i dla tego urządzenia jej, że ztąd panny kuchenne, nakryte misy wprost wschodami przenosiły do jadalni. A że, zdaniem Bietki, do pokoiów ochmi-

strzyni Mingajłowej przez te wschody było na drugie piętro najbliższe, a od staruszki począć należało, mógł więc sumienny Jarzemski i kuchnię marszałkowską w całej jej okazałości Plażie przedstawić. Bo chociaż obojga państwa podówczas nie było w Warszawie, dwór ich liczny tak wykwintnie musiał być karmiony, jak państwo sami.

Stara Mingajłowa przy pokojach, w których fraucymer się mieścił, czekała już na Bietkę. Była to bardzo miła, łagodnie uśmiechnięta, srebrnowłosa staruszcza, której dobroć z pomarszczonej ale jeszcze pięknej twarzy patrzyła. Zaprosiła ona gości do swojego pokoju na mały spoczynek i przekąskę, którą już zastawioną zastali, a Jarzemski, nawykły nigdy chlebem i napojem nie pogardzać, wziął się zaraz do gospodarowania.

Plaża więcej zajął się samą gospodynią, która mu znalezione goście witała, o jego własne dzieje ciekawie rozpytywała. Z tych naturalnie Lasota tyle tylko jej odkrył, ile mógł i przystało.

Gdy Plaża i Bietka zabawiali rozmową Mingajłową, a Jarzemski potroszę się do niej wtrącając tylko, pilno około szkła i misek chodził, ponieważ czasu dosyć upłynęło, a zdaniem jego, wiele bardzo do oglądania w pałacu pozostało, musieli się ze staruszką pożegnać i iść za przewodnikiem.

Mingajłowa na stronę trochę wzięła dziewczę.

— A pocóżes ty, dziecko moje — odezwiała się pocichu — zabrała z sobą z zamku tego gadułę i nudziarza? Nie da wam spokoju. Na ten raz musi już tak być, ale w drugie tylko odwiedziny z ojcem tylko proszę.

Z pokoiów panien Jarzemski zwycięsko wprowadził ich do długiej i wspaniałej w istocie przedstawiającej się galeryi obrazami zawieszanej od stropu do posadzki.

Na tem stary Lasota wcale się nie poznał, ale zdumień musiał blaskowi, jaki ścianom nadawały te



plótne, wystawujące bitwy, tryumfy, a naostatek i wizerunki *ad vivum* naturalnej wielkości, króla, nieboszczki królowej, małego Zygmunta, dalej rodziny Kazanowskich i kilku jej przyjaciół i powinowatych.

Oprócz obrazów, we wnękach stały tu marmurowe posągi, ale nie świętych. Nagość ich nieco Płazę razila, lecz Jarzemski się śmiał, zaręczając, że i w królewskich pałacach i wszędzie teraz podobne kamienne osoby wystawiano.

Na stole w pośrodku galeryi stały wielkie globusy, leżały zwitki różne, a Jarzemski ukazał w rogu na walkach nieporozwijane płótne, które na miejsce i ramy oczekiwały. Wszystko to starego Płazę przenosiło w świat dla niego tak dalece obcy i nowy, że z usty zamkniętymi podziwieniem słuchać tylko musiał, co Jarzemski głosił, a sam odzywać się nie śmiał.

Bietka zaś głośno i raźnie wielki swój zachwyt nad pięknością obrazów objawiała żywo. Dla niej nie były one rzeczą tak nową i mogła nawet o treści niektórych coś ojcu powiedzieć.

Pierwsza to naówczas i po wsze czasy była w Polsce galerya ta Kazanowskich, o której pamięć pozostała. Wojny szwedzkie zniszczyły ją i rozproszyły, tak jak niezmierną ilość dzieł sztuki, które dwa panowania ostatnie wprowadziły do Polski.

Zygmunt III sam malarz diletant, Władysław IV, którego w młodych latach malował Rubens, Kazanowscy, wreszcie znawca i miłośnik sztuki Jerzy Ossoliński, poczęli szczepić zamięłowanie jej u nas, gdy wkrótce potem nieszczęsne zawichrzenia, wojny szwedzkie i kozackie wszystko to w zarodku rozniosły.

Z galeryi, którą przez chwilę oglądali, długo w niej pozostać im nie dając Jarzemski, poprowadził znowu na dół aż do drugiej altany, z mało co różnym widokiem na Wisłę, również galeryami i marmurowymi wschodkami, balasami, posadzką przyozdobio-

nej; z tej wprost przeszli do wspaniałej sali jadalnej, o której zawczasu cuda prawili im Jarzemski.

— Macie wiedzieć—za rękę przytrzymując Płazę, mówił mu z przyceiskiem wielkim—że w tej sali, którą oglądać będziecie, królestwo ichmość oboje niejednemu raz, ale wielokroć razy państwo marszałkowsko ugaszczali i przyjmowali. Oprócz tego, co było posłów nie minęło Warszawy, aby ich tu nie karmiono i nie pojono; posłowie cesarza JMości, króla hiszpańskiego, turecki wielki poseł, francuzki, moskiewski, perski, wszystkich my tu widzieliśmy, nie licząc senatorów, dygnitarzy, cudzoziemców podróżujących i najdostojniejszych panów.

Drzwi się tedy otwarły i weszli do sali, która w istocie może najwspanialszą była ze wszystkich w tym zbytowym pałacu faworyta królewskiego. Niezmiernie jasna, wedle wyrażenia Jarzemskiego, do latarni podobna, dwoma rzędami okien oświecona, na pierwszy rzut oka olśniewała, szczególniejszemu złotem tłem obicie ściany okrywających, które umyślnie były we Flandryi robione do budowy tej, i kosztowały więcej niż niejeden dwór w Warszawie cały.

W pośrodku od stropu lichtarz w kształcie korony, złożony, spuszczał się ponad stoły. Przy jednej ze ścian balkon kamienny, przeznaczony był dla muzyki, która wejście do niego miała z piętra wyższego.

Wszystko tu zbytkiem i misternością wyrobu godziło się z sobą na istotnie królewskiego przepychu całość, krzesła dokoła stołów złożone, skórą wyciskaną okryte, stoły z rzeźbionymi podstawami, gęsto miały porozsiewane herby rodziny Kazanowskich i Służków.

Przy oknach ukazał Jarzemski, tam gdzie obicie nie dochodziło, malowanie udatne, zajmujące przestrzeń tak, że nigdzie ściany widać nie było. Piec nawet, ogrzewający salę, przywieziony był z zagranicy i cały barwami żywymi okryty. Po za nim znajdowały się winociągi z piwnic wprost prowadzące do



srebrnej baryły ogromnej na kołach, którą okolo stołów toczono napelnivszy. Misterne i to było dzieło sztuki niemieckich złotników, na którem Bachus też srebrny z czarą w ręku, z wieńcem na skroni, z usty uśmiechniętymi królował.

Oprócz tej najpoważniejszej, przy wspaniałym kredensie w rogu sali, cały rząd srebrnych pomniejszych baryłek stał z różnego rodzaju i pochodzenia winami. Naostatek i fontanna srebrna w środku kredensu wyrzucała wysoko w górę strumień wina, a całym rzędem koło niej rozstawione były konewki, nalewki, bechery, kubki, puławy najwytworniejszych kształtów srebrne, złoczone, z kamieni drogich, szklane weneckie i t. p.

Tu już i Plaza, dosyć zresztą obojętnie spoglądający na przepychy te, które mu się szaleństwa jakimiś wydawały, wykrzyknąć musiał, zdumiony samą myślą, jakim kosztem musiało się to wszystko gromadzić, budować, urządzać w kraju, w którym podobnych kunsztów nie znano nigdy, przy dawnej obyczajów prostocie, nawet u największych magnatów.

— Al panie mój! — zawołał, zwracając się do Jarzemskiego — mieliście słusność mówić, że i w królewskim zamku nic równego temu niema, lecz odkrycie mi tajemnicę tę, jako pan Kazanowski przyjąć mógł do takiej majętności, która mu na to starczyć dozwoliła?

Jarzemski głowę nisko skłonił.

— Tajemnicą to nie jest — rzekł — sam pan marszałek powtarza głośno, iż wszystko winien jest łasce pana swojego, którego serce umiał sobie pozyskać. Ale też wiedzieć należy, iż gdyby dziś król, jak niegdy książę, zapotrzebował wszystkiego tego mienia od pana marszałka, oddałby mu, co ma do ostatniej koszuli.

Bietka się uśmiechnęła trefnie.

— Al byle się to nie zimą przygodziło! — zawołała — bo pan marszałek chłodu nie znosi.

Mnóstwo potem drobnych osobliwości, zwłaszcza między naczyniem do picia, począł Jarzemski ukazywać Plazie; były tu bowiem puławy w kształcie zwierząt i ptaków, drogiemi kamieniami i perłami sadzone, z jednego kamienia żłobione i takie, z których aby się napić, a nie rozlać, wiedzieć trzeba było, jak się obchodzić z niemi. Muzyk, poeta i budowniczy, był też we wszystkich kunsztach tak obyty i obeznany z niemi, iż dla niego nie było tu tajemnic.

Czas jednak na tem oglądaniu tak szybko upływał, iż Bietka nawet przyspieszać zaczęła oglądanie reszty, ale Jarzemski nie dał się już przełamać.

— Żądaliście odemnie, ażebym pałac pokazał, panieneczko moja — rzekł — bądźże cierpliwa, bo inaczej ojciec jej fałszywe powieźmie wyobrażenie, a ja mieć to będę na sumieniu.

Zatem zejdziemy teraz aż ku bramie ze wzwozem i przekopem od miasta, która też godną jest wejrzenia.

W istocie nawet na wypadek wojny rozpaczliwa obrona mogła czas jakiś zatrzymać tu napastnika. Sama brama ogromna, murowana, mieściła straż, piechotę pańską i kuźnię.

A że się właśnie nadało tak, iż wyprowadzano konie i brodaty, kawalkator grek dosiadał młodego dzianeta, a inne pod wspaniałemi dekami perskiemi masztalerze wyprowadzali, obeszło się tym sposobem od zaglądania do stajen, do którychby Jarzemski niechybnie ich zaprowadził, choćby dla okazania, że jego i z nim idących puszczano wszędzie.

W tej stronie, jak gdyby pałac z utnencyami nie dość był jeszcze obszerny, miano wznosić nowe mury nad stajniami. Wykwintna łaźnia pańska parowa i wanny, szczęściem były zamknięte, ale muzyk opisał je Plazie, jako nadzwyczaj kunsztownie urządzone, tak, że tylko się kąpać a parzyć chciało po dniach całych w tych delicyach.



Przy łaźni zajrzeli do izby ogrodniczej, w której zimą hodowano na stół pański sałaty i inne ogrodowizny, co było w owym czasie nowością i wykwintem niesłychanym. Ale tu co krok miał co do ukazywania osobliwego przewodnik: izbę, w której wychowywano młode niedźwiadki, wzięte w gnieździe, budę, w której stare do szczwania trzymane na łańcuchach, komorki, gdzie inne dzikie zwierzęta zamknięto.

Tak obszedłszy część podwórza, gdy już od drugiej kuchni Bietka się wymawiała, bo do Mingajłowej powracać chcieli, Jarzemski wprowadził ich do górnej sali wielkiej z altanami, która tylko na lato służyła i nie miała pokrycia; ale pomimo to, ściany jej były obiciem bardzo wytwornem okryte, posadzki i drzwi miała też bardzo piękne. Jarzemski ukazał z tej strony, jako raritas, schody w kształcie ślimaka kręcone, wiodące na górę i nad drzwiami jednemi posąg Władysława IV, pod którym tablica marmurowa ze złotym napisem była dowodem wdzięczności dla pana.

Umyślnie skierowawszy do tego urzędowego wnijścia na pokoje, przy którym stała piechota z berdyszami i kordelasami u boku, dobrany lud olbrzymi i silny, Jarzemski otworzył podwoje i z tryumfem wiódł dalej, bo, jak on mówił, to, co widzieli, było dopiero początkiem.

W istocie rozpoczął się cały szereg pokoiów, ale oprócz obrazów na ścianach, z których jedne wystawiały rośliny warzywne, owoce i kuchenne przybory, drugie widoki morskie, krajobrazy i t. p. nie było tu nic tak dalece nadzwyczajnego. Jarzemski tu izbę muzyków, instrumenta ich, pomieszczenie kapeli, do której i on niegdy należał, zmusił oglądać i po dwu, czy trzech jeszcze izbach, uchyliwszy portyere, jako do przybytku, wwiódł do komnaty samego pana marszałka.

Zniżył głos, wchodząc na próg, chociaż nikogo tu

nie było, oprócz faworytów: kotka morskiego na łańcuszku, białej papugi, obracającej się w kole i mnóstwa ptasząt, świergocących w klatkach, tak, że mówę głośno.

Rozumie się, że i tu obicia były jak najkosztowniejsze, obrazy (*nature morte*) wielce wdzięczne, posadzki marmurowe, stoły mozaikowe, a w jednym rogu w niszy, rodzaj okna dozwalał słuchać mszy świętej, w kaplicy pałacowej odprawianej, do której z pokoiów pani, z izb, zajętych przez francymier, okna były także dla pobożnych.

Jarzemski ciągle zwracał uwagę na obrazy, które Plazie wcale się nie podobały, bo mu się wydawały zbyt obnażonemi; nawet Adam i Ewa, których muzyk jako arcydzieło zachwalał i zachwyczał się niemi, nie znalazły u niego łaski. Do takich dzieł sztuki szlachcie nie był wcale przywykły.

— Panie Adamie—szepnęła mu do ucha Bietka—Mingajłowa na nas czeka... przejdźmy prędzej.

— Nie godzi się — odparł Jarzemski — drugi raz w życiu tych rzeczy widzieć nie będzie... Tu najmniejsza godna refleksji.

Wtem muzyk pochwycił w pół Plazę i gwałtem go posadził na ławce pięknej, niedaleko wspaniałego łoża stojącej.

— Wiesz waćpan, na czym siedzisz? — zawołał, śmiejąc się do rozpuku. — Sądziś, że na prostej ławie? Tak... otóż w jedno oka mgnienie rozkłada się ona i czyni z niej najwygodniejsze też łożo!

Proszę — dodał — nie spuszczać oka ze ścian dla obrazów.

W tym punkcie peregrynacy strojny bardzo młody dworzanin zaszedł im drogę i przyłączył się do nich. Były to pokoje dla obcych zupełnie niedostępne, a coraz wykwintniej poprzystrajane.

Kolumny i kominy z marmuru i bronzu, świeczniki srebrne, trzymane przez aniołów, zwierciadła w ramach srebrnych, obrazy w rzeźbionych cudnie okła-



dzinach, odrzwia z marmurów włoskich, a wszędzie wielkie i piękne płótna włoskich i flamandzkich szkół ściągaly oczy, tylko już myślał sobie Plaza, wszystkiego tego nadto było.

Przeszli tak między innemi i bardzo wytwornie urządzoną bibliotekę, czyli librerją, w której razem na stole w pośrodku, okrytym kobiercem, był zbiór osobliwości różnych i kosztowności: jandziary drogiemi kamieniami sadzone, noże w pochwach z turkusami, czary złote i kryształowe, puzdra i szkatuły misternie wysadzane.

Za librerją tuż wązkim korytarzem przedzielone od niej zaczynały się pokoje marszałkowej, w których naturalnie zbywać nie mogło na najwykwintniejszych wymysłach, które podróżujący po Europie Służkowie i Kazanowscy tak chętnie chwyтали.

Miedzy innemi Jarzemski z respektem wielkim oglądać kazał całe pudła z żółwiów morskich złotem nabijane, całe skrzynki z kamieni różnobarwnych.

Na straży tych skarbów przy krosienkach siedziała panienka, którą pozdrowiła Bietka, jako dobrą swą przyjaciółkę i znajomą. Szła ona jedwabiami i złotem cudny ornat, który pani marszałkowa ofiarowała się do jednego z kościołów dostarczyć.

Dalej były sypialnie pańskie, całe od złotogłówów i jedwabnych opon wschodnich, a przy nich znowu zwierciadła w srebrnych oprawach, znowu tysiączne fraszki drogie, między innemi zegar złoty, który co minuta wyrzucał galkę, a chłopię, stojące pod nim, nazad ją ciskało.

Tu mieniały się tylko obicia ze złotogłówów co raz innej barwy: jedno zielone, drugie szkarłatne z tasiemą sznurami, frenzlami i bogatemi kutasami.

Piękny bardzo wizerunek na ścianie poważnej matrony w sobolowej szubie, z różańcem i książką w ręku, matkę pani marszałkowej wystawiał, a na przeciw w delii palowej i zbroi, z ręką w bok na szabli stał ojciec. Jarzemski ciągle im kazał patrzeć

pod nogi na wzorzyste to drewniane, to marmurowe posadzki, ale Plazę więcej w podziwienie wprawiały hodowane zwierzątka, których i tu było znowu pełno. Miedzy niemi hodowały się ulubione pani synogarlice, do których nawet osobna była sługa, co nad niemi dozorowała. Miały one w jednym z pokoiów gniazda i tu się całemi rodzinami mieściły.

Zdawało się tedy wszystko już wyczerpanem, zwłaszcza, że się do mieszkania Mingajłowej zbliżali; Jarzemski przecież dozwoiliwszy Bietce, aby na nich czekała u starej ochmistrzyni, pod rękę ujął Plazę i zszedł z nim na dół.

— Niech-że wie, mości panie — rzekł — jakich to my panów mamy.

Teraz — dodał — zejdziemy do skarbnicy, o tyle, o ile jej nam widzieć dozwolą.

Szepnął coś klucznikowi prowadzący i otwarto im do sklepu pierwszego. Plazie trochę się lice rozjaśniło. Całe tu ściany były zawieszone najpiękniejszą bronią, strzelbami, ptasznikami, janczarkami, szrotownicami, karabinami, muszkietami, pistoletami włoskimi, bronią, srebrem i złotem bogato przyozdobioną.

Z tego jednak wszystkiego przewodnika najwięcej zachwycala wiatrówka, z której, jak zaręczał, można było kulą zabić człowieka, jednego tylko do tego zażywając powietrza.

Na stołach, na ławach, na wieszadłach perskich i tureckich kobierców tuzinami leżało, któremi w potrzebie izby wyściełano, lub zabierano je do podróży. W skrzyniach nieoprawnych głów, multanów dla piechoty, widać było całe pęki i stosy.

Drugie drzwi żelazne za temi prowadziły do prawdziwego już skarbcza, gdzie rzędy, broń, pochwy, szable, koncerze, pałasze wszystkie były poprawne w złoto, srebro i sadzone kamieniami. Takież same siodła z blachami i strzemionami złotymi, czapraki sztywne od złotych szyć, uprząże, siedzenia w nie-



zmiernej liczbie, sobolowe szuby i blamy, naostatek las i kupy naczyń ogromnych już w puzdrach, już bez nich, mis, nalewek i miednic, kubków, dzbanów.

Jarzemski, oprócz tych skarbów, od których Plazie w oczach się ćmiło i w głowie zawracało, ukazał ogromną skorupę żółwia, którą do karaceny porównywał i z Indyi przyniesiono skórę olbrzymiego węża.

Ztąd dalej jeszcze ciągnęły się sklepy różne i przejścia ciemne, ale tych już nie mogli oglądać. Z okna tylko przy wyjściu ze skarbcza ukazał Jarzemski mury i baszty od Wisły opasujące ogród pałacowy, w którym sadzono z za morza przywożone drzewa i rośliny.

W ogrodzie na sposób włoski wystawiony Belvedere, dozwalał marszałkowi po łaźni odpoczywać, zabawiając się widokiem rzeki i rozległej okolicy.

— Ano, idźmyż do pani Mingajłowej — odezwał się Plaza.

— Jam gotów — rzekł filuternie Jarzemski, do którego się w długim stroju poważny zbliżył mężczyzna — byleby nas puszczone.

A no? ten pan szanowny, który klucze ma od winnic pańskich, powiada, iż moglibyście na kresy zawieźć to przekonanie, że my tu jak gęsi wodą żyjemy. Musimy tedy choć okiem rzucić na piwnicę.

Jakoż otwierano im już drzwi i znaleźli się wśród szeregów ustawionych beczek, których ani było policzyć! Jedna i druga piwnica pełna ich była. Plaza, który kieliszkiem nie gardził, chociaż gorzałicę nad wino przekładał, pomyślał sobie — gdyby się domyślił pragnienie nasze ugasić.

Stało się, jak życzył, gdyż piwniczy nie jednego, ale stopniowo czterech im win coraz dojrzalszych dał kosztować i to sporemi kubkami, tak, że dobrze się niemi pokrzepili.

Checiano ich dalej wieść do piwnic miodowych i piw różnych, mianowicie gdańskich onych czarnych

i gęstych, ale się sam już Jarzemski tłumaczył, iż czasu nie mieli.

Puszczono ich wreszcie.

Tu około piwnic, w nieosobliwszej izbie Jarzemski ukazał, łokciem potrącając Plazę „pludrów,” jak ich zwał, „Olandrów,” którzy obrazy malowali. Ci od roboty głów nawet nie podnieśli, a Plaza ciekawym nie był widzieć, co ich zajmowało.

W tych dolnych napół izbach, napół sklepach, mieściły się oprócz tego składy sreber stołowych powszedniego użycia, i izby białozorów, sokołów, a dalej psów legawych, ogarów, przyborów myśliwskich, sieci, strzelb i t. p.

Tu ich też powitał pan Jan Nadworski wielki łowczy Kazanowskiego, z olbrzymimi wąsami, ramion i plecu szerokich mąż jakby z miedzi odlany, bo też i twarz miał tej barwy.

Sławnym on był tego czasu jako ptaki do łowów umiejący nosić, która sztuka już się zatracać zaczynała, ale ja panowie jeszcze wielce pielęgnowali jako rycerską zabawkę i pamiątkę przeszłości.

Tu mógł dopiero Plaza odetchnąć, bo z wielu kątów i komór, które miały zawierać osobliwości i różne dostatki, godzina spóźniona nakazywała kwitować.

W podwórzu tylko przytrzymał idącego Plazę muzyk i kazał mu się przypatrywać przechodzącym tatarskim jeńcom, których tu do najcięższych robót zazywano.

Plazie jak do starych znajomych oczy się zaśmiały. Tyle on razy strzały ich z siebie wyciągał, a szablą ich po karkach płażył. Jakaś fantazyja dziwna poruszyła nim po winie i do przechodzących przemówił pozdrowieniem po tatarsku.

Trzeba było widzieć jak spuszczone łby jeńców nagle się podniosły, jak się im zaiskrzyły oczy, rozwarły usta... Jarzemski stał zdumiony.

Mało było w kozaczyźnie naówczas ludzi, którzy



choć cokolwiek tatarskiego nie rozumieli języka, znał go też nieco Plaza.

Pocziwe litości uczucie zdjęło go i spytawszy ich jak się do niewoli dostali, rzucił im małą jałmużnę.

— Zbóje są — rzekł idąc do Jarzemskiego — ale wszelako ludzkie stworzenie... litość mieć potrzeba.

Na górę do Mingalowej powróciwszy, Jarzemski natychmiast pożegnał ją, Bietkę i Plazę.

— Nie macie mi zaco dziękować — rzekł do niego — jam zawsze rad oglądać te przepychy, gdyż potomości opis ich dać zamierzam. Nigdy w Polsce nie podobnego nie widziano, ale też panu naszemu Kazanowskiemu równego nie było.

Staruszka westchnęła słuchając.

— Wszystko to warte widzenia — rzekła — ale szczęścia im nie daje. Świeci to i błyszczy i sławę ich po świecie roznosi, ale ani marszałek, ani moja dobra pani niewiele już w tem smakują, bo co tylko świat dać może, mieli i kosztowali.

— Ja — odparł w prostocie ducha Plaza — anim sobie wyobrażał, aby dzieła rąk ludzkich do tej doskonałości mogły dosięgnąć. Ileż tołożyć było potrzeba, aby te skarby zebrać.

Mingajłowa poczęła o Kazanowskich i życiu ich opowiadać, potem o swem do Bietki przywiązaniu i radości, jaką miała z tego, że ona opiekuna i rodzica odzyskała, którego się nawet w myśli nigdy nie spodziewała znaleźć na świecie, bo się mniemała sierotą.

— A! czcigodna pani — odezwał się w końcu ośmielając Plaza — dla mnie też to szczęście wielkie i mogę powiedzieć, że nowe rozpoczynam życie, ale nim się ono ułoży, nim ja gniazdo dla tej ptaszyny mojej uścielę, co z nią począć?

Przerwała mu córka.

— Niechże pani ciwunowa poświadczy mi — rzekła — że mnie na dworze nie grozi niebezpieczeństwo.

Wychowałam się prawie na nim, znam go i wszystkie jego szkopy.

Mingajłowa milczała, nie biorąc strony Bietki.

— I ja bym przecież wolą widzieć cię gdzieindziej — odezwała się — zwłaszcza pod ten czas, gdy przybycie nowej pani, napływ nowych ludzi, pobyt utrudni i nie uprzyjemni go.

Bietka pochwyciła ją za rękę i pocałowała.

— Gdy królowa nadjedzie — rzekła stanowczo, ja muszę się do jej dworu dostać, dawno to sobie postanowiłam i do tego się przygotowuję. Tymczasem zaś, gdyby ojciec był zmuszony się oddalić, nie dla mnie, bo ja się nikogo i niczego nie boję, ale dla

Plaza przyklęknął ręce składając.

— A! pani ciwunowo dobrodziejko! — zawołał.

Staruszka się z krzesła poruszyła.

— Najchętniej, z duszy — odezwała się — ale ja też tu sługą jestem, więc naprzód u marszałkowej o pozwolenie prosić muszę, te pewnie otrzymam... potem... potem...

Nie dokończyła staruszka.

— Spodziewam się, tuszę — dodała — że to się wszystko ułoży.

Widać było, że nie domówiła wszystkiego co miała na myśli.

— Poszłoby to gładziutko — szepnęła po namyśle — tylko mam obawę, że ci, którym Bietka bardzo jest miłą, wszyscy ichmość dworacy będą zabiegali, aby jej panna Amanda nie puściła od siebie.

— Ale ja ojcem jestem — wtracił Plaza — mam więc największe prawo dzieckiem mojem rozporządzać.

Bietka się poruszała niespokojnie.

— Jeżeli tylko droga pani ciwunowa kątek mi u siebie zapewni do przybycia królowej, resztę się zrobi łatwo. Pani marszałkowa potrzebuje pośpieszyć z szyciem ornata, panna Kosterzanka nie starczy, mnieby w pomoc mogła przemęza sobie uprosić.



— Tak czy inaczej, jeżeli to wam potrzebnem jest, a bezpieczniejszem się wydaje — przerwała staruszka będziemy zabiegali z całym kunsztem jakiegośmy się około dworu chodząc nauczyli.

Uśmiech przebiegł po bladych jej ustach i pocałowała w głowę Bietkę.

— Ale poco tobie chce się do tego dworu młodej pani? — rzekła — nikt jej tu jeszcze nie zna. Chwała niektóry, lęka się wielu. Mielśmy niemkę jedną, która swój obyczaj przyniosła, ta też nie omieszka przybyć z nowym, a gdyby chciała, nierychło się do naszego nałame.

— O! o! — rozśmiała się Bietka — my tu jeszcze nie jedną komedję ujrzymy, choć nie na teatrum! Grali nam i śpiewali o jakiejś Danfnie w drzewo przemienionej, a w co to się terazniejsze nasze obróć boginie? w zwiedle kwiatki, czy w lzy wyciskające cebule?

Mingajłowa pogroziła szczebiotce.

— Jaka bo ty jesteś złośliwa! — zawołała. — Pamiętaj o sobie, abyś cało wyszła.

Spóźniona godzina zmusiła Plazę pożegnać staruszkę, ale sobie wyprosił, aby mu wolno było przyjść i swą rodzicielską troską z dobrą panią ciwunową podzielić.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

MUZEUM  
JIK  
ROMANOW

328



